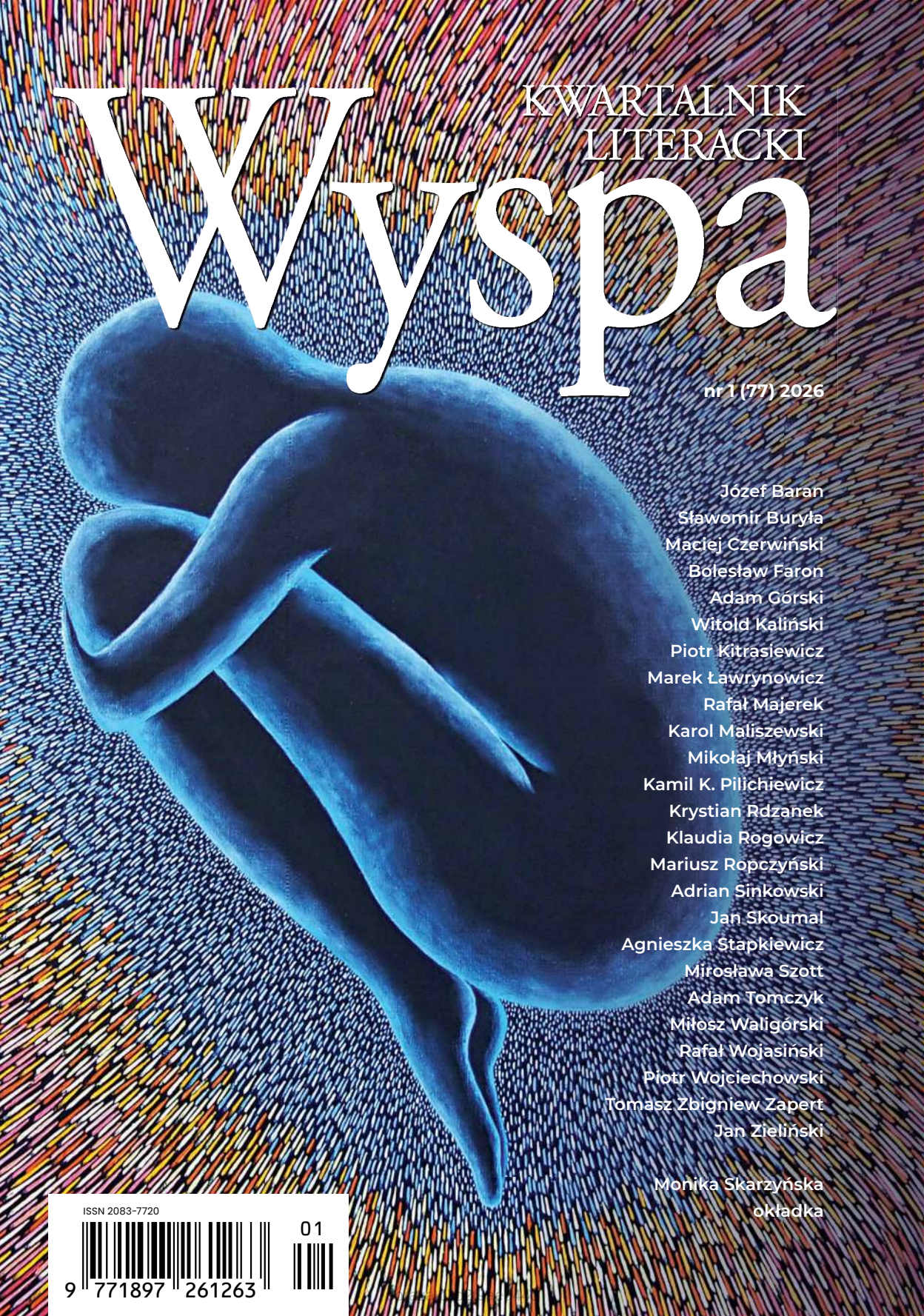
KWARTALNIK LITERACKI

Wyspa

nr 1 (77) 2026



Józef Baran
Sławomir Buryła
Maciej Czerwiński
Bolesław Faron
Adam Górski
Witold Kaliński
Piotr Kitrasiewicz
Marek Ławrynowicz
Rafał Majerek
Karol Maliszewski
Mikołaj Młyński
Kamil K. Pilichiewicz
Krystian Rdzanek
Klaudia Rogowicz
Mariusz Ropczyński
Adrian Sinkowski
Jan Skoumal
Agnieszka Stapkiewicz
Mirosława Szott
Adam Tomczyk
Miłosz Waligórski
Rafał Wojasiński
Piotr Wojciechowski
Tomasz Zbigniew Zapert
Jan Zieliński

Monika Skarzyńska
okładka

ISSN 2083-7720

01

9 771897 261263

Wyspa KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1897-2616 – druk
ISSN 2083-7720 – internet
nr 1 (77)

www.kwartalnikwyspa.pl

ADRES REDAKCJI: 00-048 Warszawa,
ul. Mazowiecka 6/8

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Dobrołęcki (dobrolec@warman.com.pl)

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Ewa Tenderenda-Ożóg
(kontakt@kwartalnikwyspa.pl)

PROZA: Wojciech Kaliszewski, Rafał Wojasiński

POEZJA: Piotr Dobrołęcki

FELIETONY: Karol Maliszewski,
Piotr Wojciechowski, Jan Zieliński

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
Monika Skarzyńska *Matere*
malarstwo olejne na płótnie, 120×120 cm
www.pinkhat.live

KOREKTA: Korektelka Elżbieta Sokołowska

OPRACOWANIE GRAFICZNE, SKŁAD:
TYPO 2 Jolanta Ugorowska

DRUK I OPRAWA:
Totem.com.pl

Biblioteka Analiz

WYDAWCA: Biblioteka Analiz Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Ewa Tenderenda-Ożóg

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo zmian i skrótów, w wypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania oraz innych zmian. Prosimy o przesyłanie tekstów w formatach.doc lub.rtf o objętości do 30 tysięcy znaków ze spacjami w wypadku prozy i esejów oraz do 10 wierszy w wypadku poezji.

Prenumeratę można zamawiać w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju (informacje pod numerem infolinii 801 205 555),

a także przez stronę internetową

Kwartalnika Literackiego WYSPA:

www.kwartalnikwyspa.pl

W NUMERZE

POEZJA

Miłosz Waligórski
bardzo 4
guzik 4
dziwi się stary u drzwi 5
być 5
sztutowo 6
powieść bez słów 6
kruche ciasteczka 6
krowa 6
bully 7
* * * [naprzeciwko jest blok a w bloku śpią ludzie] 7

Józef Baran
Pochwała drzew 33

Adam Górski
*** [odbicie to słowo] 48
*** [nie oszukuj kroków] 48
Obraz 48
Jeszcze o obrazie 49
***[O czym myślicie drzewa?] 50
*** [tyle chciałem ci powiedzieć] 50

Maciej Czerwiński
*** [obudziła mnie śmierć] 62
*** [moja ziemia] 63
*** [istota boskości – zrozumieć] 63
*** [historia może kroczyć, a nawet wkraczać] 64
*** [Bóg stworzył świat, ale dlaczego – pytasz cicho] 64

eprasa.pl d2f9aed44c

*** [czas nie płynie] 65
*** [myśl bez dachu nad głową] 65
*** [jak na młodego poetę] 66

Klaudia Rogowicz
17 72
FAITH+HOPE+LOVE 72
Jestem śmiercią 73
Między Justynianem a Teodorą 73
Wiśnie 74

Mariusz Ropczyński
Z przestrachem 96
Wiersz ze spojrzeniem wstecz 96
Intensywność 96
Vanitas 97
Warkoczyk 97
W gorączce 97
Znowu 98

Krystian Rdzanek
Dwie strony powoju 110
Orchidee 110
Tańcząc w czarcim kręgu (sabat) 111
sześć persymonów wg Fuchanga 111
Degrengolada 111
*** [Jestem pyłkiem wieczystym –
lekkim podmuchów użytkiem] 112
Magnolia 112

PROZA

Marek Ławrynowicz
Nienawiść 8

Rafał Wojasiński
Za murami 36

Mikołaj Młyński
Puste miejsce przy stole 67

ESEJ

Adam Tomczyk
Żeby na nasze pszenne chleby...
O twórczości Tadeusza Nowaka 16

Piotr Kitrasiewicz
Taniec na krawędzi.
Polscy pisarze we Lwowie 1939–1941 .. 75

Bolesław Faron
Strażnik pamięci rodu 91

Witold Kaliński
Szkice Piotra Nowaka o kulturze
Polaków 99

Wydanie dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl d2f9aed44c

FELIETON

Jan Zieliński
Senne spojrzenia 25

Piotr Wojciechowski
44 i jeszcze raz tyle 51

Karol Maliszewski
Nieśpieszne debiuty 87

WYWIAD

Czytelnia jednego wiersza: Fiedorczuk
Z Józefem Baranem rozmawia Mirosława Szott 27

Filozofka ciała
Z Agnieszką Stapkiewicz o jej książce *Świrszczyńska. Genialna i nieznana* rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert 55

WSPOMNIENIE

Sylwia Męcfal
Andrzej Rostocki (1947–2026) 113

RECENZJE

Kamil K. Pilichiewicz
Po całym dniu chodzenia (Krystyna Dąbrowska, *Wiersze wybrane)* 115

Jan Skoumal
Ścieg na cztery ręce (Bożena Boba-Dyga, *Fastryga*) 119

Adrian Sinkowski
Poezja jest najważniejsza (Justyna Bargielska, *Kubek na tsunami*) 120

Sławomir Buryła
Porozmawiajmy o polityce i młodości (Wojciech Chmielewski, *Księżyc ma zapach Warszawy*) 122

Rafał Majerek
Nowe spojrzenie na słowacki modernizm (Joanna Goszczyńska, *Kontury słowackiego modernizmu*) 126

KRONIKA 130

NASI AUTORZY 140

eprasa.pl d2f9aed44c

Miłosz Waligórski

bardzo

musi kochać skoro
traktuje mnie jak powietrze
a gdy znikam tai dech

Józefa, syna Jakuba i Racheli, przekazywano sobie z rąk do rąk. W Egipcie kupił go Putyfar, urzędnik faraona. Józefowi dobrze się u niego wiodło, został zarządcą domu, przyczynił się do powiększenia majątku Putyfara. Jego uroda zwróciła uwagę żony Putyfara (kolejnej z wielu bezimiennych kobiet w historii chrześcijaństwa), która usiłowała go uwieść. Kiedy Józef się jej oparł i spróbował uciec, zębami zerwała z niego płaszcz... po posadzce potoczyły się guziki. Ten płaszcz stał się później dowodem w fałszywym oskarżeniu. Wiadomo, czym to poskutkowało. Ale co z guzikami? Kto je pozbierał? A może po dziś dzień leżą na zimnym marmurze, spowite w egipskie ciemności. „Książki mają swój los. Skoro tak – pomyślałem – guziki też powinny go mieć". Oto, jak się zaczął ten wiersz.

guzik

Tak bardzo o nim chciałem napisać wiersz.
Długo patrzyłem w szafę z ubraniami.
Przebierałem w słowach,
językiem zaczepiałem o cytaty, plątałem się.
Aż z tekstylnej czeluści, spoza dwurzędówek
wypadł w krąg światła tuż pod lampę
krnąbrny brzdąc,
brwi unosząc, zadrwił ze mnie
(na rozszczepionych kopytkach stał,
operował szklanymi kuleczki),
wyczarował litanię, płynną,
potoczystą, jak z książek:

eprasa.pl d2f9aed44c

Guzik, krążek – tyle warte życie, jeśliś zły. Przetopią cię.
Guzik niepewności postawiony przeciwko dolarom.
Guzik niesłowności i Rydz (Śmigły uciekł, nie oddawszy nawet).
Guzik zazdrości, urwany – w żądzy przyboju? zębami?
Guzik zaczepienia. Trzymasz go, żeby nie stracić słuchacza.
Guzik, „gdy zabraknie pamiątek i nadziei".
Guzik szczęścia na widok kominiarza.
Guzik Münchhausena, sonda wskazująca, gdzie ukrył się zwierz.
Guzik człowiek, z czapki Bogdychanów Kleks.
Guzik w windzie, naduś, a zjedziesz na parter.
Guzik ratunku, ostatni, za który się złapiesz.
Guzik z pętelką, guzik prawda, wiesz.

dziwi się stary u drzwi

słyszysz jak mi skrzypią brwi?

być

zawiadowcą stacji pohronský ruskov
prowincjuszem co myli montmartre z montparnasse'em
zastępcą bibliotekarza w muzeum narodowym polskim w rapperswilu
leśniczym w rezerwacie nieścisłej ochrony przyrody
kustoszem muzeum syrokomli na borejkowszczyźnie
szwankierem u operatora zrobię wszystko sam
sprzedawcą w wiejskim punkcie sprzedaży szelek dla maklerów
rykiem jelenia na rykowisku
lektorem języka polskiego w nowym sadzie
falom rzuconym martwym marynarzem
gaglą z plaży zgarniętą w przypływie
mrówką szybkobieżną (na wypadek wojny)
kółkiem które nie stawia krzyży kropką która nie jest w kropce
być albo nie być
można

rzucić pięć złotych żebraczce i podziękować jej
że darowała życie

eprasa.pl d2f9aed44c

sztutowo

szczyt sezonu morgi mord
mordy polaków na polakach

powieść bez słów

las tak mały że nie mieści się w nim ani jedno drzewo
cisza tak cicha aż musi wrzeć
kraj taki mały… mniejszy od stolicy
sosny lgną ku pniom
korona się wynosi ponad górną gałąź
wieżowiec nie dorasta sobie do piętr
wiersz jest za krótki aby wybielić sens

kruche ciasteczka

pamięci Radivoja Šajtinca

Siostro, gdy mnie już stąd zabiorą
i zamkną w blaszanej puszce po herbatnikach,
żeby wraz z okruszkami rozsypać nad jeziorem,
podejdź, proszę, do mojego łóżka –
dolina w pościeli to wgniecenie po mnie,
połóż na niej dłonie i pomyśl przez chwilę,
że pół życia tak można kraść przedmiotom puls.

krowa

rodzi i rodzi
a z każdym dzieckiem życie z niej uchodzi
przybywa łat

eprasa.pl d2f9aed44c

bully

pamięci Martina Pollacka

krzepa muskulatura
tężyzna psychiczna
smutek z umięśnioną przeszłością
tu mordowali
terror wsączał się w ziemię
śniłem mu się
krajobraz patrzył mi w okna
w tych oczach nikt nie mieszkał
człowiek krepa
makulatura

* * *

naprzeciwko jest blok a w bloku śpią ludzie
kiedy tak śpią są gdzie indziej na przykład
w Białorusi (jeśli akurat tam służyli w wojsku)
ale też w innych miejscach we śnie nieprzytomnie
szukają alibi bo ich życie ich życia już nie ma
wymordowali je nikt się nie przyzna to prawda
nikt nie odpowie za nieobecność dlatego
lepiej się rozprzestrzenić ewakuować uciec
choćby na północ (jeśli akurat tam się nie służyło)
armia dawno rozbitych żołnierzy ptaków emigrujących
nie wiadomo dokąd od lat się nad tym głowię
przysiadają mi i fruną dalej do krajów jeszcze
zimniejszych niż Łotwa łąką jestem łąką na sprzedaż
to na mnie wychodzą te wszystkie zaparowane okna

eprasa.pl d2f9aed44c

Marek Ławrynowicz

Nienawiść

Od zawsze tych kurwów nienawidziłem. Nienawidził ich mój dziadek, mój tatuś no i ja. Babcia – nie.

Pamiętam, kiedyś powiedziałem ojcu: „Babcia mówi, że trzeba chodzić do kościoła". Popatrzył na mnie ojciec długo i przenikliwie. A potem spytał: „A ty, gówniarzu, kto jesteś? Jak się nazywasz?". „Kazimierz Rokossowski". „To zapamiętaj sobie na całe życie: jeśli jesteś Rokossowski, to Pan Bóg może cię co najwyżej w dupę pocałować. Rozumiesz?". „Rozumiem". „Nie będziesz się nigdy kutabasowi kłaniał". „Nie będę, tatusiu". „No, to pamiętaj!".

Tatuś był bardzo dumny z tego, że jest Rokossowski, bo my, Rokossowscy, mieliśmy kiedyś marszałka Polski. Ludzie mówili, że to był pierdolony Rusek, a tatuś zawsze odpowiadał: „Może i Rusek, ale Rokossowski". Rusków tatuś za bardzo nie lubił, ale najbardziej nienawidził kutabasów, czyli księży.

W Boże Ciało, kiedy procesja szła naszą ulicą, tatuś siadał przy oknie, mnie sadzał obok siebie i pokazywał palcem: „Widzisz? Lezą. Jak karaluchy lezą". Prawda. Paskudnie leźli. „Kutabasa prowadzą – mruczał mi w ucho tatuś. – Widzisz, jak pod rączki trzymają chuja jednego? Ostatnim złamasem trzeba być, żeby takiego pod rączki prowadzić".

Widziałem. Prowadzili. „Jeszcze kwiatki pierdolonej gnidzie sypią – sapał tatuś. – Co im, kurwa, niewinne kwiatki zawiniły?".

Nie zostawił mi tatuś majątku, tylko tę nienawiść. I dobrze mi było z moją nienawiścią.

Całe życie robiłem na fabryce. Żenić się chciałem, ale co mi się jakaś spodobała, okazywało się, że do kutabasa biega. Nawet ruchać mi się tych kurwów nie chciało.

Po latach nasz dom przeznaczono do wyburzenia i dostałem kawalerkę w blokach. Piękna była moja kawalerka, a szczególnie – widok z okna na duży plac zostawiony jako rekreacja. Wychodziłem nieraz przed blok, leżak rozkładałem, słońce świeciło, ptaszki napierdalały, życie jak w bajce.

Po trzech latach się okazało, że ludność ma życzenie, żeby tam, gdzie rozkładałem leżaczek, postawić kościół. Przyszedł do mnie jeden z zapytaniem, czy będę wpłacać co miesiąc na budowę. Zwyzywałem od chujów i kazałem wypierdalać. Potem zajechały koparki i zaczęli robić dół pod fundament.

eprasa.pl d2f9aed44c

Było na osiedlu paru jak ja, przeciwnych temu chujostwu. Nie raz, nie dwa żeśmy przed spółdzielnią mordę darli, ale kutabasowców było więcej: zwyzywali nas od komuchów, a Płotecka, sąsiadka z przeciwka, przestała mi na „Dzień dobry!" odpowiadać. Chuj z nią, flądrą pierdoloną!

Mur kościelny rósł za oknem i jasny horyzont zasłonił. Na koniec przestałem do okna podchodzić, żeby na to skurwysyństwo nie patrzeć.

Budowały kurwy, aż zbudowały.

Którejś niedzieli leżę sobie na tapczanie, rozkoszuję się wolnym dniem, a tu nagle…

– Bum!

O mały w włos na podłogę nie spadłem. Lecę do okna, a tu znowu…

– Bum!

To, kurwa mać, dzwon jebanego kościoła w samo okno mi napierdala. I zaraz widzę: lezą. Eliganckie, odszykowane. A kto najszybciej kulasami przebiera? Ta kurwa Płotecka, rzecz jasna.

Dzwon ucichł, położyłem się na wersalkę. Próbuję przysnąć, gdy nie wiadomo skąd dobiega do mnie głos.

Lecę do okna. To kutabas jebany przez otwarte drzwi kościoła do mnie nawija. Uwaliłem się na tapczan, poduszką głowę nakryłem i na koniec chuj ucichł.

Głos kutabasa prześladował mnie całymi latami. Próbowałem zamienić mieszkanie, nie było chętnych. Męczył się człowiek jak zwierzę w klatce.

Na początku, gdy tylko kościół zbudowali, przylazł do mnie ten chuj. Otwieram drzwi: stoi, sutanna na wszystkie guziczki zapięta, płaszcz elegancki i się uśmiecha.

– Czego? – mówię.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wkurwiłem się na całego.

– Ożty chuju niemyty! Ty kutabasie jebany! Jak cię zaraz pierdolnę, to zlecisz ze schodów na zbitą mordę, skurwysynie jeden!

– Przepraszam – powiedział.

Więcej nie zachodził.

Raz go spotkałem na korytarzu. Odsunął się pod ścianę, bał się, że mu przypierdolę. I przypierdoliłbym, gdyby choć pisnął.

Jakoś pół roku później zacząłem kaszleć. Ani się przeziębiłem, ani nic, po prostu w gardle drapie, więc kaszlę jak kto głupi.

Poszedłem do lekarza. Zrobili mi prześwietlenie i inne badania, na koniec idę z powrotem do doktora. Posadził mnie na krzesełku i pyta:

– Panie Rokossowski, pali pan?

– Znaczy, czy kopcę?

– Właśnie. Kopci pan?

– Od czternastego roku życia, panie doktorze, paczkę albo i półtora dziennie wypalam.

eprasa.pl d2f9aed44c

– No, to już wszystko wiemy.
– Znaczy co niby?
– Płuc, panie Rokossowski, to pan zasadniczo nie ma.
– Jak to nie?! To co ja tam, kurwa, mam?!
– Raka w poważnym stadium. Podejrzewam, że z przerzutami.
– Kurwa jego mać! Co z tym robić?!
– Leczyć, rzecz jasna, pana będziemy, ale powiem szczerze: to nie pomoże.
– Tabletki nie pomogą?
– Nie chcę nic przed panem ukrywać. Daję panu pół roku.
– W jakim sensie?
– Pół roku życia.
– A potem?
– Koniec.

Jak pijany z gabinetu tego doktora wyszedłem.

Co to niby, kurwa, ma być?! Miliony ludzi kopcą i żadnego raka nie mają!

Stanąłem na przystanku. Kobitka obok stoi, jara – i raka nie ma. Ja jeden mam mieć?! Nie spodobałem się pewnie temu chujowi doktorowi, dlatego mi tak powiedział.

Poszedłem do innego doktora, takiego za pieniądze.

Zrobił zdjęcie. Obejrzał.

– Mówią, że mam raka.
– Nie da się ukryć.
– Znaczy się, mam?
– Zaawansowanego.

Oż ty chuju jebany! To ja ci płacę, żeby jakąś dobrą wiadomość usłyszeć, a ty do mnie w ten sposób?! To już ostatnią kurwą trzeba być!

Splunąłem na panel podłogowy i wyszedłem.

Łażę po mojej kawalerce i myślę. Przecież ja nawet jeszcze sześćdziesiątki nie mam… Doktor – ten pierwszy – dał mi skierowanie na chemię, ale tak patrzył, że dla mnie i tej chemii szkoda. Ale poszłem. Należy mi się to, skurwysyny, nie myślcie, że zrezygnuję.

Wracam po tej całej chemii, chodzę po mieszkaniu, dokoła bloku, idę do sklepu i ciągle myślę, jak to jest z tą śmiercią. Nieraz ludzie wkoło umierali – dziadek, mamusia, babcia, tatuś, koledzy różni. Na pogrzeby chodziłem, kwiaty na grobach kładłem. Umierają ludzie, normalna rzecz. Ale żebym ja? Ludzie do dziewięćdziesiątki żyją, niech do osiemdziesiątki, a ja mam dopiero pięćdziesiąt osiem. Tyle co nic, do kurwy nędzy. Miliony ludzi kopcą gorzej niż ja – i żyją. Czemu akurat na mnie padło?

Jak to będzie, do kurwy nędzy?! Włożą mnie do trumny, paru kolegów z fabryki przyjdzie, zakopią – i już? Co będę widział? Co słyszał? Niemożliwe, żeby nic. Nie może tak być, że się jest, a potem – nie. To by nie po ludzku było. Może coś jest w tym gadaniu o panu Bogu…?

eprasa.pl d2f9aed44c

Długo myślałem, aż poszedłem do Płoteckiej. Sąsiadka jednak. Długo dzwoniłem. Na koniec otworzyła.

– Dzień dobry pani Płotecka – mówię. – Można na chwilę?

Wpuściła.

Wszedłem, na fotelu usiadłem.

– Może herbatkę? – pyta.

– Chętnie.

Zrobiła herbatkę.

Siedzimy. Gapię się na nią, a ona – na mnie.

– Jestem chory, pani Płotecka – mówię. – Raka mam.

– Współczuję – powiada i jakoś bardziej po ludzku na mnie patrzy.

– Może być, że parę miesięcy i umrę.

– Chyba nie tak szybko? Ludzie latami z rakiem żyją.

– Ostatnie stadium. Przerzuty się zaczęły.

Nic nie powiedziała.

– Pani chodzi do tego tam kościoła. Co u was mówią względem umierania?

– Jest napisane: „Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, będzie żył. A każdy, kto żyje i wierzy we mnie, nigdy nie umrze".

– Znaczy, Płotecka nie umrze?

– Nie.

– A ja?

– Sąsiad przecież nie wierzy w Jezusa Chrystusa.

– Ni chuja… Chciałem powiedzieć: nic a nic.

– To pewnie sąsiad umrze.

– Znaczy, co ze mną będzie?

– Nic.

– A gdybym, dajmy na to, uwierzył?

– W godzinę śmierci można się nawrócić. Niech sąsiad poczyta Ewangelię. Pożyczę.

– Kiedy ja już nawet czytać zapomniałem.

– Przypomni sąsiad sobie.

Wróciłem z tą Ewangelią do domu.

Leżę na tapczanie, usnąć nie mogę. Przewracam się z boku na bok i kombinuję, jak zrobić, żeby uwierzyć.

Następnego dnia z rana miałem chemię, więc się położyłem i wziąłem się do czytania.

Napisane było, że nijaki Jan Chrzciciel chrzcił wszystkich w rzece Jordan. Zanurzali się w wodzie – i już byli ochrzczeni.

Nieraz się zanurzałem w Wiśle, ale nikt mnie nie ochrzcił. Nie po to żeśmy się zanurzali. Nieraz kolegę się za nogę łapało i wciągało pod wodę, a gdy się trafiła kobitka, szło o to, żeby jej ścignąć majtki i za cipkę złapać. Dopiero było pisku i radości.

eprasa.pl d2f9aed44c

Poszedłem do Płoteckiej spytać, czy gdy człowiek jest ochrzczony, to już wierzy.

– A sąsiad jest ochrzczony?

– Tatuś by do czegoś takiego nie dopuścił. Zawsze powtarzał, że nas, Rokossowskich, Pan Bóg może co najwyżej w dupę pocałować.

– Ochrzcić się można w każdym wieku. Ale najpierw trzeba uwierzyć.

– Jak kutabas sprawdzi, czy ja wierzę, czy nie? Pokropi – i załatwione.

– To nic panu nie da.

– Gdy mnie ochrzci, to nie uwierzę?

– Wiara przychodzi z wewnątrz, nie z zewnątrz.

Łatwo starej kurwie mówić, bo do niej wszystko samo przychodzi.

Cały wieczór leżałem na tapczanie.

– Kazik – mówiłem do siebie – uwierz w tego całego Jezusa, bo, kurwa, umrzesz.

Ale nie uwierzyłem.

Czytałem głośno Ewangelię, słowo po słowie, i czekałem, aż wiara do mnie przyjdzie.

Nie przyszła.

Polazłem do Płoteckiej.

– Szczerze ze wszystkich sił chcę uwierzyć, ale nijak nie mogę. Nie ma na to jakiegoś patentu?

– Chyba nie. Najważniejsza jest miłość bliźniego.

– Znaczy, co konkretnie?

– Trzeba kochać innych ludzi.

– Za co?

– Za nic. Tak po prostu.

Czy ja kogoś kochałem? Zawsze żeśmy z tatusiem wszystkich nienawidzili. Chciałem zaznać miłości – w sensie, żeby się z jakąś rżnąć, ale mnie nie chciały. Poza Violetką, sąsiadką w moim dawnym domu. Miałem osiemnaście lat, rzuciłem szkołę, zapierdalać na fabryce mnie się nie chciało, siedziałem w chałupie. Violetka mieszkała z mężem naprzeciwko. Był bogaty, ale garbaty. Miał sklep z ubraniami. Violetka robiła tam za obsługę, a garbus zaczął się do niej przystawiać. Nie dziwię mu się. Nogi do samej ziemi, cycki aż się chce pomacać, dupka – taka, że cała ulica się za nią oglądała, gdy szła. Nie chciała garbusowi dać, to się z nią w końcu ożenił. Piękne ciuchy jej kupował, siedziała w domu i manicure sobie robiła.

Jednego dnia, było tak koło jedenastej, ktoś puka. Otwieram, stoi Violetka.

– Kaziu, sól mi się skończyła, masz może pożyczyć?

– Co mam nie mieć. Sąsiadka zachodzi.

Nasypałem soli na papierek, podaję, a ona stanęła bliziutko, aż jej cycule przez koszulkę poczułem.

– Duży jesteś – mówi. – Wszędzie taki duży?

Czuję, że przesuwa mi dłonią po spodniach. Potem czuję, że rozpina pasek. Tak jak żeśmy stali, padliśmy na dywan i zerżnąłem Violetkę jak żołnierz na przepustce.

eprasa.pl d2f9aed44c

Od tego czasu ledwie garbus wyszedł do sklepu, Violetka – zaraz myk do mnie, od drzwi zdejmuje majtki, ja zrzucam, co się da, i do roboty.

Czy ja tę Violetkę kochałem? Ni chuja. Garbus był człowiek miły, gdy mnie widział na korytarzu, zawsze się uśmiechał i mówił: „Dzień dobry, Kaziu". A ja do niego: „Dzień dobry, panie Andrzeju".

Nieraz mu chciałem powiedzieć: „Człowieku, kurwę masz w domu. Ty jej futra kupujesz, a ona, ledwie wyjdziesz do roboty, przylatuje do mnie się pierdolić". Ale nie powiedziałem. Żal mi go było. Co garbus winien, że garbus.

Przez to, że tak go robi w trąbę, znienawidziłem Violetkę. Rżnąłem ją, bo natura we mnie buzowała, ale ze złością, z nienawiścią, że aż krzyczała z rozkoszy. Im bardziej byłem wściekły, tym jej było lepiej, przez tę nienawiść przywiązała się do mojego chuja jak pies. Wreszcie garbus wybudował domek pod miastem i się wyprowadzili. Całe szczęście, bo bym zwariował z tej nienawiści i z pożądania.

Poza Violetką nie miałem kogoś kochać. Raz wyruchałem jedną na wczasach pracowniczych, ale byliśmy oboje mocno na bani, ledwo mi kutas stanął, a rano nie mogłem sobie przypomnieć, co to była za jedna. Czekałem, aż się któraś do mnie uśmiechnie, ale jej też się chyba film urwał, bo żadna się nie uśmiechnęła.

Z innych ludzi babcię lubiłem, ale wstydziłem się jej, bo ściągała zewsząd bezdomne koty i w mieszkaniu był taki smród, że rzygać się chciało. Chyba nikogo tak naprawdę nie kochała, tylko te koty.

Mamusia umarła, gdy byłem mały. Pewnie bym ją pokochał, ale nie zdążyłem.

Tatuś bardzo pilnował, żebym był taki jak on. Robiłem, co mi kazał, a mimo to zawsze się bałem, czy go zadowolę. Najgorzej było po wypłacie. Szedł na wódkę, wracał zygzakiem i z kopa otwierał drzwi. Próbowałem się ukryć, ale zawsze mnie znalazł. Zdejmował pasek i mówił: „Krzycz: »Kocham mojego tatusia!«". Krzyczałem z całej siły, a on mnie walił pasem, gdzie popadło i wrzeszczał: „Głośniej, gnoju!". Krzyczałem, wyłem jak pies, a on mnie lał bez opamiętania i krzyczał: „Głośniej, skurwysynu!". Potem nagle przestawał, siadał na krześle i zasypiał.

Kiedy był trzeźwy, szło wytrzymać, na mecze żeśmy chodzili albo nad Wisłę. Pływać mnie nauczył. Ale i tak go nienawidziłem. On mnie – chyba tak samo.

Gdy był już stary, jednego dnia mówi do mnie: „Kaziu, coś się ze mną dzieje. Zadzwoń na pogotowie". Telefon jak raz mieliśmy zepsuty. „Pójdę – mówię – do apteki i zadzwonię".

Wyszedłem, zamknąłem drzwi na klucz i pomyślałem: „Teraz ci, chuju, odpłacę".

Nie zadzwoniłem, do wieczora łaziłem nad Wisłą. Gdy wróciłem, był już sztywny, gały miał wywalone, a w nich – taki strach, jakiego nigdy ani przedtem, ani potem nie widziałem. Namęczyłem się, zanim je zakryłem powiekami.

A teraz Płotecka mi pierdoli o miłości bliźniego. Kogo mam kochać? Doktora, który mi powiedział, że zaraz umrę? Pielęgniarkę – starą raszplę, która mnie

eprasa.pl d2f9aed44c

podłącza do chemii? Nienawidzę ich jak psów – za to, że ja umrę, a oni będą żyli. To nie jest w porządku!

Po nocach aż mnie skręca z nienawiści. Ale gdy nie uwierzę, to umrę. A nie uwierzę, póki nie pokocham bliźniego. No kurwa jego mać, nie zmuszę się!

W końcu pomyślałem, że zacisnę zęby i pójdę do kutabasa. Niech zrobi tak, żebym uwierzył. Nie wiem… pogada po łacinie czy jakoś tam. Jego sprawa.

Dobry moment wybrałem, bo jak raz kościół był pusty, tylko kutabas kręcił się obok powieszonego na krzyżu.

– Dzień dobry – mówię.

Popatrzył na mnie tak jakoś dziwnie i mówi:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Tu utknęliśmy. Ja nic nie mówię, on też nic nie mówi.

Wreszcie pyta:

– Przyszedł się pan wyspowiadać?

– Nie. Normalnie pogadać chciałem.

– To chodźmy do zakrystii.

Przeszliśmy przez drzwi do takiego pokoju obok. Posadził mnie na krześle. Sam usiadł.

– Poznaję pana – mówi. – To pan najgłośniej protestował przeciwko budowie tego kościoła.

– Owszem. Darłem mordę w tej kwestii, skoro pan ksiądz chce wiedzieć.

– I wyrzucił mnie pan, kiedy przyszedłem po kolędzie. Myślałem, że mnie pan pobije.

– Nie zaprzeczę. Chciałem wtedy panu księdzu przypierdolić.

– Dlaczego?

– Od dziecka was, kutabasów, nienawidzę.

– Co w takim razie pana do mnie sprowadza?

– Raka mam. Według doktora cztery miesiące mi zostało. Sąsiadka mi powiedziała, że kto wierzy w Jezusa Chrystusa, nie umrze.

– Tak mówi nasza religia.

– Bardzo chcę uwierzyć w tego waszego Jezusa, ale nijak nie mogę.

– Nie każdemu jest dana łaska wiary.

– Ale jak to jest: jeden umiera, a drugi – nie. To niesprawiedliwe.

– Każdy umiera, panie… zapomniałem nazwiska.

– Rokossowski.

– Panie Rokossowski.

– Jak umiera, kiedy nie umiera. Przyszedłem, żeby pan ksiądz tak zrobił, żebym uwierzył i nie umarł.

– Nie mogę tego zrobić.

– Bo chciałem panu księdzu przypierdolić?

– To nie ma nic do rzeczy. Nie jest w mojej mocy sprawić, żeby pan uwierzył.

eprasa.pl d2f9aed44c

– Kurwa mać! To w czyjej to jest mocy?

– Pana. Poza tym wierzymy, że istnienie człowieka nie kończy się w chwili śmierci. Ale to tylko wiara.

– Co to znaczy?

– Nikt nie wie, co jest po drugiej stronie.

– Zaraz, powoli… To znaczy, że to z Jezusem nie jest na sto procent?

– To sprawa wiary, nie pewność.

– Znaczy, pan ksiądz nie wie, czy umrze, czy nie?

– Nikt tego nie wie.

Wróciłem do domu. Już zupełnie głupi jestem: uwierzyć nie daję rady, umrzeć nie chcę.

W nocy wstaję i chodzę. Czasem siądę w fotelu i przysnę.

Z czterech miesięcy zrobiły się trzy. Z trzech – dwa. Poszedłbym gdzieś i rozpierdolił tam wszystko w drobny mak. Ale gdzie? Nawet, kurwa jego mać, już nie ma dokąd pójść!

eprasa.pl d2f9aed44c

Adam Tomczyk

Żeby na nasze pszenne chleby… O twórczości Tadeusza Nowaka

Żeby na nasze pszenne chleby
senne sypały się czereśnie

A tego roku w mojej krainie czereśnie obrodziły i pszeniczny plon też był ewangelicznie stukrotny. Kłaniam się poecie Tadeuszowi Nowakowi do ziemi, bo takie skojarzenia mnie nachodzą, i jeszcze inne, gdy biorę w dłonie jabłko, gdy patrzę na białą korę brzozy i na rozlane mleko jutrzni na porannym niebie, a ustami bezwiednie zaczynam szeptać wersy z jego psalmów.

Tadeusz Nowak urodził się 11 listopada 1930 roku w Sikorzycach i tu, nad Dunajcem, przez całe dzieciństwo chłonął świat, przyglądał się trawom i ptakom, i listkom na gałęziach strachliwej osiki, słuchał opowieści, poznawał smak jabłek i uczył się mówić. „Zapragnąłem być takim bezimiennym układaczem pieśni. Nie wiedziałem, jak to uczynić, bo nie wiedziałem ani o rymie, ani o rytmie, a tym bardziej o porównaniu, o metaforze i o tylu ważnych przy pisaniu wierszy zasadach. Nie dawałem jednak za wygraną. Uciekałem, poczynając od wiosny do jesieni, w pola, w łąki, nad Dunajec i zaszyty w zboża, w zieloną wiklinę, szeptałem im ubogie, dziecinne słowa o matce, o ojcu, o jabłonce kwitnącej w maju, o moim świecie, którego w żaden sposób nie mogłem pojąć i oswoić dla siebie".

Gdy miał czternaście lat, zaczął uczęszczać do liceum w Tarnowie. Po maturze przeniósł się do Krakowa, gdzie na Uniwersytecie Jagiellońskim ukończył filologię polską. Pod kierunkiem prof. Kazimierza Wyki napisał i obronił pracę magisterską o poezji K.I. Gałczyńskiego. Prof. Wyka był zachwycony talentem Nowaka i chyba przyjęciem jego pierwszych wierszy do „Twórczości" dał młodemu poecie motywację i podmuch wiatru w skrzydła.

Uczę się mówić – taki tytuł nosi pierwszy tomik z lat 1949–1953. Tamte lata to trudny czas dla pisarzy i dla poetów. Młody poeta dał się uwieść tej dialektyce specjalistów od śpiewu i mas. Szybko się jednak z tego otrząsnął. Dotarło do niego, że zbyt daleko odszedł od korzeni, od tego, co go ukształtowało. Czesław Nowak – brat poety – w niedawnej rozmowie ze mną mówił, że dobrze pamięta tamtą chwilę, kiedy za zamkniętymi drzwiami izby ojciec prostował

eprasa.pl d2f9aed44c

Tadeuszowi ścieżki. To była długa rozmowa zawiedzionego ojca z synem. Po niedługim czasie Tadeusz Nowak wrócił mentalnie na wieś, aby na nowo zdefiniować swoją poezję.

Już we wstępie do tomiku z 1954 roku pisał:

U pagórków dolina Dunajcem rozcięta […]
Pachnie zieleń obmyta przez wiatry i deszcze. […]
Do ciebie idę, dziadku, siedzący na progu
Z fajką w zębach tak starą, że chyba po Bogu
dziedziczysz ją, a tytoń na pewno masz z raju,
bo dym pachnie jak lato i jesień w mym kraju. […]
Do ciebie idę, matko […]
Do was, ludzie, przychodzę […]
Wyście mi dali wszystko, co może dać człowiek
dziecku ziemi tak biednej, że siebie się wstydzi:
dach nad głową, chleb, wodę i światło u powiek
I jeszcze coś, lecz tego prócz was nikt nie widzi.

W kolejnym tomiku – *Prorocy już odchodzą* – z 1956 roku bił się w piersi i prosił ojca o przebaczenie:

Jak się przed tobą, ojcze, wytłumaczę
z różańca, który po ziarnku gubiłem
w ogromnym lesie, co za mną się czerni.

Tadeusz Nowak wyjechał ze wsi – tak jak setki tysięcy młodych ludzi w tamtym czasie. Nie mógł uniknąć przeznaczenia, ale mógł mu się jedynie przeciwstawić budowaniem własnego świata poetyckiego, gdzie źródłem jest jego rodzinna wieś – miejsce urodzenia i pierwsze zachwyty.

Fundamentami poetyckiej wyobraźni Nowaka są: wspominanie chłopskiego dzieciństwa i uświadomiony sobie konflikt między archaicznym światem wsi a tym, w który wkroczył. Krytycy piszą, że konflikt ten pozostał w poezji Tadeusza Nowaka wciąż żywy. Znamionuje go najdobitniej *Psalm o nożu w plecach*:

Nocą siedzę przed sobą
ja w cylindrze ja boso
a tam przez wieś z wesela
Z nożem w plecach mnie niosą

Nocą biegnę przez miasto
ja w cylindrze ja boso

eprasa.pl d2f9aed44c

by napoić snem brzozy
mnie bliskiego niebiosom.

O swoich wierszach tak pisał poeta w *Psalmie o ściętej głowie*:

O wiersze moje wiersze wiersze
Chłop się w nich czochra dziewka drzemie
maj z kosą wchodzi w trawy pierwsze
i buchaj rogiem bodzie ziemię

A w lesie głowa śpi odcięta
w jej oczy leśny mak się sypie
i przy niej kotne śpią zwierzęta
I cedzi na nią mleko lipiec

Głowa z tułowiem się nie zrasta
usta nie mogą wyrzec amen
i upadają w dzieżach ciasta
i cały w czerwiach jest sakrament.

Ile w tych przytoczonych wersach niesamowitości, baśni wysnutej z jakichś zdarzeń, z krwawych historii, ile w nich magii i zabobonu? Chociaż poezja Nowaka wypływa z samego jądra wiejskiego krajobrazu, ze zdarzeń, ze zwyczajów i z symboli, wychodzi poza ten pejzaż, staje się uniwersalna. Tadeusz Nowak nie jest przypisany do ziemi jak chłop pańszczyźniany. To duch wolny, bo każdy poeta jest po trosze ptakiem, aniołem fruwającym po strofach wyobraźni i emocji.

– Tak, przyjeżdżał w czasie studiów na święta i na każde wakacje. Z początku – na krótko, bo odrabiali swoją studencką pańszczyznę w pegeerach na Mazurach i na Żuławach Wiślanych. Przyjeżdżał stamtąd opalony jak z Afryki. Jeszcze w domu pomagał przy żniwach. Lubił pracować – opowiada mi Czesław, najmłodszy brat poety. – Znowu był u siebie, wśród swoich. Kąpał się w Dunajcu, rozmawiał, słuchał, patrzył. To sprawiało mu radość i chyba z tego rodziły się jego wiersze. Nie, nie mówił wierszem. Przychodziły mu łatwo. Patrzył w okno i zaraz wyjmował zeszyt i pisał. Czasem dał nam przeczytać.

Kochał cię będę miłował cię będę
Jako nikt jeszcze nie był miłowany
Niosą ci niosą dziecko przez kolędę
Topnieje we mnie niby wosk poganin.

eprasa.pl d2f9aed44c

A przecież Tadeusz Nowak był nie tylko poetą. „Jego twórczość wyznacza jeden z najbardziej zasadniczych biegunów prozy chłopskiej – czytam opinię utrwalaną przez prof. Mariana Stale. – Wyobraźnia poetycka, motywy wiejskiej tradycji kulturalnej i swoiście zmitologizowany język stanowią charakterystyczne elementy świata powieściowego T. Nowaka".

Nadmienię tylko, że Nowak jest autorem następujących tomów prozy: *Przebudzenia*, *Obcoplemienna ballada*, *Takie większe wesele*. *A jak królem, a jak katem będziesz* to najbardziej znana jego powieść, która była też szkolną lekturą. Trzeba wymienić jeszcze kolejne: *Dwunastu*, *Diabły*, *Półbaśnie*, *Prorok*, *Wniebogłosy*, a także – wydane w jednym tomie pośmiertnie w roku 1999 staraniem rodziny – dwie opowieści: *Jeszcze ich słyszę, widzę jeszcze* i *Jak w rozbitym lustrze*.

Wiele z tych książek Nowaka przeczytałem. Ja, który urodziłem się i wychowałem w sąsiedztwie rodzinnej wsi poety, w dzieciństwie czerpałem te same wzorce zachowania, piłem wodę z tych samych źródeł, świat poznawałem udziwniony tymi samymi baśniami i miałem wokoło ten sam krajobraz. Dlatego w opowieściach Nowaka zawsze szukałem czegoś bliskiego, niejako już znanego, gdzieś słyszanego, konkretu w opisie zdarzeń rzeczywistych i miejsc. Zawsze miałem z tym trudności, bo nie mogłem dociec, co jest nutą realizmu w jego prozie, a co – baśniowym przetworzeniem w jego wyobraźni. Polecam właśnie tę ostatnią książkę, wydaną już po śmierci autora, bo jest chyba najbardziej bliska realiów.

Chociaż w prozie Tadeusz Nowak poetą być nie przestał, wolę jednak jego poezję. W niej delektuję się słowem, metaforą, baśnią. Szczególnie upodobałem sobie jego psalmy. W nich widać mistrzostwo poety we władaniu słowem, w operowaniu symbolem i w budowaniu nastroju.

Wiem, że teraz, po trzydziestu pięciu latach od śmierci autora, trzeba jego twórczość ciągle przypominać i promować. Bo warto. Warto sięgnąć po jego tomiki wierszy. Urzekły mnie *Psalmy nowe*, *Pacierze i paciorki*, a szczególnie – ostatnio wydany wybór poezji Tadeusza Nowaka, sporządzony przez Stanisława Balbusa, jego przyjaciela (zmarłego trzy lata temu): *„ku czci plemienia świecącego w nocy". Za snem, za jawą, za pacierzem… Wiersze*.

Duże wrażenie zrobił na mnie też wcześniejszy wybór 44 wierszy Tadeusza Nowaka, opracowany przez Bohdana Zadurę. W posłowiu Zadura wspomina spotkanie z Tadeuszem Nowakiem: „Kiedy wspinaliśmy się na Wzgórze Zamkowe, Tadeusz Nowak często przystawał, żeby odpocząć. Nie wiedziałem wtedy, że wskutek choroby Buergera amputowano mu nogę w roku 1970". Natomiast Stanisław Grabowski w biografii Nowaka – *Poeta na Ursynowie* – pisze: „Skoro mowa o Szymborskiej, należy przypomnieć jej refleksje z Paryża z 1957 roku. »Chodziliśmy po Paryżu, po muzeach, kinach, chcieliśmy zobaczyć filmy, które nigdy nie przyjdą do Polski. Tadeusz biegał z nami. I nagle zaczął się ociągać. Pamiętam, że zdenerwowana powiedziałam: – Kup sobie jakieś wygodne buty, jeżeli cię nogi bolą. – Wspominam to ze wstydem, bo jego już wtedy ta noga bolała«".

eprasa.pl d2f9aed44c

I pyta poeta w *Psalmie pytającym*: „To czemu kulas odjęli mi prawy?". W wierszu przedstawia rzeźnie i jatki, a ten zwierzęcy ubój odnosi do straty swojej nogi:

Pod nóż szło wszystko pod nóż moja noga
poszła owieczka jedyna bliźniaczo
Żona mi mówi taka kara sroga
za te zwierzęta co porżnięte płaczą.

A jakże inaczej wywodzić genezę *Psalmu o chorych nogach,* jeśli nie z tej jego choroby:

Bolą mnie nogi One we śnie
za sen mój chodzą na czereśnie
Że dalej chodzą za sny inne
wiem od pościeli całej w glinie.

Lecz Czesław Nowak mi wyjaśnia, że chodzi nie o chore nogi brata, ale o nogi ich ojca (też miał chorobę Buergera), który w czasie I wojny światowej przemierzył szlak bojowy z 57. tarnowskim regimentem piechoty nad Piawę we Włoszech. Nasłuchał się Tadeusz, jako młody chłopak, tych ojcowskich wspomnień, opowieści sąsiadów o żołnierskim maszerowaniu w błocie, po górach i po dolinach, w spiekocie, dniem i nocą. Nogi żołnierskie nie mają wytchnienia nawet w okopach, w krótkich interwałach snu. Chodzą we śnie na czereśnie, umęczone jak ukrzyżowany Chrystus.

Twórczość Tadeusza Nowaka ma w sobie coś z realizmu magicznego. Wieś, chłopski żywot – zmitologizowany i przetworzony przez wyobraźnię poety do zatracenia rzeczywistości.

Józef Baran – poeta pochodzący z nieodległego przecież Borzecina (wsi za lasem), który w wierszach Nowaka pachnie igliwiem i świeci bursztynową żywicą – znał go osobiście. Znał go dobrze. Powtórzył za Wiesławem Myśliwskim, że Nowak to słowiarz. Słowiarz i bajarz. Gdy już zaczął o tych Sikorzycach opowiadać, to jego wieś była jak z baśni. Ubogacił ją, udostatnił.

W latach osiemdziesiątych tamtego wieku wracali razem z Białej Podlaskiej do Warszawy, samochodem, z jakiegoś konkursu recytatorskiego. Nowak opowiadał o sadach pełnych rumianych jabłek i o smacznych papierówkach, żółciutkich jak słoneczka na niebie. O Dunajcu, z którego wydzierał konary czarnego dębu, aby Wiktorowi Zinowi zawieźć na rzeźby. Uśmiechał się do wspomnień z rodzinnego domu, w którym w komorze dojrzewały sery, u stragarzy wisiały boczki, pęta kiełbas, a pod startym żarnowym kamieniem leżał pękaty salceson. Na półce – bochny chleba przykryte płótnem, w garach glinianych – śmietany, w beczce – kapusta, w workach – mąka i „groszek jak pociosek". W pakach ze zbożem – gruszki słodsze niż miód i chałwa z Carogrodu. A jeszcze była piwnica, do której wchodziło się

eprasa.pl d2f9aed44c

jak do skarbczyka. A tam – „Stoliczku, nakryj się!": owocowe przetwory, soki, kompoty i marmolady. W skrzynkach, jak na straganie, cały asortyment jarzyn. Były też grzyby z pobliskiego lasu, jakieś nalewki zdrowotne i wina. Tak bajał o bigosie dojrzewającym już drugi tydzień w żeliwnym kociołku, że aktorowi Krzysztofowi Kołbasiukowi ciekła ślinka. A przecież wszyscy wiedzieli, że ta wieś była w czasach ich dzieciństwa biedna jak mysz kościelna. Śmiały się Nowakowi oczy do tego bogactwa, do zamożności i do dostatku – jak na obrazach martwej natury mistrzów baroku. Tak malował słowem ten bukoliczny wizerunek swojej wsi, sielankę. Bajarz.

W wierszach tego nie ma – tylko w opowieści na przygodną okoliczność. W jego poezji jest obraz inny: chłopski los, cierpiący Bóg, zwierzęta, mara senna, baśń – jakże czasem okrutna.

Jestem w rodzinnym domu Tadeusza Nowaka. Patrzę za okno w stronę ogrodu.

– To jak to było, był tu jakiś sad? Bo tylko kilka drzew rośnie. Gdzież ten las, do którego ciągnęły się pola za stodołą? – pytam Czesława Nowaka, chociaż wiem, że pole kończy się jakieś sto metrów dalej przy drodze, a las jest daleko, pewnie z pięć kilometrów, aż za rzeczką Kisieliną, za Jadownikami Mokrymi.

– To fantazja, wyobraźnia – śmieje się.

Żeby zrozumieć wiersz, trzeba dużo wiedzieć o twórczości i o pochodzeniu poety, o jego życiu, znać dzieje jego najbliższej krainy. Ale czasem wystarczy być tylko z jednego plemienia, czyli pić mleko tej samej jutrzni, kąpać się w tej samej rzece, bać się tych samych strachów, budzić się ze snu pachnącego sianem, w otoczeniu tego samego krajobrazu. Wystarczy tyle, a może – aż tyle. A wówczas taki głos ma walor autentyzmu. „My tylko nazwać nie umiemy czasem / naszej ojczyzny ukłonem do ziemi" – tak pisał Tadeusz Nowak w wierszu *Ojczyzna*. A przecież nazwał ją słowem najpiękniejszym. Nam tylko czerpać z jego dorobku – jak ze skarbnicy. Opisał swoją małą ojczyznę – ojcowiznę od źdźbła trawy, przez trudy żniwa, aż po mleczne zorze. „I nagle do nich zbiega z gór ojczyzna". Biegnie psalmami aż do brzegu morza, aby tam przyklęknąć z *Pacierzem sierpniowym* na ustach:

i Jeszcze Polska śpiewa się tak gorzko
kotwico dźwigu złamany w krzyż prosty
blacho kapiąca rdzą potu na wiosło
[…]
Lecz gdy zasypia się w stoczni na boku
przez tę szczerbinę między snem a jawą
widzi się siebie biegnącego wokół
i ręka twoja staje się buławą
[…]
i Jeszcze Polska śpiewa się tak gorzko
jakby spod tamtej salwy się podniosły
ręce daremnie ściskające wiosło.

eprasa.pl d2f9aed44c

Jest ten wiersz poetyckim hymnem dla stoczniowców. Modlitwą za tych zabitych w grudniu 1970 roku i pacierzem za tych z sierpniowych strajków roku 1980. Wiersz pisany w latach osiemdziesiątych XX wieku, zawarty w tomie ostatnim wydanym za życia autora – w roku 1988. A wtedy jeszcze nie wszystko było jasne i pewne. Polska jeszcze smakowała gorzko, „Jakby do hymnu piołunu sypnięto".

Czy poezja Tadeusza Nowaka przetrwa, skoro minął tamten czas zmagania się i wielkich marzeń? Czy przemieniła się Polska, nie przetrwała tamta wieś? Czy trafi do kolejnych pokoleń, które już nie znają takiej wsi, a za chwilę nikt nie będzie im mógł już o niej opowiedzieć?

Nie ma już tamtej wsi. Odeszła. Stała się prowincjonalną balladą. Przeminęła, tak jak przemija czas. Odpłynęła, jak odpłynęły dunajcowe wody czyste. Nie usłyszymy jej w pianiu kogutów, w klepaniu kos, w odgłosach wesołych zabaw na błoniu, wśród porykiwania krów i rżenia koni. Już pole nie pachnie sianem, żniwnym upałem złotych ściernisk, dymem z kartoflisk, a dom – pieczeniem chleba. Wieś zimą nie śpi wtulona w białe poduchy śniegu, a rzeka, która dawniej stanowiła integralną część wsi, teraz jest jedynie przeszkodą do pokonania. Zatarły się granice między tym, co wiejskie, a tym, co miejskie. I gdzie tu miejsce na poezję Nowaka? Przecież nie da się jej wtłoczyć w jakieś prezentacje kobiet z kół gospodyń wiejskich, ubranych w kwieciste spódnice i w czerwone korale, czy też między tańce oraz śpiewy zespołów folklorystycznych. To inna miara, inny ładunek emocji i przeżywania. Poezja Nowaka to twórczość najwyższych lotów, to już baśń i legenda.

Przetrwa, z pewnością przetrwa jako poetycki zapis tamtego czasu – i nie tyle treść będzie ważna, ile zachwycać będą: słowo, metafora, baśniowość i przebrzmiałe mity. Przyszły czytelnik sięgnie po nią, jak sięga teraz po wiersze Leśmiana czy po prozę Schulza.

Poezja Tadeusza Nowaka jest piękna, a jednocześnie dziwna i trudna. Przytoczę jeszcze jeden tytuł – *Psalm wielkopostny*. Cudowny wiersz, chociaż zdaje się nierzeczywisty, jakby wymyślony z koszmarów sennych, z onirycznych przywidzeń i ze strasznych historii. Poeta stwarza nastrój Męki Pańskiej Wielkiego Piątku. To zestawienie obrazów okrutnych i bolesnych wypływa z samego rdzenia chłopskiego świata, z jego odczuć, z prostej wiary i z życia, w którym nie brakowało okrucieństwa. I z takich grzechów spowiada się człowiek w ten wielkopostny czas. Tadeusz Nowak to poeta nastroju. Umiał, jak rzadko który, przywołać istotę cierpienia, grzechu i – wreszcie – przebaczenia słowami prostymi. Nie silił się na filozofię czy na teologiczne treści. Ten wiersz to takie wielkopostne rekolekcje.

Jego pacierze i psalmy to najpiękniejsze wiersze. Docierają do mnie, poruszają mnie czasem do głębi. I przyznam, że chociaż nie zawsze rozumiem i nie zawsze wiem, co poeta chciał przekazać – odbieram je całym sobą, każdą cząstką. Bo to poeta z mojego skrawka ojczystej ziemi, spod mojego nieba z sąsiednich

eprasa.pl d2f9aed44c

Sikorzyc. Cieszę się, że Tadeusz Nowak urodził się tutaj, nad Dunajcem, bo ta równina jest opisana w literaturze przez mistrza już na wieki. Nie zgadzam się z tymi, którzy Tadeusza Nowaka sytuują w jakimś nurcie chłopskim w literaturze. To selekcjonowanie z lat, gdy społeczeństwo dzielono na klasy. Dzięki Bogu już minęły te czasy. Twórczość Tadeusza Nowaka należy do kultury narodu, jest jej częścią i ją ubogaca.

Wiesław Myśliwski pisał: „Twórczość T. Nowaka w literaturze polskiej XX wieku sytuuje Go w szeregu takich twórców jak Bolesław Leśmian, Bruno Schulz czy Leopold Buczkowski, i nie dlatego, że łączyły Go z nimi pisarskie pokrewieństwa, lecz dlatego, że był tak samo osobny jak oni. Tak samo jak oni stworzył własne słowo-świat, własną baśń o ludzkim istnieniu, cierpieniu, miłości, przemijaniu, która najwyższy swój stan osiągnęła w takich utworach jak psalmy i *A jak królem, a jak katem będziesz*. A stworzyć baśń – to sięgnąć ideału literatury".

Tadeusz Nowak od roku 1965 kierował działem poezji w „Tygodniku Kulturalnym". Posyłali tam wiersze młodzi poeci, oczekiwali porady, recenzji, nauki, której redaktor Nowak chętnie udzielał. Jednym z takich pod sam koniec lat siedemdziesiątych XX wieku był Władysław Jan Burzawa – poeta pochodzący z Otfinowa (wsi po drugiej stronie Dunajca, naprzeciw Sikorzyc), teraz mieszkający w dalekim Chicago. Trzy lata temu we wrocławskim wydawnictwie J opublikował dwujęzyczny tom poezji pt. *Stan daleki serdeczności*, w przekładzie na język angielski prof. Tymoteusza Karpowicza i Franka Kujawińskiego, ze wstępem Józefa Barana i z posłowiem Andrzeja Krzysztofa Torbusa.

Tadeusz Nowak zmarł w roku 1991 roku, w wieku sześćdziesięciu jeden lat. Tak w wierszu *Wieczór z Tadeuszem Nowakiem* boleje Władysław J. Burzawa nad tą przedwczesną śmiercią poety:

Nie zapytam Cię
o tradycję wbijania noży w plecy
po wiejskich zabawach
ani o szczerby w płotach przy domach
gdzie mieszkały panny kawalerów
z innych wiosek
Nie zapytam też
czy Miłkowskiego diabeł straszył nad Dunajcem
i czy Bratko miał siwego konia
Nie zapytam
dopóki jeszcze butelka słów
z tej wioski
stoi na stole
nienaruszona.

eprasa.pl d2f9aed44c

Przytoczę jeszcze jeden wiersz – Ireny Niedzielko, poetki pochodzącej z Pasieki Otfinowskiej (sąsiedniej wsi Nowaka). Wiersz nosi tytuł *Gdzie król, kat, Nowak i ja*.

urodziliśmy się po dwóch różnych stronach wojny
ale po tej samej stronie Dunajca
ty bliżej ujścia
o kilka strzech starych sadów
o kilka pól owsa rzędów kukurydzy
o jedno pokolenie
otwieram twoją powieść
a tam w cieniu wielkiej jabłoni
przeciąga się leniwie moje dzieciństwo
zamglone błonia garbate stodoły
kołacze niedzielne tybetki
zapach rzeki i snu na sianie

nigdzie tylko nie odnalazłam osikowej twarzy
i w tej osikowej twarzy
której nie odnalazłam w moim dzieciństwie
mieszka cała wojna i żydowska kapela

a na wyciagnięcie gałązki wikliny
słychać plusk wody niepokojonej przez jabłka
papierówki z sadu mojego dziadka
a może to były królewskie złote renety
bo na katowskie czerwone jeszcze za wcześnie
człowiek przecież rodzi się królem
dopiero z czasem coraz więcej w nim kata

eprasa.pl d2f9aed44c

Jan Zieliński

Senne spojrzenia

Lustra[1]

Pamięci Danieli Lehtinen (1955–2025)

Dwie oniryczne migawki podróżne, osadzone w realiach amerykańskich (*W lustrach kwietnia*) i francuskich (*Niecierpliwa*). U Międzyrzeckiego spojrzenie przez okno sklepu na wykluwające się wielkanocne pisklęta przechodzi w widok mew o imionach ważnych, bliskich pisarzy (Norwida, Mandelsztama, Pascala). U Hartwig spojrzenie wędruje z wnętrza bistra ku morzu, skąd wędkarze wracają z nocnego połowu. Tam mewy krzyczały „I Co / I Co", tu dwóch graczy w kącie „klaszcze kartami". U Międzyrzeckiego podmiot przegląda się „w zawrotnych lustrach", a tkwiący w nim poeta „przejrzyścieje", odbicie nakłada się solipsystycznie na odbicie („widzisz siebie który widzi siebie") i zaciska się pętla snu. U Hartwig podmiot jest podwojony: „czekaliśmy", „siedzieliśmy", „my źle nad sobą czuwamy" – to gramatyczne sygnały spotkania dwojga ludzi, wzmożone przez uboczny widok „dwu graczy" i przez symetryczne zasypianie małych chłopców i małych dziewczynek. Ale z tej pary głos ma ona – i to jej głos pragnie snu: „Senna jestem. Gdyby pójść do domu". Spełnienie tego pragnienia jest w klamrze wiersza Międzyrzeckiego: „Śnisz śniących".

Julia Hartwig

Niecierpliwa

Wieczorem czekaliśmy w bistro aż nadejdzie pora wieczora,
siedzieliśmy w bistro przy winie aż nadejdzie północna pora,
aż hotel się uciszy, stróż nocny uśnie nad stołem.

[1] Pod tym nagłówkiem rozpoczynam w ramach felietonu dla „Wyspy" nowy cykl, poświęcony dobranym w pary i opatrzonym wspólnym komentarzem wierszom poetyckich par małżeńskich. Na początek: utwory Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego (licensed by Graal Agency).

eprasa.pl d2f9aed44c

Była niedziela, wstępowali do knajpy wędkarze po nocnym połowie,
tania jest szklanka wina.
Bonsoir, messieurs, dames! W kącie klaszcze kartami dwu graczy.
Od drzwi wwiało liście kasztanu.

Senna jestem. Gdyby pójść do domu.
Ale jeszcze spotkanie jest w pełni, jeszcze spełni się trud i spoczynek.
Mali chłopcy już leżą pod kołdrą, matka czuwa nad snem małych
dziewczynek.

A my źle nad sobą czuwamy. Trzeba bardzo by się spieszyć z płaczem,
by na radość mieć już suche oczy.
Ach, podróżni, bądźcie wytrwali, miłość taka jest jaką być umie.
Kot przeciąga się przez sen, drzwi głośno zatrzasnął wiatr.

Artur Międzyrzecki

W lustrach kwietnia

Ogrody betonu i róż w zawrotnych lustrach kwietnia
Ten co w tobie śpiewał przejrzyście je
Wielkanocne pisklęta wykluwają się na twoich oczach w witrynie
Piątej Alei
Mewy Cyprian Osip i Błażej krzyżując się w locie krzyczą I Co
I Co – i budujesz osadę na palach spoglądając na zegarek
Widzisz siebie który widzi siebie
Nawiedzasz zaludnione przestworza i nie zagrzewasz miejsca
Śnisz śniących

eprasa.pl d2f9aed44c

Czytelnia jednego wiersza: Fiedorczuk

Z Józefem Baranem rozmawia Mirosława Szott

Julia Fiedorczuk

Litania

mam pieniądze, dziecino, nakupimy czasu
nakupimy ci czasu w ogrodach urody
wolnych od konserwantów i wszelkiej pogody
poza pogodą ducha, ta przyjdzie z treningiem.

mam pieniądze, dziecino, nakupimy domu
nakupimy ci domu w malowanych krajach
nakupimy ci domu w krajach gościnności
mam pieniądze, dziecino, nakupimy domu.

mam pieniądze, dziecino, nakupimy śnienia
nakupimy ci śnienia w wersji all inclusive
za morzami z plastiku, za krzemową górą
nakupimy ci śnienia, dziecino, włóczęgo.

mam pieniądze, dziecino, nakupimy słońca.
nakupimy ci słońca w pakiecie z pokojem
światło po kraniec losu, pokój po horyzont
nakupimy ci słońca w pakiecie z pokojem.

mam pieniądze, dziecino, jesteś tu bezpieczna.
mam pieniądze, dziecino, będziesz długowieczna.
mam pieniądze, dziecino, jesteś najpiękniejsza.
mam pieniądze, dziecino, będziesz najjaśniejsza.

1785

Wiersz *Litania* Julii Fiedorczuk jest przeszywający, wręcz apokaliptyczny. Żadna z tych rzeczy, o której jest mowa, nie jest do kupienia – ani czas, ani śnienie, ani słońce, ani nawet dom rozumiany jako rodzina czy bezpieczna przestrzeń. Utwór

eprasa.pl d2f9aed44c

jest bardzo współczesny. A ta data na końcu – co ona oznacza według ciebie? A może to wcale nie jest data?

Data może dotyczyć czasów tuż przed rewolucją przemysłową w Ameryce, a w jakiś czas potem – rewolucji francuskiej. Obie zapoczątkowały przełomowe zmiany w świecie, rodzenie się kapitalizmu i napawały ludzkość ogromnymi nadziejami na przyszłość: że człowiek – dzięki zbudowaniu maszyny parowej, dzięki postępowi technicznemu, dzięki rozwojowi nauki, dzięki demokracji – może być jak Bóg, może osiągnąć wszystko albo prawie wszystko.

No tak, ale później przychodzi wielkie rozczarowanie postępem i pieniędzmi.

W tym sarkastycznym wierszu są jakby zawarte te wszystkie nadzieje na świetlaną przyszłość jako cel postępu – który możemy osiągnąć dzięki pieniądzom (są one motorem napędzającym kapitalizm, *spiritus movens* postępu). Jednak po czasie się okazało, że postęp ma – jak kij – dwa końce, bo prowadzi także do rozwoju śmiercionośnych broni i do masowego ludobójstwa, do automatyzacji, do umaszynowienia człowieka, do niszczenia przyrody i Wielkiej Natury, do wycinania lasów, do zawracania biegów rzek, do automatyzacji pracy. Oczywiście, postęp cywilizacyjny bardzo też ułatwił życie – osiągnęliśmy to, co wymarzyli sobie baśniopisarze, autorzy baśni arabskich: jakieś dywany, czarodziejskie lusterka. Zaczęły się one ziszczać w rzeczywistości pod postacią samolotów, tabletów, telefonów, przesyłanych sobie obrazów.

A wiesz, że ta data to też rok urodzenia Jacoba Ludwiga Karla Grimma?

To ciekawie się układa. Datowanie odnowionych psalmów i *Litanii* Fiedorczuk to może coś w rodzaju maski, za którą kryje się poetka krytykująca współczesne procesy cywilizacyjne. *Litania* – podszyta ironią – ma ładną, zgrabną formę zapadającą w pamięć, więc do mnie też przemawia. To bardzo dobry wiersz – a w poezji liczą się i to, o czym jest wiersz, i to jak jest zrobiony.

Masz pomysł, kto jest dzieciną, a kto – tym, który mówi? Bo raczej nie chodzi o prostą zależność między matką a dzieckiem.

„Matka" to my, którzy przyszykowaliśmy taką przyszłość, taki „wspaniały świat" naszym dzieciom. Ta uwspółcześniona świecka *Litania* mówi o czasach, gdy – z różnych przyczyn – nie mamy czasu dla swoich dzieci. O czasach, gdy marketingowcy różnej maści opowiadają nam – w reklamach w telewizji, w internecie – różne baśnie o cudownym świecie.

Litania jest tu pojęciem związanym bardziej z zyskiem i z materialnym światem niż z religią czy z duchowością (sam powiedziałeś: świecka). Powtarzaną frazą jest: „mam pieniądze, dziecino". Nikt tu nikogo nie błaga. To też sprawia dziwne wrażenie, prawda?

eprasa.pl d2f9aed44c

Dlaczego? Religią czasów współczesnych są pieniądze… Świątyniami są banki, a poetami – w mniemaniu powszechnym – są… biznesmeni. Bo mają pieniądze. Wszyscy chcą mieć dużo pieniędzy, wtedy są szczęśliwi… Kasa, kesz – można za to nakupić najróżniejszych rzeczy, zabawek, szkoda tylko, że – jak to napisałem w jednym z wierszy – nie ma takiej maszyny, która produkowałaby nam szczęście. O tym właśnie też – chociaż à *rebours* – pisze Julia Fiedorczuk w wierszu *Litania*.

Sarkazm to nie jest najłatwiejszy środek do przekazania emocji i myśli. Podobno dla niektórych użycie ironii jest już współcześnie dyskryminacją. W takim razie może w ogóle dobra poezja jest dyskryminowaniem prostego odbiorcy?

Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli. Czyli Mrożek, Szymborska, Gombrowicz – już nieaktualni?

Ale do rzeczy. Po przeczytaniu kilkudziesięciu wierszy Fiedorczuk – z internetu i z tomu *Gliff* – żywię w stosunku do nich dość sprzeczne uczucia. Muszę przyznać, że są to dla mnie wiersze o tak wielkim ciężarze czy hermetyzmie, że czasem mi się wydaje, że nie mogą same siebie unieść. A poezja musi trochę frunąć… Są bardzo zasupłane, zaszyfrowane, zaszaradzone, trzeba się przebijać przez różne biosfery poetyki, warstwy, nazewnictwa. W wierszach Fiedorczuk pojawiają się obce nazwy, pojęcia zaczerpnięte z języka nauki. Uważam – może się mylę – że to może mieć niewiele wspólnego z ekopoetyką, bo ekopoetyka powinna postulować język liryki, który *nomen omen* nie może być zachwaszczony zwrotami i słowami obcymi, mało obrazowymi, mało przeźroczystymi. Ekopoetyka – w moim rozumieniu – mogłaby być w dzisiejszych czasach ostatnią redutą broniącą czystości języka, krystaliczności wiersza, a może i klarowności przekazu. Tymczasem niektóre wiersze Julii Fiedorczuk bywają podobne do ślimaka w skorupie. Trzeba się bardzo namordować, żeby tego wewnętrznego ślimaka odmuszelkować, żeby pokazał różki. Na pewno nie są banalne. O, to to nie! – „prosty lud" ich nie tknie. Nie mogę jednak wyrokować o całokształcie twórczości Fiedorczuk...

Julia Fiedorczuk to nie tylko poetka, lecz także wykładowczyni i autorka programu Szkoły Ekopoetyki w Instytucie Reportażu. Podejmuje temat katastrofy ekologicznej, przemocy cywilizacji. Jak odnosi się do takich teorii poeta, który od dziecka był tak blisko natury jak ty? Czy przekonują cię współczesne teorie z prefiksem eko-?

Posłuchałem paru wykładów pani profesor o ekopoetyce i o ekopoezji. Przyznaję, że mnie – jako ekspasterza bydła w Borzęcnie, który kilkanaście lat pacholęcych spędził wśród pól, lasów, i to samotnie, co miało ogromny wpływ na kształtowanie wyobraźni – nie porwały. To nie znaczy, że nie doceniam jej elokwencji i umysłowości… Jednak poprosiłbym poetkę, jak Goethe na łożu śmierci, o „więcej światła!" dla wierszy, bo wydaje mi się, że jest to liryka dla profesorów polonistyki i dla krytyków, a ja chciałbym, żeby poezję mógł czytać również czytelnik

eprasa.pl d2f9aed44c

mniej utytułowany, tym bardziej że pani Julia ma przecież ambicję wpływania na świadomość Polaków – i krzewienia myślenia i odczuwania ekologicznego!

A tobie jest blisko do myślenia ekologicznego? Znam wielu miejskich aktywistów, którzy będą bronić jednego drzewa lub jednej kury, i wielu wiejskich rolników, dla których natura będzie zawsze podrzędną kategorią, przeznaczoną do maksymalnej eksploatacji.

Poeta Rodoć pisał, że w przyrodzie każdy zjada każdego. Przypomniał mi to ongiś Miłosz, gdy robiłem z nim rozmowę w jego 90. rocznicę.

Miłosz nie umiał się pogodzić ze złem istniejącym w Naturze. Co do chłopa, którego pamiętam z mojej wsi, to – przede wszystkim – jadał mało mięsa, a po wtóre, nie mordował masowo kur, które potem trafiają masowo do wielkich sklepów rzeźniczych. Wychowałem się za pan brat z przyrodą i z udomowionym zwierzętami, byłem z nimi na „ty", dlatego ekocentryczna postawa jest mi szczególnie bliska. Bardzo mi się podoba – i wielokrotnie o tym mówiłem za innymi zresztą pisarzami tzw. nurtu chłopskiego – żeby człowiek traktował z szacunkiem Ziemię Matkę i naszych braci mniejszych, lokatorów tej Planety. Tego mnie uczyli rodzice i dziadkowie, o tym powtarzał przy każdej okazji Julian Kawalec, kiedyś uznawany za wybitnego pisarza, dziś jakby zapomniany. W latach siedemdziesiątych przeprowadziłem z nim wywiad do tygodnika „Wieści". Tytuł: *Ziemi się kłaniać i matce*. W tym wywiadzie wielokrotnie mówił, że nasze życie i życie planety są uzależnione od malutkiego listka i od kłosa – i że ziemię się traktuje jak macochę, a powinniśmy ją traktować z szacunkiem i z miłością, jak matkę. Podobnie pisał o tym w swojej liryce Tadeusz Nowak. Pisali i inni: Urszula Kozioł, Ziemianin, Baran. A działo się to w czasie, gdy pani Julia się rodziła, więc nie mogła tego usłyszeć. W Krakowie wiersze – zrośnięte mocno z naturą i nieantropocentryczne – piszą: Zygmunt Ficek, Jadwiga Malina, a w twojej Zielonej Górze, o ile wiem, Sobkowiak.

Jak się dowiedziałem, Fiedorczuk przyszła na świat w Warszawie, więc nie wiem, czy całą sobą pisze wiersze ekologiczne… Przy tej tezie się nie upieram, bo i wielki Leśmian, tak cudownie wżyty swoją liryką w przyrodę, i ksiądz Twardowski też nie urodzili się jako wieśniacy, a przyrody naumieli się w późniejszych okresach życia. Jana wprowadzał w tajniki botaniczne czy w ornitologiczne jego profesor od biologii. Rozwijał tę wiedzę później na wikarówce wiejskiej, zanim wrócił do Warszawy. W poezji Fiedorczuk jest przyroda, są ptaki, drzewa, żyjątka różne egzotyczne, ale jakby bardziej globalne niż rodzime.

Wierzę, że jednak ktoś może to odkryć później, że może zatęsknić za naturą. Domyślam się, że Julia Fiedorczuk właśnie ma za sobą taką silną konwersję poza Polską.

A ja żywię może zbyt pyszne i niesłuszne przypuszczenie, że wielu poetów z wybetonowanych miast polskich (powtarzam: polskich, bo gdzie indziej,

eprasa.pl d2f9aed44c

przykładowo – w Sztokholmie, jest pod tym względem diametralnie inaczej), nigdy nie odczuje tego wzruszenia, które jest moim udziałem, tego ściśnięcia gardła, gdy czytam piękne metafory wynikające z przestrzeni, z krajobrazu, z widocznej przemienności pór roku, z odradzającego się co wiosnę świata przyrody, z gwiazd widocznych na wsi nad głową, a w mieście – jakoś nie. Dlaczego? Dlatego, że całymi latami przebywałem samotnie z krowami w polach, więc te obrazy z dzieciństwa niesłychanie mocno odbijają się na wyobraźni.

Tyle że ona i cała Szkoła Ekopoetyki chcą iść krok dalej.

Rozumiem to – jak również zagłębianie się poetki w światy pozaludzkie, wchodzenia w głąb sensu przez tytułowe gliffy, wychodzenia poza ramy ludzkiej logiki, rozumu, intuicyjny wgląd w mroczne „nic nie wiem", w biosferę podświadomości, w nierzeczywistość snu, w metafizykę bez Boga, bo Bogiem – jak czytam poetkę – była Natura. Czyli autorka skłania się do wyznawania jakiegoś rodzaju panteizmu, biologizmu, naturyzmu, a może nawet – neopogaństwa wzbogaconego o najnowszą wiedzę. Świat jest jak *tilia mordata* z jej tomiku *Gliff*, drzewo z jej wiersza, które wykonało zadanie wytrwania „na swoim miejscu / przez czterysta lat". Wytrwania dla samego wyrwania, bo – jak mówi inny poeta, genialny Leśmian – „w życiu nie ma nic poza życiem". Dodam, że widok wielkich sekwoi, liczących parę tysięcy lat, zainspirował mnie do napisania wiersza o wierze.

Rezerwat sekwoi
wielkie drzewa
w Parku Yosemite
trwają w wierze
trwożne na napomnienia
współczesnych filozofów apokalipsy

od dwu i pół tysięcy lat
nieprzerwanie głoszą prawdę
że życie jest wielkie
niepokonane
ma trwały sens
zapisany w słojach
i nie masz nikogo potężniejszego
od Pana
Który je zasadził

Tu widać dużą różnicę między tobą a Fiedorczuk. U ciebie sekwoja prowadzi myśli do Boga. U Fiedorczuk – sekwoja nie potrzebuje boga. Z jednej strony – ruchy ekopoetyckie powinny być ci bliskie, a z drugiej...

eprasa.pl d2f9aed44c

Z drugiej – rodzi to we mnie odruch buntu, gdy w poezji mam do czynienia chociaż z cieniem agitacji, propagandy, narzucaniem gotowców intelektualnych. Bo poezja – według mnie – ma być wolnością absolutną, ma się rodzić z wnętrza duszy i wychodzić na wierzch. Poezję pisze się całym sobą, także sercem, podbrzuszem i całym życiem, a nie – tylko intelektem. Cała epoka pozytywizmu była kiepska poetycko, bo z gotową tezą, wymyślona, zaprzężona do ciężkich wozów bojowych misji społecznej, do walki o wolność, o emancypację, o demokrację. I wtedy przestaje być poezją, a staje się poetycką ideologią. To samo może dotyczyć ekopoezji czy ekopoetyki – jakkolwiek by to nazwać. I – jakkolwiek – sama idea mi się podoba, gdyby jeszcze wyszła z wnętrza poety, z traumy, z przeżycia. Gdyby została przepuszczona przez jego trzewia, a nie – pojawiła się z zewnątrz.

Jako moda, która wcale nie jest czymś nowym/odkrywczym?

Nie ma co ukrywać: ten nurt poetycki został zaimplementowany z Ameryki. Ma swoje społeczne uzasadnienie, wiem, o co chodzi poetce, podobnie jak poetom amerykańskim czy myślicielom tego ruchu społecznego i literackiego zapoczątkowanego w XX wieku. Twórcom nowej poezji przyrody chodziło o upodmiotowienie natury i o przywrócenie zachwianej równowagi między cywilizacją a naturą, uzmysłowienie *homo sapiens*, że jest też tylko ogniwem w tym wielkim łańcuchu przyrody, że jest wielkim okiem w tej Wielkiej Sieci, gdzie wszystko łączy się ze wszystkim w myśl nauki New Age i gdzie – przez lawinowy, niekontrolowany postęp technologiczny – naruszyliśmy równowagę ekologiczną, więc grozi nam apokalipsa, katastrofa ekologiczna.

Może po prostu trzeba czasu, żeby to zweryfikować? Minie boom na zjawisko i będzie ono miało szansę zyskać głębsze znaczenie.

Wrócę do historii, bo ten nurt istniał właściwie od zawsze. Warto przypomnieć Stanisława Piętaka – przedwojennego poetę, twórcę o niezwykłej nadwrażliwości. W jego wierszach też się wiele działo, był uwikłany – wręcz zanurzony po szyję – w żywiołach Natury. Po wojnie popełnił samobójstwo. Był też taki poeta jak Jan Boleslaw Ożóg, którego nikt dziś nie pamięta. Jerzy Harasymowicz to też wspaniały poeta przyrody, chociaż za bardzo się przed nią wysuwał i uciekał w poetyckie mity. Myślę, że i u Przybosia można znaleźć utwory ekologiczne, szczególnie w wierszach gwoźnieńskich, pisanych później, gdy zobaczył, że moda awangardowa na „miasto masę maszynę", przywieziona do nas z Hiszpanii przez Peipera, okazała się mało pożywna poetycko. Przetrwała tylko i aż jako nowy język… Sam Przyboś okazał się najlepszy, gdy pisał nie o śrubach, tłokach i gmachach, lecz o wzgórzach Gwoźnicy i o Słońcu wschodzącym nad miejscem, gdzie się urodził. Bo to miał wpisane najmocniej w krew i trzewia.

eprasa.pl d2f9aed44c

Józef Baran

Pochwała drzew

zanim stąd odejdę
chciałbym odwdzięczyć
się słowem
za waszą posługę
anioły stróże domostw
ciche strażniczki zagród
kasztanowce topole
i jesiony szumne
górujące nad ogrodami
także wy wiązy dęby dumne
w rozłożystych koronach waszych
dosłuchać się daje
jesienią niespokojnych sztormów oceanu
grusze słodkie na miedzach śliwy rosochatki
brzozy podfruwajki
w halkach wiatrem podwianych
wonne papierówki
dzieciństwa piastunki
uginające się pod brzemieniem jabłek
niczym
wiejskie matki
dźwigające w oktuszach
liście buraczane
i wy leszczyny giętkie
na łuki przydatne
kruchyny z których strugałem pukawki
piękne lipy
w sukniach złotem cekinów nadziane
niczym zastygłe w wirowaniu
tancerki cygańskie
kuszące brzękiem pszczelim
takoż wonnościami
gospodarza
co zmęczony upałem

eprasa.pl d2f9aed44c

na chwilę przysiadał
pod waszym liściem
by odpocząć sobie

bóg zapłać wam wszystkim
statyści-halabardziści
w ludzkim hałaśliwym teatrze istnienia
odgrywający swą epizodyczną rolę
bez szmeru
czasem z dyskretnym poszumem
milionów listków
w procesji jesiennej
by potem zapaść w długi sen zimowy

ile w was łagodności i skupienia ile
gdy wiatr was bałamuci
lecz wy swoje wiecie
że lepiej poprzestać
na małym
niż uganiać się za pstrym szczęściem
po wywrotnym świecie

bo wy umiecie
się cieszyć
czerwcową harmonią zmierzchu
gdy świat staje jak wryty
i czeka przypływu
nocy co wchłania wszystko
i łączy w Jedno
jak na początku stwarzania

lecz to tylko antrakt
bo po chwili kurtyna mroku
idzie w górę
i znów słońce wschodzi
i wyświetla każdego z osobna

o przesłodkie morwy soczyste brzoskwinie
drzewa dzikie przyleśne przydrożne wikliny
nad Uszwicą
wśród których wyrosłem
jak wysłowić cierpliwe przywiązanie
wasze

eprasa.pl d2f9aed44c

do korzeni
tak pełne zgody na wszystko
co pogody dają

łącznikiem waszym ze światem bywają
sroki plotkary wiatry i bociany
tęskne nawoływania gżegżółek z oddali

o drzewa służki wartowniczki pilne
ile was cenić trzeba
ten tylko się dowie
kto was stracił
z oczu
na piaskach Sahary
na stepach
i sawannach
na bezludziach Arizony
gdzie plenią się tylko jukki i krzewy dżoszui

o popołudniowo-lipcowe
posiady rodzinne wśród drzew
nieziemskie sny emerytów
pod rozłożystą czereśnią
na której czubku
siedzi wciąż okrakiem
w mojej pamięci
chłopiec
z gębą pełną rajskich smaków
i choć mijają lata
nie chce stamtąd zleźć

o drzewa
niczym cienie
służące nam wiernie
od kołyski bujanej
do grobowej deski
godne fraszek Jana
poemów Adama
nie pogardźcie też skromnym
peanem
Barana

Borzęcin, sierpień 2025

eprasa.pl d2f9aed44c

Rafał Wojasiński

Za murami

For Dominika and Gerard

Fragment powieści

Rozpoczynałem dyżur wychowawcy w internacie, na nocną zmianę, z piątku na sobotę. Okazało się, że wszyscy uczniowie wyjechali do domu. Zostałem sam.

Stałem i przez cienką szybę w drzwiach patrzyłem na dziedziniec. Popękany beton przykrywał część ziemi. Wzdłuż niego – szary chodnik prowadzący do wychodków, sterta złomu po prawej stronie. Dziedziniec – otoczony budynkami ze wszystkich stron, z jedynym wyjściem przez starą bramę i przez furtkę, którą tu wszedłem. Czułem chłód przedostający się przez szpary przy szybie. Brakowało miejscami kitu.

Odwróciłem się. Spojrzałem w mrok korytarza, na którego końcu znajdowały się drzwi na chodnik, i na ulicę po drugiej stronie budynku. Skręciłem w lewo. W ciemności dotarłem do stołówki. Tam światło małej lampki oświetlało stolik w rogu przy oknie, pozostała część stołówki zapadła się w ciemność i wydawało mi się, że zniknęła w mroku, tak jak reszta budynku. Drżały mi nogi, zaczęła drętwieć lewa ręka, potem – prawy policzek. Myślałem, że zemdleję, ale po kilku minutach to przeszło, więc po omacku wróciłem na ciemny korytarz.

Stanąłem przy poręczy schodów prowadzących na półpiętro. W ciemności był jeszcze jeden korytarz, na którego końcu znajdowały się dwa małe pokoje. W jednym z nich mieszkałem jako uczeń liceum, a ze mną – mój młodszy kolega. W pamięci nazywam go Y. Lubił wieczorami słuchać, jak czytałem mu wiersze polskich i angielskich poetów, więc robiłem to kilka razy w tygodniu, przez godzinę, czasami dłużej. Najczęściej – kiedy już leżeliśmy w łóżkach, przykryci kołdrami z zapachem internatu. Y leżał najczęściej z rękami założonymi za głowę, a rękawy pasiatej piżamy opadały mu do łokci. Nigdy nie przerywał mojego czytania, a kiedy kończyłem, był zawiedziony, że to już, że następuje cisza przetykana tylko odgłosami zza okna, odgłosami ulicy miasteczka, w którym mieszkało dwa tysiące ludzi. Kiedy gasiliśmy światło, a w pokoju zapadała cisza, zaczynałem równo, spokojnie oddychać. Nic nie zakłócało mi wówczas poczucia własnego istnienia. Zasypialiśmy z Y w zupełnej ciszy, ale ciemność nas całkowicie nie pogrążała, bo przez okno, za którym

eprasa.pl d2f9aed44c

był chodnik przy urzędzie gminy, wpadało światło z nocnej latarni. Z zamkniętymi oczami czekaliśmy na poranek, na śniadanie i na pójście do szkoły.

Dużo czasu spędzaliśmy w naszym pokoju, a Y często patrzył przez okno na plac przy urzędzie gminy. Jego tapczan, podobnie jak mój, stał tuż przy niskim parapecie, więc Y mógł na nim usiąść i wygodnie obserwować, co się dzieje na zewnątrz.

Ludzie wychodzili z urzędu lub wchodzili do niego, czasami przejechał samochód, a wtedy światło reflektorów przenikało brudne szyby. Okna znajdowały się tuż nad chodnikiem, właściwie przy ulicy, więc po umyciu zachowywały czystość najwyżej jeden dzień. Y potrafił długo siedzieć przy oknie i wpatrywać się w jedno miejsce lub przesuwać oczami w lewo lub w prawo. Widziałem jego dłonie, włosy, czoło, oczy, powieki, wąskie i blade paznokcie, cienkie, długie palce. Żyły na skroniach, pod niemal przezroczystą skórą, jak u chorych dzieci, zdawały się momentami falować, a czasami robiły wrażenie martwych. Szczupłe dłonie Y, jego wąska klatka piersiowa, krzywe zęby, zgięty, orli nos, blade usta oraz długa szyja przyciągały moją uwagę. Uszy miał niemal przezroczyste, prześwietlane słońcem wpadającym przez okno.

Któregoś dnia po kolacji siedzieliśmy w pokoju i jedliśmy kanapki przyniesione ze stołówki. W pokojach nie wolno było trzymać żywności, więc jedzenie tu sprawiało pewną przyjemność. Wpychaliśmy w siebie chleb z cienką wędliną i z żółtym serem. Dostawaliśmy tego sporo.

Przestałem myśleć o Y, chociaż jeszcze chwilę wcześniej jego obraz był bardzo wyraźny w moim umyśle. Wszedłem do wąskiego korytarza i poczułem, że w tej części budynku jest zimniej. Pewnie mniej tu kaloryferów. Dotarłem do drzwi pokoju, w którym kiedyś mieszkałem – ciężkich, wielokrotnie emaliowanych, z dużą żeliwną klamką. Otworzyłem je i wszedłem do środka.

Łóżko, na którym spałem niemal czterdzieści lat wcześniej, wciąż stało po lewej stronie przy ścianie. Przed nim – krzesło i małe biurko. A bliżej mnie – stary, od dawna nieużywany piec kaflowy. Po prawej stronie – szafa, a za nią drugie łóżko. Kiedyś spał na nim Y. Naprzeciw drzwi w tym wąskim, małym pokoju znajdowało się okno, przez które czasami wieczorami wymykałem się z internatu, żeby spacerować samotnie po mieście. Teraz okno było zasłonięte ciężką zasłoną.

Podszedłem do szafy i ją otworzyłem. Z góry na moją głowę posypał się kurz.

Na półce stała stara maszyna do pisania. Używałem jej, gdy mieszkałem w tym pokoju. Na tej samej półce zauważyłem też kartki zapisane długopisem. Wziąłem je, zamknąłem szafę i ciemnymi korytarzami wróciłem do stołówki, gdzie wciąż tliło się światło przy stole w rogu sali.

Usiadłem przy stoliku. Siedziałem tak dwadzieścia minut. Poczułem sztywność w plecach, więc wstałem, podszedłem do okna i patrzyłem w ciemność szyby.

Latarnie przestały świecić. Ciemność ogarnęła część miasta. Tylko słabe, pojedyncze światła tliły się w oknach domów po drugiej stronie ulicy. Za tymi domami ciągnęło się uprawne pole, a za nim – cmentarz.

eprasa.pl d2f9aed44c

Wróciłem do stolika i rozłożyłem kartki znalezione w szafie. Przekładałem je, układałem jedną na drugiej, potem wziąłem pierwszą z wierzchu i zacząłem czytać.

Zimny wieczór. Kaloryfery w naszym pokoju słabo grzeją. Y leży na tapczanie w butach. Zjedliśmy wcześniej obiad. Jest piętnasta czterdzieści. Za dwadzieścia minut rozpocznie się obowiązkowa tak zwana nauka. To trzy godziny – do dziewiętnastej, do kolacji – kiedy wszyscy siedzą w swoich pokojach i się uczą. Odrabiają lekcje.

Y nic nie mówi. Leży na tapczanie i czyta lekturę szkolną, a ja przy biurku zapisuję te zdania. Jedno po drugim. Przy biurku, przy którym siedzę, pali się lampka z metalowym kloszem. Jest ciężka, nieco przerdzewiała u nasady. Y zapada się w ciemność. Jego nogi i brzuch są już właściwie w mroku. Nie ma ich. Lampka oświetlająca moje biurko daje tyle światła, że Y widzi jednak litery w książce. A może patrzy tylko w otwartą książkę, ale liter już nie widzi? Dziwne to światło. Widzę to, bo zerkam co kilka wyrazów, co kilka zdań. Teraz to zapisuję. Wcześniej zerkałem na Y. Przed chwilą. Patrzyłem na niego. Teraz to zapisuję. Tak. Zdania i wyrazy. Przed chwilą zapisałem zdanie. Tak. Właśnie.

Przestałem czytać. Trwałem na stołówce w półmroku i nawet się nie zastanawiałem, która godzina. A przecież było już późno, może nawet bardzo późno.

Poczułem głód. Pierwszy raz podczas tego wieczornego dyżuru.

Poszedłem do kuchni, żeby sprawdzić, czy kucharki zostawiły coś w lodówce. Zazwyczaj na sobotę i na niedzielę lodówka była pusta, a wszystko, co nadawało się do jedzenia, leżało zamrożone w wielkiej zamrażarce, mruczącej w zamkniętym pomieszczeniu za kuchnią.

Kiedy otworzyłem lodówkę, wydobyło się z niej słabe światło. Zostało kilka jajek. No tak. Jajek nie da się zamrozić. Znalazłem olej, patelnię, uruchomiłem gaz i zrobiłem sobie jajecznicę. Chleb, chociaż czerstwy, był jeszcze w chlebaku. Zjadłem jajecznicę z chlebem, a potem zaparzyłem herbatę. Nasłuchiwałem, czy oprócz wzmagającego się wiatru można jeszcze coś usłyszeć.

Wiatr wiał coraz mocniej, co potęgowało specyficzną ciszę w budynku. Po zjedzeniu posiłku wróciłem do stolika na stołówce i usiadłem na krześle. Założyłem nogę na nogę. Poczułem, że jest coraz zimniej. Wstałem.

Znowu wszedłem w ciemność korytarza, który prowadził do klatki schodowej. Pod schodami, tuż przy wejściu do budynku od strony podwórza, były niskie drzwi prowadzące do piwnicy. Zatrzymałem się i spojrzałem w lewo, na inne drzwi – te wejściowe, z pojedynczymi szybami. Znowu patrzyłem przez jakiś czas na dziedziniec internatu. Tym razem – z pewnej odległości od drzwi. Ubytki kitu były bardzo widoczne.

Podszedłem do szyby. Popękany beton na placu, stos zardzewiałych blach i prętów przy wychodkach, blask księżyca odbity na starym betonie. Wciąż to samo miejsce. Inne, bo już minęło pół godziny, może – godzina, więc zupełnie inne, ale wciąż to samo. Zmieniające się z minuty na minutę, z godziny na godzinę, z dnia na dzień, z roku na rok. Ale wciąż to samo.

Ruszyłem w kierunku drzwi do piwnicy, dosłownie trzy kroki.

eprasa.pl d2f9aed44c

Piwnica składała się z korytarza i z czterech pomieszczeń po lewej stronie. W czasie wojny były to cele. Trzymano w nich mieszkańców okolic. Cały budynek internatu stał się wtedy siedzibą żandarmerii niemieckiej. Żandarmi umieszczali w piwnicy więźniów – po przesłuchaniu, a czasami również przed przesłuchaniem. Na ścianach zostały napisy, jakieś ślady po skrobaniu ostrymi narzędziami, patykami albo paznokciami.

Na końcu korytarza, w kotłowni, stał duży, żeliwny piec. Zapaliłem światło. Góra węgla po prawej stronie, oddzielona betonowym murkiem, taboret palacza, duży piec, który okazał się zimny, więc podłożyłem drewno, papier, kilka kamieni węgla na wierzch i podpaliłem wszystko zapałkami, bo znalazłem je na taborecie. Ogień dość szybko się rozrósł.

Zgasiłem światło, a potem ciemnym korytarzem ruszyłem do wyjścia.

Kiedy znalazłem się na klatce, uświadomiłem sobie, że przecież to, co włożyłem do pieca, za kilkanaście minut się wypali. Wszedłem więc znowu do kotłowni, dołożyłem węgla, nastawiłem pokrywę blokującą tlen, żeby węgiel zbyt szybko nie uległ spaleniu, i wróciłem na klatkę schodową.

Ciemnym korytarzem poszedłem na stołówkę i usiadłem znowu przy stole, nad którym tliło się słabe światło z lampki. Czułem się nieco ociężały, jakby dopiero teraz zaczął działać we mnie posiłek, który sobie przygotowałem. Nie sprawdzałem godziny, nie wiedziałem więc, jak długo jestem już na dyżurze. Nie miałem na to najmniejszej ochoty. Pozwalałem czasowi biec i nasycałem się obecnością w tym budynku. Nikt nie pukał w okna, nie dobijał się do drzwi, nie dochodziły również żadne dźwięki z ulicy. Żadnych samochodów, odgłosów kroków. Nic, zupełnie nic. Tylko wiatr co jakiś czas się wzmagał.

No i nagle coś usłyszałem. Jakieś szuranie, które dochodziło z ciemnego korytarza łączącego stołówkę z klatką schodową i z wejściem do budynku od strony podwórza.

Poszedłem w tym kierunku. Kiedy byłem już w korytarzu, po lewej stronie zobaczyłem, mimo mroku, drzwi do gabinetu kierownika internatu. Po prawej stronie – wejście do łazienki. Zatrzymałem się.

Do moich uszu wyraźniej dotarł dźwięk, który słyszałem ze stołówki, wciąż jednak dobiegał jakby z dużej odległości. Złapałem za klamkę. Otworzyłem drzwi do gabinetu i stanąłem w ciemności. Nie chciałem zapalać elektrycznego światła w tym pomieszczeniu, bo wychodziło z niego duże okno na ulicę. Nie włączyłem też światła w innych pomieszczeniach. Bałem się, że jasność w oknach kogoś zainteresuje. Wszyscy mnie w miasteczku znali, ponieważ byłem nauczycielem w miejscowym liceum. Ktoś mógłby zapukać do okna, spróbować się dowiedzieć, czy akurat mam dyżur, mógłby namawiać mnie na pożyczkę, na alkohol albo starać się mnie wyciągnąć na miasto.

Nasłuchiwałem, czy nie powtórzy się tajemniczy dźwięk, to charakterystyczne szuranie, które usłyszałem, gdy siedziałem przy ledwo oświetlonym stole na

eprasa.pl d2f9aed44c

stołówce, ale nic takiego nie dochodziło do moich uszu. Nie słyszałem nic – poza wiatrem za oknem.

Ciemność w gabinecie stawała się ciężka, smolista. Miałem wrażenie, że zaraz stracę możliwość poruszania się.

Usiadłem w fotelu za biurkiem, gdzie siadał kierownik, i dalej nasłuchiwałem, ale wciąż nie dochodził żaden dźwięk poza odgłosem wiatru. Nie przesłyszałem się przecież, gdy byłem na stołówce.

Na wszelki wypadek zamknąłem drzwi – w nadziei, że uszczelnienie pokoju spowoduje większą czułość mojego aparatu słuchowego. Może mysz? Może to była zwykła mysz? Albo szczur jakoś się tu przedostał? Zdarzało się już, że przez kanalizację z miasta przychodził szczur i chodził sobie po budynku.

Cisza sączyła się ze wszystkich przedmiotów w tym pomieszczeniu, z szafy na segregatory, z biurka, z wieszaka, z dwóch starych foteli dla gości, z ławy. Oddychałem równo, siedząc bez ruchu.

Zamknąłem na chwilę oczy. Zdawało mi się, że zasypiam, ale to szybko minęło i wróciłem na jawę.

Patrzyłem w ciemność, która kryła drzwi na korytarz. Jakoś musi się to wszystko rozwiązać. Nie może być tak, że będzie się ciągnęło bez końca. Może to jakoś się rozwiąże? Może nastąpi taka chwila? Przecież wyraźnie słyszałem dźwięk, takie szuranie, bardzo podobne do szurania pazurkami szczura lub silnej myszy o śliską nawierzchnię. Właśnie: śliską, a nie – chropowatą. Musi się to wreszcie rozwiązać i wyjść na jaw, że to szczur. Albo – nie. To szuranie było w pewnym momencie tak wyraźne, że nie jest możliwością, abym pomylił je z czymś innym. To się musi wyjaśnić. Nie może pozostać bez wyjaśnienia. Przecież słyszałem. Słyszałem coś, co jest prawdziwe, na pewno prawdziwe. Szuranie. Momentami starałem się wstrzymywać oddech, żeby uzyskać jeszcze czystszą ciszę. Doznawałem jednak męczącego uczucia, że szuranie pozostało tylko w mojej głowie, że jest tylko w jej środku. Może tak mocno się nim przejąłem, tak mocno je sobie przyswoiłem, że nie byłem w stanie się go pozbyć. Ale wszystko zaczęło się od tego, że szuranie było prawdziwe, że na pewno słyszałem je ze stołówki.

I znowu, po chwili, zdawało mi się, że słyszę ten tajemniczy dźwięk, to szuranie, którego źródłem nie mogła być jednak mysz, tylko szczur. Mysz była za mała. Nasłuchiwałem, ale wciąż nie umiałem wyśledzić, skąd dochodzi tajemniczy dźwięk. Znikąd?

W ciemności wyszedłem na korytarz, gdzie dźwięk wciąż był tak samo słyszalny jak przedtem. Szedłem więc dalej w kierunku stołówki i zdawało mi się, że na końcu korytarza dźwięk nieco przycichł, aż w końcu przygasł całkowicie. I znowu docierał tylko szum wiatru zza okna.

Podszedłem do stolika z lampką i usiadłem przy nim. Ręce położyłem na blacie. Wzrok przeniosłem na kartki przyniesione z pokoju, który przed laty zajmowałem jako uczeń liceum. Wziąłem jedną ze środka stosu. Czytałem.

eprasa.pl d2f9aed44c

Y siedzi na tapczanie. Uśmiecha się. Mówi mi, że spotkał dziewczynę, z którą chciałby rozmawiać i się spotykać, ale po chwili stwierdza, że to nie ma sensu. I znowu się uśmiecha. Mówi mi, że w sobotę, gdy był w domu, dostał silnego ataku kolki nerkowej. W szpitalu długo nie mogli nic na to poradzić. Do niedzieli rano przesiedział ze swoją matką na ostrym dyżurze. Znam jego matkę. Jest podobna do Y. Albo on – podobny do niej. Czy to ma znaczenie, kto jest do kogo podobny?

Y ma nowe trampki. To pocieszające. Tak to poczułem w naszym pokoju. Gdy ja mam coś nowego, też jest to pocieszające. Być może razem to czujemy. A być może – nie. Nie rozmawiamy o tym.

Y postawił nowe trampki na podłodze przy swoim tapczanie. Nie kładziemy butów przy tapczanach, bo śmierdzą, zostawiamy je przy drzwiach, przy piecu albo na korytarzu. Ale trampki były nowe, pachniały gumą i materiałem. Y co jakiś czas patrzył na nie. Ja też zerkałem na trampki.

Odłożyłem kartkę. Wiatr na zewnątrz budynku wzmagał się trochę, a ja odczuwałem z tego powodu pewne podniecenie – zawsze mi ono towarzyszyło przy silnych podmuchach wiatru, przy ulewach lub przy śnieżycach.

Nagle usłyszałem, że na półpiętrze zadzwonił telefon. Dźwięk nie ustawał. Nie chciało mi się wstawać z krzesła, więc spokojnie czekałem, aż umilknie.

Umilkł, ale po kilku minutach znowu zaczął się rozprzestrzeniać w ciemności internatu. Czekałem, aż komuś znudzi się dzwonić, a ja będę mógł w mroku i w ciszy przebywać w samotności.

Telefon uparcie dzwonił. Wstałem. Przez ciemny korytarz poszedłem na klatkę schodową. Najpierw zbliżyłem się do drzwi wejściowych, prowadzących na podwórze, i przez szyby w drzwiach znowu patrzyłem na zewnątrz. Księżyc, mimo nocy, oświetlał dziedziniec tak mocno, że dość dobrze było widać stare blachy na kupie złomu niedaleko wychodków. Ten sam obraz po raz kolejny podczas mojego nocnego dyżuru. Nowy, ale ten sam. Patrzyłem na wychodki, do których na pewno byli wyganiani więźniowie. Chodzili tam też pewnie żandarmi, jednak do wyznaczonych, w lepszym stanie. To samo, zawsze to samo. Myślałem. W kółko. Myślałem. Telefon wciąż dzwonił. Wytrzymam. Myślałem. Tkwiłem przy drzwiach i patrzyłem na oświetlony księżycem dziedziniec, wpatrywałem się w beton na placu, gapiłem się na mur wikliniarni, na mury wychodków.

Było pięcioro drzwi do wychodków. W szeregu. Tam więźniowie musieli mieć chwilę, żeby pomyśleć o swoim życiu, które stało się nędzne i które być może zaraz się skończy. I gonitwa w głowie, i załatwianie się w tym czasie. Może – biegunka.

Telefon dzwonił. Księżyc, mimo pochmurnej pogody, jednak objawił się niemal cały. Co jakiś czas tylko go zakrywały, a raczej zamazywały, chmury przenoszone wiatrem. Bo żadna z chmur nie była wystarczająco ciężka, żeby całkowicie przysłonić blask wielkiego krążka.

Nie mogłem się ruszyć, stałem jak przykuty do podłogi, przychodziły do mnie jakieś wspomnienia, ale każde wspomnienie, radosne czy nie, wiązało się

eprasa.pl d2f9aed44c

z nieprzyjemnym napięciem, a przede wszystkim obarczało mnie głębokim smutkiem.

Dźwięk dzwoniącego telefonu zniknął na jakiś czas z mojej głowy, ale znowu zacząłem go wyraźnie słyszeć. Huczał mi pod czaszką.

Wszedłem po schodach na półpiętro, na którym stał mały stolik, a na nim – dzwoniący telefon. Przy stoliku stało krzesło. Usiadłem na nim i podniosłem słuchawkę. Przystawiłem ją do prawego ucha.

Cisza. Wsysająca, dźwięcząca cisza, jakbym wchodził do jakiegoś tunelu. Odłożyłem słuchawkę.

Dźwięk dzwonka znowu się pojawił. Podniosłem słuchawkę. Znowu – cisza. Słyszałem wyraźnie ciszę. Przepastną, niezgłębioną ciszę. Żadnego głosu. Brak liczb, głosek, liter, słów, tonów. Brak śpiewu ptaków, szczekania, słów, jęków, okrzyków radości, brak płaczu. Brak dźwięku drapania się, połykania, obcinania paznokci, wkładania butów, czesania, mycia zębów. Nie ma jęczenia z rozkoszy. Charczenia umierającego i płaczu narodzenia. Brak głośnego rozgryzania orzechów i śmiechu. Brak warkotu silników. Brak uderzania młotkiem w gwóźdź. Brak odgłosu zamykania trumny, zamykania lodówki, zamykania drzwi samochodu, drzwi domu. Brak dźwięku aparatu podtrzymującego życie. Brak krzyku rodzącej matki. Brak odgłosu krojenia nożem sera, cichego dźwięku rozcinania mięsa albo pomidorów. Brak odgłosu przecinania kości. Nie ma świstu oddechu, mlaskania, przełykania, drapania się. Nie ma dźwięku zapinania guzików w koszuli, suwaka w spodniach. Cisza. W mojej głowie. Odłożyłem słuchawkę.

I znowu: dźwięk dzwonka telefonu.

Wstałem. W mroku zszedłem na dół, na korytarz. Poszedłem na stołówkę i usiadłem przy słabo oświetlonym stoliku. Wyciągnąłem ze stosu kolejną kartkę. Czytałem.

Y jest blady. Poprzedniego dnia znowu miał atak kolki nerkowej, ale nie trafił do szpitala. Leży na swoim tapczanie. Siedzę przy stole i zapisuję te słowa. Y leży i patrzy przed siebie. Widzę to w chwilach, kiedy przerywam pisanie i na kilka sekund odwracam głowę w jego stronę. Przed nim – okno wychodzące na urząd gminy. Na nogach ma buty, nie zdjął ich po przyjściu ze szkoły. W internacie trzeba zmieniać obuwie, ale tego dnia nie zmienił. Ja byłem w skarpetach. Dzień jest dość pochmurny, zanosi się nawet na deszcz, może będzie silniejszy wiatr.

Y uśmiechał się chwilę, potem wstał i podszedł do okna. Pierwszy raz zobaczyłem, że ma skrzywiony kręgosłup, że ma bardzo krzywe plecy i jest przechylony na prawy bok. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem? Przecież chodziłem z nim do łazienki. Pod prysznic. Graliśmy razem w karty, siedział na wprost mnie. Spędzaliśmy mnóstwo czasu razem. I nie zauważyłem tej krzywizny. Lewe ramię wyraźnie opada, po prawej stronie ma taką bułkę na plecach. Głowa – jakby wykręcona trochę w prawo. Krzywa postać. Z tyłu najlepiej to widać.

eprasa.pl d2f9aed44c

Słabe światło dnia przebijające się przez okno oddziela wyraźnie kontury Y. Krzywizna zaczyna się już od prawego biodra. Przechodzi na plecy, a szyja jest wykręcona w przeciwną stronę. Głowa – zwężona. W tle – róg ściany, część okna, część firanki na wysokości nóg Y, koc w kratkę, którym przykryty jest tapczan. Y stara się stać prosto, ale nie stoi prosto. Jest krzywy. Pochyla się do przodu. Ręką opiera się o szafkę przy oknie.

W naszym pokoju panują cisza i spokój. Żadnych zbędnych dźwięków, które mogłyby nas rozdrażnić. Ja chciałbym być taki jak ty. Mówi Y. Po co? Pytam. Chcę mieć twoje buty, twoją kurtkę, twoje spodnie. Mówi. Twój wzrost, twoje dłonie, ramiona. Chcę mieć twoje włosy, nos, uszy. Po co? Pytam. Zapisuję te zdania i wyrazy. I patrzę na niego kątem oka. Tak. Kątem oka. Usiadł na tapczanie. Lekkie światło zza okna padło na jego twarz. Znowu się uśmiechnął swoim pięknym uśmiechem. Potem się położył i odwrócił przodem do ściany.

Szybko zasnął. Słyszę jego głęboki oddech. Pewnie jest zmęczony po ataku kolki nerkowej, którą miał poprzedniego dnia. Jego ciało jest zwinięte. Kilka tygodni temu byłem w domu rodzinnym Y. W piątek po lekcjach pojechaliśmy autobusem do miejscowości K. Tam przesiedliśmy się na autobus do miejscowości G, gdzie Y mieszka z rodzicami i ze starszą siostrą. Siostra jest studentką. Nie było jej w domu. Wysiedliśmy z autobusu i pierwsze, co poczułem, to świeże powietrze. Inne powietrze.

Byłem daleko od swojego domu rodzinnego. Szliśmy z plecakami na plecach w kierunku domu Y. Nie mówiliśmy nic do siebie. Chciało mi się do łazienki. Musiałem się załatwić, ale wiedziałem, że muszę dojść do domu Y. Jeśli zrobię to na chodniku, zostanę osądzony, ukarany. Pomyślałem. Tak. Nigdy tak nie zrobię. Myślałem. Wytrzymam. Myślałem. Bolał mnie brzuch, ale muszę wytrzymać, myślałem, nie mogę przecież zrobić tego pod drzewem na chodniku. Mamy kanalizację, różne budowle, cywilizację, więc muszę wytrzymać. Rozchoruję się, ale muszę wytrzymać. Tak. Myślałem, muszę dać radę. Inaczej skompromituję się przecież. Przegram. Będę prawdziwy, jak moi przodkowie, ale przegram. Mamy kanalizację, myślałem, ale jesteśmy już fałszywi. Tak. Myślałem. Jesteśmy fałszywi. I nigdy już nie będziemy prawdziwi. Będziemy cierpieć, bo nie jesteśmy już prawdziwi.

Weszliśmy do domu. Przywitała nas szczupła, miła kobieta. Matka Y. Za nią stał potężny mężczyzna. Ojciec Y. Zdjąłem wierzchnie ubrania w przedpokoju. Wąskim korytarzem matka Y zaprowadziła nas do dużego pokoju, a potem do sypialni po lewej stronie. Stało tam duże łóżko z lat przedwojennych, na którym ułożone były wysokie pierzyny. I dopiero wtedy zapytałem o łazienkę. Tak. Dopiero wtedy. Poszedłem się załatwić. Zrobiłem to w łazience.

Tego dnia wyszliśmy z Y po kolacji na boisko szkoły urządzonej w dziwiętnastowiecznym pałacu. Boisko wśród wysokich sosen. Znowu to powietrze. Graliśmy w piłkę koszykową. Potem przez zamglone, coraz bardziej zimne miasteczko wracaliśmy do domu Y.

eprasa.pl d2f9aed44c

Wieczorem siedziałem na wielkim łóżku, obok wysokiej pierzyny z gęsich piór. Y leżał już na swojej części łóżka, pod wysoką pierzyną. Zdjąłem skarpety i się położyłem. Przymykałem oczy. Y nic nie mówił. Przykryłem się jeszcze mocniej. Otworzyłem oczy i patrzyłem w sufit, a potem na starą szafę naprzeciw. Była na wysoki połysk. Lśniła. Byliśmy z Y po kolacji. Zadowolenie rozchodziło się po moim ciele. Nie widziałem Y. On nie widział mnie. Dzieliła nas wysoka pierzyna. Góra gęsich piór obleczona w biały, wykrochmalony materiał. Powoli zapadłem w sen, ale trwało to tylko chwilę. Potem się obudziłem i patrzyłem znowu na sufit, i na lśniącą szafę, na przemian. Nie wiem, dlaczego szafa lśniła, skoro była już noc.

Usiadłem na łóżku, bo zachciało mi się do łazienki. Odwróciłem się, spojrzałem na górę z pierzyny, która przykrywała Y. Nie widziałem go. Wstałem i obszedłem stare małżeńskie łóżko z wysokim, drewnianym tyłem na wysoki połysk. Stanąłem po stronie, na której spał Y. Była tylko pierzyna. Schował się pod nią całkowicie?

Przesunąłem pierzynę. Ciało Y wydawało się jeszcze mniejsze, niż kiedy stał, poruszał się lub siedział. Potrząsnąłem go za ramię, ale nie zareagował. Pochyliłem się nad jego twarzą. Oddychał głęboko i równo. Zapach jego oddechu był kwaśny, bardzo nieprzyjemny. Odrzucało mnie, ale jednocześnie dawało poczucie czegoś naturalnego, jakbym pierwszy raz od dawna obcował z czymś, co można było nazwać prawdą. Szarpałem Y za obie dłonie, za ramiona, dotykałem jego policzka. Spał tak twardo, że w żaden sposób nie mogłem go dobudzić. Ledwo widziałem jego ciało w mroku pokoju, ale sprawiało wrażenie bardzo małego. Y był jak dziecko, jak porzucone dziecko. Samo dla siebie niepotrzebne.

Wyszedłem z pokoju, przeszedłem po cichu przez drugi pokój i dotarłem do łazienki. Skorzystałem z niej po ciemku. Bardzo wolno spłukiwałem wodę w sedesie, żeby nikogo w domu nie obudzić. A może oni wszyscy tak spali? Może podczas snu wszyscy mieli takie dziecinne, martwe postury? Może żadnego z nich nie dałoby się dobudzić? Zastanawiałem się, jak z takiej matki, drobnej i pięknej, i z takiego ojca, potężnego i sprawnego, powstał Y. Może oni nie są spokrewnieni? Myślałem.

Wróciłem do pokoju. Usiadłem na łóżku i patrzyłem przez okno, które było przede mną, na noc oświetlaną połową księżyca. Śpiące ciało Y. Myślałem. Śpiące ciało matki Y oraz ojca Y. Położyłem się, przykryłem pierzyną i przez chwilę marzyłem o tym, że rowerem wodnym płynę wokół jeziora, przy linii brzegowej. Czułem zapach sosen, słyszałem krzyki żurawi, widziałem startujące kormorany i perkozy. Widziałem czaplę stojącą samotnie w sitowiu i zimorodki, które umykały, gdy zbliżałem się do brzegu. Leciały tuż nad powierzchnią wody, połyskiwały niebieskimi grzbietami. I znikały w dali. Widziałem dwie krzyżówki startujące z wody. I dwa łabędzie spokojnie płynące w oddali. Widziałem to w głowie.

Odwróciłem się w stronę Y. Dostrzegłem jego twarz. Jakimś cudem, mimo ciemności, widziałem, jak bardzo krzywa jest twarz Y. Jak krzywy jest jego nos. Głowa wyglądała tak, jakby prawą skroń Y ktoś wgniótł. Była wklęśnięta. Wcześniej tego nie dostrzegałem, bo tę część głowy zasłaniały włosy. Wtedy, gdy

eprasa.pl d2f9aed44c

leżeliśmy w łóżku pod wielką pierzyną, to wklęśniecie ujawniło się dla mnie, bo włosy były odsunięte, nieuczesane.

Co jakiś czas odwracałem głowę w stronę Y, żeby potwierdzić samemu sobie, że na pewno się nie pomyliłem, że tak a nie inaczej wygląda jego głowa. Była poważnie zniekształcona, tak jak jego nos i plecy.

Odwróciłem się na wznak. Leżałem spokojnie, czekałem na sen. To czekanie na zapomnienie o tak zwanym realnym świecie jest najlepszym momentem mojego dnia. To najmilsza chwila. Głowa podsuwała obrazy, wspomnienia, coś tam żyło w moim umyśle. Po jakimś czasie, może po kilku minutach, gdy sen jeszcze nie przychodził, zerwał się wiatr. Z zadowoleniem oddychałem. Ciało Y, ukryte niemal w całości pod pierzyną, leżało obok.

Rano obudziła nas matka Y. Wstaliśmy w dobrych humorach, zjedliśmy jajecznicę, wypiliśmy herbatę i ruszyliśmy zwiedzać G. Po kilkunastu minutach byliśmy przy starym, nieczynnym ewangelickim kościele. Przez furtkę przeszliśmy na teren ogrodzony kutym stalowym płotem. Wielkie drzwi wejściowe do kościoła, ciężkie od wilgoci, były częściowo spróchniałe, a farba na nich odchodziła wielkimi połaciami.

Weszliśmy do środka. Inny zapach. Wilgoć, pustka, cisza, chłód.

Y od razu skręcił w prawo i krętymi, wąskimi schodami poprowadził mnie na chór. Jego postać oraz kręte schody pasowały do siebie. Wchodził do góry bardzo sprawnie, prawą ręką trzymając się poręczy. To trwało krótko, ale wbiło mi się bardzo w pamięć. Tak. Wbiło mi się w pamięć.

Stroma drabina prowadziła jeszcze wyżej. Co tam jest? Spytałem. Strych. Powiedział Y. W kościołach są strychy? Spytałem. W tym jest. Powiedział.

Weszliśmy na górę. Przed nami pojawiła się płaska podłoga z desek, niemal nad całą powierzchnią kościoła. Deski były częściowo spróchniałe, między nimi przebijało się światło. Jeśli tam się wejdzie, to się spadnie. Powiedział Y. Na środku jest dziura. Tam kiedyś doszedł jeden człowiek i spadł. Zabił się na posadzce między ławkami. Leżał tak kilka dni. Potem zamknęli kościół. Ale ciągle zrywają kłódkę, robią dziury w ogrodzeniu, niszczą drzwi do kościoła. I tak będą wchodzić, i tak. Chcą oglądać ten strych. Tu nic nie ma. Powiedziałem. I co z tego? Powiedział Y. Musi zaraz coś być?

Y wszedł na deski. Ja się bałem, że spadnę. On wchodził coraz głębiej i głębiej. Doszedł do dziury, a potem wrócił spokojnie. Uśmiechał się swoim pięknym uśmiechem. Gdy się do mnie zbliżał, zauważyłem, że nie idzie równo, że prawa noga jest nieco krótsza. Przecież biegał, grał ze mną w piłkę, spacerował obok mnie wiele razy. Dlaczego tego wcześniej nie zauważyłem?

Kiedy schodziliśmy, w kościele zrobiło się niemal ciemno. Zebrały się ciężkie chmury.

Wyszliśmy na ulicę. Nikogo nie było widać, nie było też samochodów. Bez słowa ruszyliśmy w stronę domu Y. Reszty pobytu nie pamiętam. Było to przecież

eprasa.pl d2f9aed44c

całkiem niedawno, ale nic więcej nie pamiętam. Kilka dni temu nawet wątpiłem, że byłem w jego domu. Y nie poruszał tego tematu. Ja – też nie.

Y wciąż śpi na swoim tapczanie. Kaloryfery ledwo grzeją. Jest niemal ciemno. Ja piszę te słowa. Na plecach czuję zimno. Powiedziałem do Y: Wstawaj. Zaraz kolacja. Y się nie ruszył, nie drgnął.

Patrzyłem na niego. Ciało – zwinięte. Twarzą do ściany. Przed chwilą wstałem i usiadłem obok niego na tapczanie. Okazało się, że Y jednak nie śpi. Po prostu nie reagował.

Usiadł obok mnie. Poczułem bardzo nieprzyjemną woń z jego ust. Przechylił się i znowu położył twarzą do ściany. Patrzyłem, jak jego krzywe plecy ruszają się od głębokich wdechów. Siedziałem jeszcze jakiś czas na jego tapczanie.

Lewa noga Y nagle zadrżała i się poruszyła. Jak u psów, które zasypiają.

Wstałem i wróciłem do biurka. Teraz piszę te słowa. Teraz jest moment, w którym to robię. Y śpi. Nie rusza się. Nawet jego krzywe plecy się uspokoiły, już tak się nie podnoszą przy oddychaniu. Słychać coraz silniejszy wiatr, zaczyna padać deszcz. Y leży w butach. Nogawki spodni nieco mu się podwinęły, koszulę na plecach ma dość mocno pogniecioną. Może jej nie uprasował?

Położę się też i spróbuję zasnąć. Nie pójdę na kolację.

Spoglądam na zwiniętą niemal w kulkę postać Y. Widzę nagle w głowie moją babcię. Teraz. Tak. W tej chwili. Zbiera na polu kartofle, jej dłonie są w błocie. Ja na polu też zbieram kartofle. W mojej głowie. Moje dłonie są w błocie. Jest jesienne, późne popołudnie, powoli robi się ciemno, tak ciemno, że ledwie widać kartofle w błocie, ale można je wymacać i zebrać na kupkę, z której potem gablami trzeba włożyć je na wóz. Niebo wisi nad nami ciężkie, ciemne, poprzetykane jaśniejszymi plamami. Wilgoć w powietrzu, zimno zbliżającego się wieczoru, rozpostarta przestrzeń za nami, przed nami oraz z jednego i z drugiego boku. I gdzie on jest? Mówi babcia w mojej głowie i stoi w mojej głowie na tle ciemnego nieba. W dłoniach trzyma kartofle. Patrzy przed siebie. No, gdzie on jest? Mówi. Poszedł i go nie ma. Miał tylko się wody napić i iść do kibla. Gdzie on jest? No, miał przyjść. Nie ma go. Jest tyle kartofli do zbierania. No, gdzie on jest? Gdy jego cioteczny brat też tak poszedł napić się wody, to nie wrócił. Nigdy nie wrócił. I nie ma go. Pamiętam, że zbieraliśmy buraki. Akurat buraki. I nie wrócił. Nie wrócił, a ja się tak czuję, jakby cały czas zbierał te buraki. Czuję, jakbym ja też tam cały czas była i zbierała te buraki. I widzę, jak odchodzi, jak idzie w kierunku płotu, w kierunku domu i znika w szarości nadchodzącego jesiennego wieczoru. Znika w niepełnym mroku, w szarej ciemności, gdy w oczach się wszystko rozchodziło, rozmywało, a potem zupełnie zamazywało. Niepełna ciemność pochłaniała to, co jeszcze przed chwilą można było zobaczyć. Poszedł. Widziałam, że poszedł. Mówi babcia w mojej głowie. Niedaleko, do kibla i do domu, żeby się napić. Ale nie wrócił. Poszedł tak bardzo blisko, najwyżej sto metrów, może nawet nie sto metrów. Tak blisko poszedł i przepadł. Nie wrócił. Nigdy już nie wrócił. Jak można nie

eprasa.pl d2f9aed44c

wrócić z tak bliskiej odległości? Zbierałam w błocie buraki wtedy i już do końca życia będę czuła się tak, jakbym zbierała buraki w błocie. A ty będziesz przez całe życie czuł, jakbyś zbierał te kartofle, jak teraz. Mówi do mnie. Będziesz to przez całe życie czuł, że czas mija, a ty ciągle masz ubłocone ręce i trzymasz w nich zimne kartofle. I uznasz to za szczęście. Wiele razy w życiu uznasz to za szczęcie, za dziesięć lat, za dwadzieścia, za trzydzieści, za pięćdziesiąt. Uznasz to za szczęście, bo to będzie twoje prawdziwe i jedyne szczęście, bo to będzie twoja prawda, a szczęście jest tylko z tego, co jest prawdziwe. I nie znajdziesz innej prawdy, chociaż będziesz szukał i szukał. Tak jak moja prawda i moje szczęście są w zbieraniu buraków w błocie pięćdziesiąt lat temu. W pewnym momencie zrozumiesz, że już nic innego nie masz, tylko ubłocone dłonie i zimne kartofle w dłoniach. Będziesz musiał się tym cieszyć, jak inni cieszą się upojnymi, pięknymi wyprawami, obiadami w lokalach, opalaniem się na nadmorskiej plaży w towarzystwie ukochanej albo ukochanego. Zrozumiesz to, dotrze to do ciebie, że ze wszystkiego życie cię ogołociło, że ze wszystkiego czas cię ogołocił, że ze wszystkiego ludzie cię ogołocili, sztuka, piękno i wiedza. I tylko to ci zostanie. Tak. Tylko to. I wtedy zrozumiesz wszystko. Bo nic nie ma do zrozumienia. Pojmiesz to. Tak jak ja pojęłam. Pojęłam, bo nie da się tego pojąć. Zrozumiałam, bo nie da się tego zrozumieć. Mówi babcia teraz w mojej głowie. I poczujesz na końcu wstyd. Wstyd, że istnieje coś takiego jak twoje życie. Będziesz się wstydził tego, że żyjesz i że jest życie. Zostanie ci wstyd. I ręce ubłocone po zbieraniu kartofli. Zobaczysz, zobaczysz, nic innego ci nie zostanie, nic innego nie będzie. Będziesz szukał, starał się, ale nic. Tak. Nic. No właśnie. Nic. Tak. Właśnie. No. Prawda nie zna prawdy. Nic nie wie. Rodzi, każe żyć i odbiera życie. Szybciej słabszym.

Cill Rialaig, Ballinskelligs, Irlandia
28 sierpnia 2025 roku

eprasa.pl d2f9aed44c

Adam Górski

***
odbicie to słowo
które ma dwie
niepotrzebne dusze
bez ruchu
powiewają na wietrze
jak górski dzwonek jak wstążki
jaka bije z tego magia
czy da się zmierzyć
czy uchodzi w deszczu
i czy on powraca?

***
nie oszukuj kroków
w swoich myślach wędrowcze
tego jak tlą się chrzęszczą i pachną
przecież to są świecące pręgi
istniejące, przytwierdzone do miejsc,
cofnięte jak spojrzenie
przed osądem wzroku
waszego, wszystkich

były tam i wtedy, gotowe uciec
w gęsty sens drzew

Obraz

tu jesteś falo
przepraszam że cię zapomniałem
jesteś wyniosła jak królowa
i słaba
wzięta siłą

eprasa.pl d2f9aed44c

przez milion oczu
dlaczego zapraszasz mnie tutaj
i połykasz w miłości jak małego chrząszcza
uderzającego w szybę
na którą patrzył dziecięcy umysł
nieznający powtórzeń, obrotów:
płaczek które otaczają
śmierć

Jeszcze o obrazie

wzgórze – rosnące cętki
wygląda jak otwarta księga
a ich żółta jasność
zatrzymuje się sekundę przed radosnym śpiewem
drży
i pozostaje tam zawsze

nad księgą jest kawałeczek nieba
a naprawdę kamień
wokół którego pielgrzymują ślepi
widząc do dna
fale to pismo
coraz rzadsze
którego nie rozumie samotny rybak
łódka to nie łupina to listek
ile razy mniejszy niż smutek
nie określa go dal
jakby nie był w stanie zniknąć

to właśnie ta chwila przed
kiedy Boże słowo zostaje zupełnie samo
bez człowieka
i może zbawiać tylko pola
o kolorze porzuconego chleba

karm mnie rybaku
mlecznym odrzuconym snem
krążącym wokół ciemności
pozbawionym łaski niebycia

eprasa.pl d2f9aed44c

***
O czym myślicie drzewa?
dlaczego jesteśmy tym
czego nie wiemy
dlaczego rzucamy na wodę cień
który rodzi się z nas i nie tonie
trwa w świetle dnia
zapomina przypomina
pożąda milczy
jak twarz zdzierająca maskę

***
tyle chciałem ci powiedzieć
ale czy przylegamy do słów na wieczność
czy to one wędrują w naszym przebraniu
jak burza piaskowa
na końcu świata
tyle chciałem ci powiedzieć
o swojej podróży:
ale niedługo wzejdą nad nią dwie noce naraz
i zmienią mnie w twoje istnienie

eprasa.pl d2f9aed44c

Piotr Wojciechowski

44 i jeszcze raz tyle

Pisane dla „Wyspy"

Współczuć trzeba tym, którzy sądzą, że świat po prostu jest. Nawet jeśli się przyjmie, że jest (a wątpienie w to może być ciekawe), przyznać trzeba, że świat coś znaczy. *Znaczy* jest ważniejsze niż *jest*. Świat osypuje się nam w ręce i w serce hojnymi darami szyfrowanych komunikatów, obfitością znaczeń. Nie starcza życia, aby je wszystkie odczytać.

Konkretnie – dziś. Minus dwa, za oknem pada śnieg – przezroczyście, bez zadymki. Tu – płatek, tam – płatek. Dalej zaczynają się znaczenia. Jest Popielec. Z „Wyspy" pisze pani redaktor, że kwartalnik trwa, potrzeba tekstów. Kalendarz mi przypomina, że dziś kończę 88 lat. Nie ma czasu myśleć, co znaczy, że się dwa razy zaliczyło 44. Bo z Popielca wiedzieć powinienem, że potrzeba nawrócenia. A o „Wyspie" się wie, że nie jest pismem religijnym. Stąd wniosek, pisać trzeba o nawróceniu na kulturę.

Potrzeba takiego nawrócenia wyziera zewsząd. Wychodzę z mojego bloku na Sadybie i widzę: bardziej śmiecą. Bezczelniej podrzucają worki z odpadami. W naszym przybocznym Parku Towarzyskim i Spacerowym – puszki pod ławkami, opakowania po śmieciowej żywności utknięte w śnieg. Patrzę w okienko TV: rodzina, szkoła, ministerstwo, organizacje społeczne bezradne wobec masywnego wygarniania moralnego śmiecia w umysły dzieci i młodzieży. I od tego napastliwość okrutna, aż do zapędzenia w samobójstwo. Bójki, język pełen niewolniczych brutalizmów, przekleństw szkaradnych. Zakuci w prostokąty smartfonów, jadą na zmarnowanie w kibitkach portali społecznościowych. Jakimi wyborcami będą? Patrzę na zachowanie małego inteligenckiego ugrupowania w parlamencie. Co ze sobą zrobili ci wykształceni ludzie, z jako taką ogładą, zadbane kobiety, panowie tak dobrze patrzący, że kupiłoby się od nich używane auto? Czego zabrakło? Kultury rozmowy.

O kulturze rozmowy jak raz była okazja porozmawiać w Lublinie, bo tam kwartalnik „Ałmatur" zorganizował promocję mojej nowej książki, a dzięki życzliwości Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego wydarzenie okazało się bardzo udane. Na prezentację dzieła *Kartki holnym potargane. Z Kronik Podhalańskiej Akademii Wiedzy* przyjechała aż z Zakopanego para bohaterów wyjęta jakby z innej mojej książki – *Harpunnika otchłani*: farmaceutka rodem

eprasa.pl d2f9aed44c

z Lublina i zakochany w niej potomek jednego z wielkich gazdowskich rodów. Rozmowę promocyjną prowadził doktor Jan Boroń – poeta, redaktor naczelny „Ałmatora". Udało się nam mówić nie tylko o górach, lecz także o wolności. O tym, że rozmowa i wolność potrzebują się wzajemnie. Gdzie ludzie nie rozmawiają, bo nienawidzą się, nie ufają, podejrzewają podsłuch lub prowokację, nie ma wolności. Ale nie może jej być także tam, gdzie zaniedbany język stracił znaczenie albo stał się ubogi. Tam, gdzie ludzie – wpatrzeni w prostokątne urządzenia – zapomnieli, jak się w cztery oczy rozmawia szczerze do bólu, przyjaźnie do śmierci. Tam, gdzie nie ma rozmowy, negocjacje stają się kontredansem oszustów. Wyniki nam pokazują w TV – co dzień, do znudzenia.

Liczba 44 zatrzymuje mnie jeszcze w gmachu lubelskiej biblioteki przy ulicy Narutowicza, pod 4. We wrześniu roku 1944 łaziliśmy tu z bratem po pustych pomieszczeniach, pod naszymi nogami trzeszczały okruchy szkła z szyb wydmuchniętych eksplozjami, wiatr wlókł przez korytarze papiery z nadrukami hitlerowskiego orła. Podczas okupacji niemieckie urzędy zajmowały budynek i teren aż do kościoła Wizytek. Całe moje lubelskie życie, aż do matury w gimnazjum Zamojskiego, odbywało się przy ulicy Narutowicza. Tamtędy poszliśmy owej jesieni do szkoły – mój ośmioletni brat i ja, sześciolatek. A teraz wylądowałem tu jako stary pisarz, przybysz z Warszawy. I z gór.

Zaprosiłem moje gimnazjum z ulicy Ogrodowej na promocję mojej książki. Chyba nikt nie przyszedł. Może nauczyciele i sztubacy z „Zamoya" gdzie indziej nawracali się tego wieczoru na kulturę. A ja próbowałem tłumaczyć gościom spotkania, dlaczego góry ważne w twórczości i w filozofowaniu.

Góry były inspiracją dla kompozytorów, dla malarzy, dla poetów. Bliskość skalnych wierchów, ich groza, związek z burzami i z wichrami, trud gospodarowania w tym świecie – to wszystko uformowało osobliwość folkloru mieszkańców Podhala. Chcę do tych oczywistości dodać przypuszczenie: góry stanowią dla człowieka egzystencjalne doświadczenie Wielkości. Są duże, ich zdobywanie wymaga wielkich sił, wielkiej odwagi, a ludzi, którzy wspólnie zdobywają szczyty, obdarzają przyjaźnią większą niż ta, która się rodzić może w sytuacjach salonu czy kawiarni. Do gór przychodzi się po wielkość, wychodzi się z nich z wiarą, że wielkość bywa prawdziwa.

Zamyślam się nad tym szukaniem wielkości, które zdarza się ludziom buszującym w literaturze. Nie tak dawno mogłem zajrzeć na karty książki Wojciecha Wiśniewskiego. Znakomity autor literatury faktu, dziś 92-letni, poprosił mnie o napisanie przedmowy.

Pół wieku temu wydał kilka książek zawierających wywiady z polskimi pisarzami. Teraz napisał o swoich spotkaniach z pisarzami. Na niedawnej Biesiadzie Literackiej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wspomniałem o tym w comiesięcznym felietonie: „Wiśniewski pisze o ludziach, ale nie spieszy się z ocenami moralnymi czy estetycznymi ani twórców, ani dzieł. Mierzy świat wielkością, taką dziwną

eprasa.pl d2f9aed44c

miarą, którą wyniósł z powstania warszawskiego. Miał siostrę łączniczkę, roznosił gazetki powstańcze. Klęska pomogła mu dojrzeć. Zeszedł z barykady jako wróg klasowy rządzącej monopartii. Rodzina straciła wszystko. Niełatwo było przeżyć, zdobyć wykształcenie. Musiał być sprytny, chciał być wierny. Wypracował sposób życia po tej stronie barykady, której się nie kocha. Przeżył. Zdołał osiągnąć pewną pozycję w profesji dziennikarskiej, znaleźć swoją wielkość. Warto się zastanowić, co jest wielkie dla niego. Teraz nie spieszy się z sądzeniem. Wybiera wielkich pisarzy. Nie osądza dzieł i twórców – ani etycznie, ani artystycznie. Obiektywnie notuje, kto wziął legitymację, kiedy ją rzucił. To, co dla Wiśniewskiego ważne, to wielkość. Ktoś ma kasę i nakłady, ktoś zbiera nagrody, pojawia się w TV, kogoś słychać w radio, ktoś ma szacunek i autorytet. Sami wielcy".

Niedawno dostałem egzemplarz książki Agnieszki Papieskiej. Zachwycił mnie przede wszystkim tytuł: *Ścieżki w nieznane*. Wydano w „Austerii, Kraków, Budapest, Syrakuzy". Celny tytuł, taki nasz los! Ja sam kołaczę do edytorów z gotową powieścią – O*bietnica bezdroży*. Już kilka znakomitych wydawnictw mi odmówiło! Ścieżki w nieznane czasem prowadzą nas na bezdroża.

Papieska, podobnie jak to robił Wiśniewski, też przedstawia wywiady z ludźmi kultury, przeważnie z literatami. Kogo wybrała? Mówi nam w przedmowie, co łączy rozmowy tworzące tom: „ukazują wyjątkowych ludzi, którzy żyją tym, co robią, dzielą się z innymi swoimi odkryciami, twórczymi dokonaniami – i pasją, która przedmiot badań zamienia w wyprawę w nieznane". Wolę takie szukanie wielkości od klucza proponowanego przez Wiśniewskiego. Książkę Papieskiej czytam z podziwem i z szacunkiem, a to, że znalazłem się wśród rozmówców? Łaskawość autorki. Ile przypadku?

Myślę znów o liczbie 44. Tyle miałem lat w 1982 roku. Byłem pisarzem. I nagle zostałem felietonistą prasy katolickiej. Przełom, wiraż w życiorysie.

To nie był przypadek. Zadzwonił biskup, powiedział, że mnie polecono, a właśnie, po zamknięciu krakowskiego „Tygodnika Powszechnego" przez władze stanu wojennego, w Warszawie powstaje kulturalno-społeczny tygodnik katolicki. Zgodziłem się, wiedziałem, co biorę na siebie. Nie wchodziłem w tę grę w butach łamistrajka – do okopów wchodziłem jako zmiana. Byłem wychowany w duchu służby. Podobno władza myślała, że będzie nas kontrolować. Nie było tak, cenzurowali nas na tych samych zasadach, na jakich cenzurowali pismo Turowicza. A poza tym wiedziałem, kto mnie polecił. Kolega z klasy od podstawówki po maturę, Janusz „Czarek" Krzyżewski. Jedyny, który za PRL-u poszedł siedzieć za monarchizm. Po przełomie 1989 roku był w pierwszym składzie Rady Polityki Pieniężnej.

Zostałem felietonistą, także kierownikiem działu kultury w „Przeglądzie Katolickim". Pracowałem już, kiedy w wypadku samochodowym zginął Janusz Krzyżewski, zginęły żona i córki. A posada, jaką miałem od niego, dzięki niemu, została ze mną na życie. To jako felietonista prasy katolickiej jestem prozaikiem, poetą,

eprasa.pl d2f9aed44c

krytykiem filmowym, felietonistą takich kwartalników literackich jak „Wyspa" czy takich kwartalników regionalnych jak „Tanew". Wziąłem to, bo byłem pewien, że trzeba.

Piszę więc teraz i używam teologicznego określenia: *nawrócenie*. Zachęcam do nawrócenia się na kulturę. Trwa proces odchodzenia ludzi od Kościoła. Odchodzą ku wolności. Ale w tym czasie, w podobnym procesie, jeszcze liczniejsi odchodzą od kultury. Też – ku wolności. Puszkę po piwie rzucają pod ławkę w naszym parku, chociaż kosz na śmieci mają w zasięgu ręki. Pomyślcie, kochani, jak to jest z wolnością. Posłuchajcie, jak rozmawiacie między sobą.

W Lublinie, podczas promocji tomu *Kartki holnym potargane*, była okazja o tym pogwarzyć, tym bardziej że było z kim. Dr Piotr Boroń przez dziesiątki lat uczył polskiego w krajach, którym udało się odkruszyć od Imperium – w Białorusi, na Łotwie i w Litwie, w Kazachstanie, w Mołdawii. Uczył Polaków, którzy czytali już tylko cyrylicę. Uczył tych, którzy mieli ledwie jedną szesnastą polskiej krwi. Uczył obcych, których zauroczyła mowa naszych wieszczów. W Ałmaty założył pismo dla tej Polonii – od półwyspu Kola po Charbin, przeniósł redakcję do Mołdawii, teraz wydaje „Ałmatora" w Lublinie, kieruje fundacją wspomagającą polskie szkoły na Wschodzie. Ten nauczyciel, poeta, publicysta ma doświadczenie rozmowy, która przez miesiące edukacji i praktyki powoli staje się „rozmową rodaków". On mógł śledzić, jak sprawność języka otwiera tę przestrzeń wolności tam, gdzie przez dziesięciolecia czy przez wieki to był towar deficytowy. Czasem – ryzykowna kontrabanda. Boroń opowiada o ludziach, którzy nawracali się na polską kulturę, przychodzili spoza polskości.

Będę śledził, nadsłuchiwał rozmów, które toczy środowisko skupione wokół „Ałmatora". Wiem, jakie ścieżki i bezdroża przed nimi. Nawracanie się na kulturę to proces nieustannych wyborów, bo kultura to kręgi zamykające się wokół siebie. Kultura muzyczna ma i jazz, i włoski barok, i lubelskie kluby pań ćwiczące tajemnice ludowego białego śpiewu. Muzeum założone w kazachstańskim stepie, w zesłańczej wsi Oziernoje (Boroń opowiadał o nim), to część polskiego muzealnictwa – tak jak galeria malarstwa w bibliotece przy ulicy Narutowicza w Lublinie. Gdy tam byliśmy, na ścianach wisiały pejzaże chmur pędzla Pawła D. Znamierowskiego. Świat znów pokazał, że zależy mu na szyfrowaniu znaczeń.

eprasa.pl d2f9aed44c

Filozofka ciała

Z Agnieszką Stapkiewicz o jej książce *Świrszczyńska. Genialna i nieznana* rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Nazwisko bohaterki pani książki stanowiło rezultat pomyłki urzędniczej...

Nazwisko ojca Anny brzmiało „Świerczyński", natomiast u córki zniknęła litera „e", a pojawił się dodatkowy dźwięk: „sz". Powstało nazwisko bardzo trudne, nawet w polszczyźnie. Poetka nigdy go jednak nie zmieniła, widocznie jej odpowiadało. Dziś myślę, że ono oddaje jej oryginalność, wyjątkowość. To była silna osobowość, pełna pasji, walcząca, a jednocześnie bardzo ludzka. Moja książka to próba naszkicowania portretu poetki – opowieść o tym, jaką była osobą. Próbowałam opisać jej różne oblicza, bo nie wszystkie są znane. Była aktywną feministką – jasno i odważnie mówiła o prawach kobiet. Równie istotna była jej działalność społeczna: przez kilkadziesiąt lat publikowała artykuły, w których protestowała przeciwko nadużywaniu alkoholu i zachęcała Polaków do trzeźwości. To pokazuje jej temperament – była osobą żarliwą, waleczną i zaangażowaną. Jej twórczość podejmuje najważniejsze tematy, często w sposób na wskroś nowoczesny – przykładowo: szacunek do zwierząt, uwaga dla starych kobiet. Dlatego warto przypomnieć postać i dzieło Świrszczyńskiej.

Artystycznego bakcyla połknęła pod wpływem ojca?

Ojciec Świrszczyńskiej był malarzem. Jan Świerczyński specjalizował się we freskach historycznych. Jego cechą charakterystyczną był upór w trwaniu przy tym zajęciu, mimo że nie zapewniało ono środków do utrzymania rodziny. Anna wychowała się w niesamowitej pracowni malarskiej, pełnej albumów ze sztuką. Uzdolnienia odziedziczyła po ojcu, jednak przeszkodą w jej rozwoju stała się bieda, w jakiej żyła rodzina. Dlatego wybrała tańsze studia: polonistykę. Można powiedzieć, że w osobie Świrszczyńskiej świat literatury zyskał to, co stracił świat malarstwa.

Z prasą i z literaturą dziecięcą związała się „dla chleba"?

Jedną z jej pierwszych posad była praca w redakcji „Małego Płomyczka", w latach trzydziestych. Także po wojnie wróciła do pisania dla dzieci i ostatecznie to największa – pod względem objętości – część jej dorobku pisarskiego. W 1973 roku Anna Świrszczyńska otrzymała nagrodę Prezesa Rady Ministrów za całokształt

eprasa.pl d2f9aed44c

twórczości dla dzieci i młodzieży. Nic dziwnego, bo całe życie utrzymywała się z pisania dla dzieci. Napisała sporo bajek o Piaście, o Popielu, o Kraku i innych legend o początkach państwa polskiego. Tuż po wojnie wydała powieść dla młodzieży – *Arkona. Gród Świętowita* – w której nakreśliła panoramę społeczeństwa Słowian przed przyjęciem chrześcijaństwa. Najczęściej Świrszczyńska pisała krótkie bajki (przekształcała je w zależności od potrzeb), a miała szczególną łatwość rymowania. Utwory dla dzieci wydawano w ogromnych nakładach, więc jeśli ktoś ma w domu księgozbiór sięgający lat osiemdziesiątych XX wieku (a nawet – późniejszych) – bardzo prawdopodobne, że odnajdzie w nim tytuły poetki. W książce *Świrszczyńska. Genialna i nieznana* ukazuję, jakie bohaterki dziecięce tworzyła i czy to postacie spójne z wyznawanymi przez autorkę wartościami.

Na niwie literatury debiutowała jeszcze w *interbellum*. Zauważalnie?

Od początku Świrszczyńska zapowiadała się świetnie. Debiutowała wierszem *Południe*, którym zajęła pierwsze miejsce w konkursie „Wiadomości Literackich" (1934 rok). Wspominała, że dzięki temu spotkała się z Tuwimem i z Wierzyńskim – i obaj ją zachwycili. W 1936 roku wydała (własnym sumptem) tom *Wiersze i proza*, który zebrał bardzo dobre recenzje. Dziś widać, jak bardzo był prekursorski. Zawiera tyle zaskakujących metafor i pomysłów stosowanych przez wybitnych, późniejszych poetów, że nazwano go „plagiatem przez antycypację". To teza Elizy Kąckiej, która dostrzegła pokrewieństwa obrazowania debiutującej Świrszczyńskiej z późniejszymi utworami Zbigniewa Herberta, Wisławy Szymborskiej, Mirona Białoszewskiego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Tadeusza Różewicza, Stanisława Grochowiaka[1].

Po debiucie właściwie nigdy nie obniżyła lotów. Bywa nazywana autorką najśmielszych erotyków – i słusznie. Anna Świrszczyńska obalała jedno tabu za drugim: pisała o orgazmie, o seksie z różnymi partnerami (także młodszymi), o miłości starszych osób i o uprawianiu sportu w późniejszym wieku. Nie przeszkodziło jej to zadawać jednocześnie pytań o sens życia. Była prawdziwą filozofką, mówiącą prosto i na temat.

Miłością jej życia był Seweryn Pollak?

Przebyła długą drogę – od zakompleksionej nastolatki do dojrzałej kobiety, świadomej swojej władzy nad mężczyznami. Istnieją wzmianki świadczące o tym, że Seweryn Pollak – ceniony tłumacz literatury rosyjskiej – był dla niej postacią szczególną. Jak wynika z niepublikowanych listów Świrszczyńskiej do Pollaka, łączyła ich silna namiętność. Poznali się w latach trzydziestych. Seweryn był już wtedy żonaty. Świrszczyńska nie naciskała na rozwód ani na ponowny ślub – przeciwnie,

[1] E. Kącka, *Gwiazda podziemna*, [w:] A. Świrszczyńska, *„Roztopiona we wszystkim". Nienasycenie. Wiersze*, Kraków 2021, s. 9–11.

eprasa.pl d2f9aed44c

zrzekała się swojego szczęścia na rzecz utrzymania więzi małżeńskich. Z późniejszej korespondencji wynika, że tę znajomość przekształcili w relację koleżeńską. Dodaję ten wątek do dotychczasowej wiedzy o poetce.

Heroizmem wykazała się podczas powstania warszawskiego…

Nigdy nie używała tak wielkich słów – swój udział przedstawiała jako jedną z wielu funkcji, jakie przyszło spełnić warszawskim cywilom. Jej zbiór stu wierszy poświęconych powstaniu – *Budowałam barykadę* (1972) – to hołd oddany tym, którzy polegli, i oskarżenie rzucone przywódcom powstania. Jako sanitariuszka otrzymała dramatyczną lekcję cielesności. Pisała później, że ceniła wydzieliny jeszcze żywego ciała – bo życia wokół było coraz mniej. To doświadczenie na zawsze naznaczyło jej twórczość i sprawiło, że temat ciała stał się jednym z najważniejszych. Jednak aż trzydzieści lat trwało, zanim znalazła język adekwatny dla tych przeżyć.

Czy jej empatia, jej solidaryzowanie się z tymi, którzy nie mają głosu, mogły wynikać z własnych doświadczeń biedy, głodu, wojny?

W dzieciństwie Świrszczyńska doświadczyła skrajnego ubóstwa. Mieszkała w nieopalanej pracowni malarskiej – pełnej obrazów, ale pozbawionej wygód, a czasem nawet chleba. Opisała w wierszach, że matka musiała stać w kolejce po „zupę dla nędzarzy". Wydaje mi się, że właśnie postać matki – cichej, pokornej, pełniącej niezbędną, a jednocześnie niedocenianą funkcję – mogła być dla Świrszczyńskiej pierwszym, chociaż nie do końca uświadomionym doświadczeniem, pozwalającym jej później tak głęboko rozumieć losy innych kobiet, których życie było służbą innym.

Poetka nie tylko wokół siebie zauważała ludzi cierpiących – pisała wiersze o kobietach afrykańskich, które stale muszą tłuc maniok (*Pieśń kobiet o manioku*). Bo właśnie kobiety – „urodzone pod czarną gwiazdą" – są spadkobierczyniami cierpienia. Świrszczyńska pisała: „Moje cierpienie to ołówek, / którym piszę" (*Moje cierpienie*). Utrzymywała kontakty z chorymi i z samotnymi – odwiedzała ich, wspierała, pocieszała. Pisała, że cierpiący to naród władający osobnym „językiem" – a ten Świrszczyńska znała biegle. W wierszach wyrażała swoją więź z żebraczkami z krakowskich Plant – nazywała je „siostrami z dna" i znosiła wszelkie różnice między sobą a nimi. Naprawdę się z nimi bratała. A przecież była intelektualistką, literatką. W Krakowie, na Plantach, znajduje się dziś ławeczka upamiętniająca Świrszczyńską – dla mnie to symbol podwójny, bo rzeczywiście siadywała tam razem z żebraczkami.

Zamieszkała w Krakowie z powodu zniszczenia domostwa warszawskiego?

Gdy – po upadku powstania – Świrszczyńska znalazła się w Krakowie, nie miała nic. Mieszkanie w Domu Literatów na Krupniczej było niezwykle cenne.

eprasa.pl d2f9aed44c

Na początku poetka traktowała chyba Kraków jak stację tymczasową – w latach czterdziestych i pięćdziesiątych pisała podania o przeniesienie do Warszawy. Podobno nie zdecydowała się na powrót do Warszawy, bo jej ojciec nie mógłby mieć tam pracowni, jaką dysponował w Krakowie. Świrszczyńska nigdy nie rozluźniła więzi z rodzicami – właściwie całe życie mieszkali razem. Sądzę, że stały za tym – poza koniecznością ekonomiczną – skromne możliwości mieszkaniowe w PRL. W pewnym momencie w mieszkaniu na Krupniczej przebywało sześć osób: poetka, jej rodzice, mąż, dziecko i teść. Świrszczyńska była jednak zaradna i pracowita: często wnioskowała o stypendia i pożyczki w Związku Literatów Polskich. Wywalczyła także dodatkowy pokój w kamienicy – na pracownię dla siebie.

Przez okres socrealizmu przeszła suchą stopą?

Warto pamiętać, że Świrszczyńska wychowała się w kulcie ideałów rewolucji 1905 roku. Ojciec zaszczepił jej wrażliwość na los robotników i prostych ludzi. Jej wypowiedzi mogły brzmieć jak głos poparcia dla reżimu, jednak była krytyczna wobec partii. Myślę, że twórczość dla dzieci stała się przestrzenią, w której mogła tworzyć bez ingerencji cenzury. Tematy piastowskie były dobrze widziane przez władze komunistyczne, bo wykorzystywano je w narracji politycznej, jednak życie Słowian interesowało Świrszczyńską już przed wojną, więc czasami mogło to być przypadkowe i fortunne wpisanie się w oczekiwania władzy.

Była aktywną feministką, niezależnie od obietnic wycofywanych przez władze. Kiedy ukazał się tom *Jestem baba*, krytycy nie bardzo wiedzieli, jak go sklasyfikować – nie pasował zupełnie do tzw. poezji kobiecej. Świrszczyńska umieściła w nim krótkie, dojmujące miniatury – scenki, które celnie ukazują opresję kobiet. Pokazywała los prostych chłopek, zaharowanych i doświadczających przemocy. Nie są to jej osobiste doświadczenia, lecz raczej – poetycki projekt nakreślenia kobiecego uniwersum (stąd tak wiele wizerunków bohaterek, z którymi autorka się solidaryzowała). Znalazłam wzmiankę, że kobiety po jednym ze spotkań na wsi dziękowały jej za to, że opisała ich życie – to ją bardzo cieszyło. Pisała prosto, chciała – dosłownie – trafić pod strzechy. Dziś łatwiej dostrzec, że zbiór *Jestem baba* był „głosem w sprawie". To znak protestu przeciwko niemożliwości odmiany życia kobiet, pokazujący mimochodem, że państwo nie zrobiło nic, aby poprawić ich los.

Małżeństwo zawarte ze znacznie młodszym mężczyzną budziło sensację?

Anna Świrszczyńska wyszła za mąż za Jana Adamskiego – krakowskiego aktora, młodszego od niej i niezwykle towarzyskiego. Ze względu na piętnastoletnią różnicę wieku było to małżeństwo nietypowe jak na tamte czasy. Sama Świrszczyńska żartowała w wywiadach, że marzy o tym, aby mąż każdej literatki zaprzyjaźnił się z odkurzaczem – z czego można wnioskować, że Adamski raczej unikał domowych

eprasa.pl d2f9aed44c

obowiązków. Na pisarkę spadła więc opieka nad domem, nad dzieckiem, a także nad rodzicami i nad teściem.

Związek zakończył się z powodu romansu Adamskiego z inną poetką?

Po piętnastu latach małżeństwa mąż Świrszczyńskiej zakochał się w dużo młodszej kobiecie, która także mieszkała – krótko – na Krupniczej. Tak się złożyło, że była nią Halina Poświatowska, już u kresu swoich dni. Z tego wątku często wydobywa się sensację, a mnie najbardziej ciekawi, co takiego miał Adamski, że zyskał uwagę dwóch tak interesujących twórczyń.

Skąd wzięła się aktywność antyalkoholowa Świrszczyńskiej?

To jedno z bardziej tajemniczych zjawisk w spuściźnie poetki. Przez ponad czterdzieści lat publikowała w prasie żarliwe filipiki i apele nawołujące do walki z nadużywaniem wódki przez Polaków. W książce przytaczam fragmenty. Sądzę, że to kolejna ze spraw, które poetka uznawała za tak ważne, że nie zniechęcały jej ironiczne reakcje i złośliwe komentarze. Świrszczyńska chciała ulepszać świat, także jako obywatelka – czasami przejawiało się to w pouczaniu i w proponowaniu nierealnych postulatów. Jej postawa była spójna, bo sama była abstynentką. Dziś trzeba przyznać jej rację także w tej smutnej diagnozie skłonności rodaków.

Wegetarianizm, joga, bieganie… Kusiły ją obyczajowe trendy?

Niewątpliwie była ciekawa świata i chłonęła ciekawostki. Nie wiem, dlaczego zainteresowała się jogą, lecz jest faktem, że uczyła się od prekursorki w tej dziedzinie – Maliny Michalskiej, pierwszej polskiej joginki, która zgłębiła arkana tej starożytnej wiedzy, chociaż nigdy nie odwiedziła Indii. Musiała robić to dobrze, ponieważ uznanie wyrazili jej sami Hindusi.

Świrszczyńska żyła świadomie i poważnie traktowała zwłaszcza ciało. Przejawiało się to zarówno w poezji, obfitującej w wiersze na ten temat, jak i w praktykach, które stosowała: uprawiała jogging, brała zimny prysznic. Nie jadła mięsa, bo była przeciwna zabijaniu zwierząt, więc stanowiło to element światopoglądu, a nie – pogoń za nowinkami. Zresztą, czytałam, że także Maria Pawlikowska-Jasnorzewska uprawiała jogę i była wegetarianką, więc może to raczej wynik postrzegania świata przez ludzi wrażliwych.

Czesław Miłosz chciał widzieć w poezji Świrszczyńskiej wymiar metafizyczny, chociaż poetka deklarowała agnostycyzm. Autorka C*zarnych słów* nie zapomina, że wszystkie aspekty naszej egzystencji rozgrywają się w ciele – i nie ma od tego ucieczki. Z ogromną czujnością przyglądała się zwłaszcza doświadczeniu kobiecego ciała, którego istnienie jest jeszcze bardziej skomplikowane, bo obarczone dodatkowymi oczekiwaniami i ograniczeniami społecznymi. Pisała o tym z niezwykłą szczerością i z uwagą. Świrszczyńska to wielka filozofka ciała – notująca zarówno jego radości i rozkosze, jak i lęki oraz tajemnice.

eprasa.pl d2f9aed44c

Najbardziej płodny twórczo czas nadszedł dla niej razem z emeryturą?

Po sześćdziesiątym roku życia wróciła do poezji – i był to powrót spektakularny. Gdy patrzę na jej życie, sądzę, że kluczowe było to, że wreszcie zyskała „własny pokój" – wedle określenia Virginii Woolf. Chodzi o przestrzeń i o środki, które kobiecie pozwalają tworzyć. Z pisania trudno się utrzymać, a jednak Świrszczyńskiej to się udało. Przełom nastąpił po dramatycznym rozstaniu z mężem. Córka była już nastolatką, rodzice zmarli, a ona zyskała niezależność i upragniony spokój. Wtedy właśnie nastąpiła erupcja jej twórczości. W krótkim czasie ukazało się kilka tomów: każdy inny stylistycznie, podejmujący nowe zagadnienia, napisany nowym językiem.

Sława nie zawsze idzie w parze z talentem. Świrszczyńska była obecna – publikowała dużo, sama przedstawiała się jako literatka. I rzeczywiście – to był jej jedyny zawód. Warto pamiętać, że jej najważniejsze wiersze powstały późno. Były odważne, czasem – obrazoburcze. Nawet Miłosz, który jej twórczość promował i tłumaczył na angielski, nie wszystkie potrafił zaakceptować. Wyprzedziła swoje czasy: dostrzegała grupy marginalizowane i przejmująco o nich pisała. Już pięćdziesiąt lat temu poruszała kwestie, które dopiero od niedawna przenikają do powszechnej świadomości. A przecież żyła w realiach PRL, za żelazną kurtyną. Skąd u niej taka samorodna wiedza i świadomość? Świrszczyńska rozsadza wszystkie ramy, w które próbuje się ją wpisać.

Zawsze stawiała na szczerość – także wobec samej siebie. Jej wiersze robią wrażenie właśnie dzięki bezkompromisowej wiwisekcji, dzięki próbie dotarcia do istoty własnego istnienia. Uparcie dążyła do tego, aby odnaleźć samą siebie. Pisała: „gdzie jestem ja, ja sama, sama". To powtórzenie oddaje jej intensywne pragnienie uchwycenia tej cząstki człowieka, która jest jego istotą. Poetka doskonale czuła, że egzystencja przeżywana w ciele kobiety staje się czymś jeszcze bardziej skomplikowanym. Nawet w erotykach – które nazwałam „intelektualnymi", ponieważ są pełne rozważań nad tym, co dzieje się między dwojgiem ludzi – poetka zachowuje niezwykłą czujność. Potrafi pisać o „nocach ekstatycznych" i o „barokowych zwycięstwach", a w innym wierszu mówi do kochanka: „dzisiaj nie przychodź, nie kupuj kwiatów, szkoda forsy". To moment, w którym kobieta odcina się od miłosnych uniesień i czuje, że powinna „wrócić na ziemię". Świrszczyńską wyróżniały czujność oraz niezależność myślowa i egzystencjalna: stawiała pytania o granice istnienia, o to, jak zmienia się ono w relacji z drugim człowiekiem. Przecież to bardzo współczesne. O Świrszczyńskiej nie można mówić bez odwoływania się do feminizmu. Od młodości była uwrażliwiona na prawa kobiet, dostrzegała, że świat nie jest urządzony sprawiedliwie. W wierszach notowała ambiwalentne uczucia, jakie wzbudziło w niej macierzyństwo. Jej feminizm przenikał do poezji, ale wybrzmiewał także w wywiadach i w tekstach publicystycznych. To zdumiewające, że kobieta stworzyła w tamtych warunkach

eprasa.pl d2f9aed44c

projekt tak bliski zachodniemu feminizmowi, do którego przecież nie miała bezpośredniego dostępu.

Jej poezja dotyka spraw, które wciąż są żywe. Gdy dziś czytam wiersze o trudnym porodzie, sądzę, że nie tylko oddała własne trudne przeżycie, lecz także opisała doświadczenie wielu kobiet. Jak pokazują statystyki Fundacji „Rodzić po ludzku", nadal jest wiele do zrobienia w tej sprawie.

Wiersze Świrszczyńskiej pojawiają się na transparentach Strajku Kobiet – na przykład wiersz *Odwaga*. Myślę, że to dobre miejsce dla nich – i że sama z pewnością chodziłaby na te marsze.

To musiała być niezwykle ciekawa osoba, chociaż zapewne niełatwa w codziennym życiu – uparta, żarliwa, może czasem męcząca. Przecież miała potrzebę zmieniania świata – i czasem jej to wychodziło.

eprasa.pl d2f9aed44c

Maciej Czerwiński

***

obudziła mnie śmierć
za którą kres
jest tylko niewyraźnym smakiem
owocu

i trumna
złożona jak obraz
na czarno-białej fotografii
z dzieciństwa
zawisła na granicy oka i obramowania snu

i wtedy język mi zdrętwiał
niezgrabnie szukał pozycji
aby wyrazić
pytanie
w tym momencie – rozsypanego istnienia

tuliłem stygnącą głowę
do twojego ciepłego ramienia
i spytałem
czy będziemy istnieć razem – ty i ja –
poza czasem
jeśli nie z sobą
to obok siebie
aby przynajmniej odczuwać obrysy
gładkiej powierzchni skóry

ja odszedłem z pytaniem
ty zostałaś z koszykiem jabłek
w sadzie słonecznym z zapachem
bzu

eprasa.pl d2f9aed44c

***

moja ziemia
grzech istnienia
na księżycu czarne plamy
ledwie widoczne zza niebieskiej mgły
a słowa zastygają
siedzisz obok mnie
ale nie mówisz
z ust twoich wydobywa się para
gęste milczenie
za którym jest obcość
nieznane mi nie-ja
złożone na wilgotnym zielonym pniu
ściętego drzewa

***

istota boskości – zrozumieć
że twój pokój zmącony
to cienie na lustrze
ale ja nie pytam o Boga
pytam o ciebie – człowieka

moje myśli są lepkie
gęstwa zarośli – oto mój cel, moje zbawienie
pajęczyna klejona własnymi rękami
z bezlikiem tuneli i tajemnych przesmyków
znanych tylko mnie samemu
tak
o tym marzę
odpaść od świata

i uspokój się
świat nie może się rozsypać
nie pozwoli mu twoja głowa
ta okrutna maszyna
ta lawa pędząca
lepka
zastygła

eprasa.pl d2f9aed44c

***

historia może kroczyć, a nawet wkraczać, najczęściej w jakąś epokę
iść w jakimś kierunku
w kierunku punktu A czyli teraz
z punktu B czyli wtedy
jest jak odcinek – giętka i łamliwa
chuda jak patyk
historia zawsze jest w ruchu choć nieraz bolą ją kości
nawet w swojej młodości jest stara

nigdy nie staje
nawet wtedy gdy jest nauczycielką życia
wtedy przemawia z katedry
historia chadza w pochodzie
wielkimi krokami
zbiera też żniwo
a czasem przestaje być odcinkiem
i wtedy zatacza koło (najczęściej zgubne)
koło o promieniu ϖ razy współczynnik wygranej bitwy
dodany do ilorazu liczby ofiar z ilością wydanych wystrzałów
historia jest dzielna
męska i bohaterska

***

Bóg stworzył świat, ale dlaczego – pytasz cicho
odpowiedź nie jest prosta, sam nie wiem
ale odpowiem, spróbuję
stworzył bo
chciał na pewno
chciał móc usiąść pod gwiaździstym niebem
nastąpić na podmuchy wiatru
wtulić głowę bezwładnie w soczystą trawę
a nogę zanurzyć w górskiej wodzie
i patrzeć, i być w tym trwaniu
i kochać
bo chciał wiedzieć, że kocha
Bóg stworzył świat z miłości

eprasa.pl d2f9aed44c

***

czas nie płynie
to ja płynę obok niego
a on nieruchomo patrzy na moje wysiłki
i dumny jest ze mnie
a ja płynę kraulem, zajadle
a potem żabką
przemijam szybciej i wolniej
ale najbardziej lubię płynąć na grzbiecie
tyłem do czasu
który świeci mi w oczy
i uśmiecha się szyderczo

***

myśl bez dachu nad głową
nie szuka schronienia
pod koroną dębu

myśl bezdomna
poszukuje trwałej ojczyzny
której nie zdmuchnie wiatr jesienny
i nie zasypie śnieg
rozczarowań
samotnego człowieka
niezdolnego do miłości

myśl szuka domu z cegły
z fundamentem
do którego może wtargnąć
jak słońce do korzenia drzewa
jak dłoń obejmująca twarz

eprasa.pl d2f9aed44c

***

jak na młodego poetę
nie jestem ani poetą, a ani młody
oczekuję od siebie dojrzałości
i grubej skóry
przez którą wypluwam
smaki owoców
zgniłe
zapachy pamięci

głos ciszy mówi do mnie
językiem rzeczy
okrycie głowy dziecka
wilgotnym ręcznikiem
rzuca na słońce cień innego rytmu
mijającego czasu

eprasa.pl d2f9aed44c

Mikołaj Młyński

Puste miejsce przy stole

Była noc wigilijna. Siedzieliśmy na ławce w parku, wszyscy – z puszkami piwa w rękach. Moje było smakowe, z sokiem malinowym. Paliliśmy papierosy, chłopaki pluli na chodnik. Było mi zimno.

Postawiłam puszkę na ziemi i włożyłam dłonie do kieszeni płaszcza. Kacper zauważył, że się trzęsę, więc próbował mnie objąć. Powiedziałam, żeby się odwalił.

– Ja to wyszedłem po dwóch godzinach, tylko zupę zjadłem – oświadczył Marcin i znowu splunął. – Nienawidzę dzieciaków siostry, wchodzą mi na głowę, ciągną za włosy, a siostra patrzy i się śmieje.

– Tylko zupę zjadłeś?! – zdziwił się Kacper. – Trzeba się było nażreć, a najlepiej wziąć na wynos.

– Co miałem jeść? Mięso w galarecie?! Jarzyny w majonezie?!

– I tak miałeś lepiej niż moja wigilia – powiedziała Kinga. – Wujek znowu popił. Nazwał żonę głupią krową. Najgorsze, że mój tata się z tego zaśmiał.

– Wujkowi powinno się dać po pysku. – Marcin zgniótł pustą puszkę i rzucił ją za siebie.

– Amen – zgodził się Kacper, pociągnął nosem i splunął.

Wtedy zauważyłam, że w naszym kierunku ktoś idzie. Po sylwetce i po kroku poznałam, że to mężczyzna. Gdy mijał latarnię, zobaczyłam podartą kurtkę i brudne spodnie. Ciągnął za sobą wózek zakupowy na dwóch kółkach.

Stanął przed nami. Twarz miał spuchniętą od alkoholu, ale oczy – młode.

– Nie mamy drobnych – powiedział Marcin.

– Ja nie o drobne. O papierosa.

– Też nie mamy.

– Mamy – zaprotestowałam i wyciągnęłam woreczek z tytoniem i bibułki.

Kacper przeklął pod nosem. Kinga odchrząknęła i założyła nogę na nogę.

– Dziękuję, dziękuję pani.

– Tylko nie „pani". W Stanach nie mogłabym się napić.

Mężczyzna nie odpowiedział. Dłonie schował za plecy, jakby wstydził się podartych rękawiczek, chociaż cały ubiór miał zniszczony. Wyciągnął dłonie, gdy podałam mu papierosa. Zapalniczkę miał własną.

eprasa.pl d2f9aed44c

– Dostałeś, co chciałeś. Teraz spierdalaj – powiedział Kacper.

– Jeszcze zadam krótkie pytanie i tyle mnie widzieli, przysięgam – odpowiedział nieznajomy i zaczął szukać czegoś w wózku. Po chwili wyciągnął bawełniany szalik w kratę. – Czy któraś z pań chciałaby kupić?

Marcin się zaśmiał. Kinga wyciągnęła rękę i chwyciła brzeg szalika.

– Tu jest napisane „Balenciaga". – Spojrzała na mnie.

– Niemożliwe – powiedziałam i wstałam, aby się lepiej przyjrzeć.

– Możliwe, możliwe – powiedział mężczyzna. – Kupiony parę lat temu za dwa tysiące.

Dopiero wtedy poczułam jego zapach. „Oni tak śmierdzą, bo im nogi gniją" – powiedziała kiedyś mama, gdy wychodziłyśmy z tramwaju, którym jechał bezdomny. Ale tu był tylko kwaśny pot zmieszany z wonią zatęchłych ubrań. Zapach bardziej przypominał zaniedbanego nastolatka niż bezdomnego.

Przyjrzałam mu się z bliska. Był chudy, nieogolony, a spod czapki wystawał długi kosmyk włosów. W łuku brwiowym miał srebrny kolczyk.

– Ile?

– Pięćset.

– Tyle to my nie mamy. – Kinga machnęła ręką.

Chłopaki podeszli bliżej.

– Pewnie podróba.

– To nie jest podróba – odparła Kinga. – Wierz mi, że nie jest.

– Skąd masz ten szalik? – spytałam mężczyznę.

– Po mamie, zmarła dokładnie rok temu. W wigilię.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Tylko Marcin, któremu przeszła ochota na drwiny, sięgnął pod ławkę i wyciągnął reklamówkę, w której mieliśmy piwa. Wyjął jedną puszkę.

– Trzymaj, napij się z nami.

– Dziękuję, nie mogę. – Mężczyzna spuścił wzrok. – Za to z chęcią zapaliłbym jeszcze jednego papierosa.

Wyjęłam saszetkę z tytoniem i z bletkami. Gdy kręciłam papierosa, Kinga spytała nieznajomego, czy może potrzymać szalik i popatrzeć na niego w świetle latarni. Spojrzał na nią niepewnie, ale po chwili się zgodził.

Kinga wzięła szalik między dwa palce, jakby podnosiła brudną ścierkę z podłogi i podeszła bliżej światła.

Wręczyłam mężczyźnie papierosa. Gdy podpalał go starą zapalniczką benzynową, usłyszeliśmy werdykt Kingi:

– Tak, to z pewnością oryginał.

Wtedy Kacper, który dotychczas kręcił się między nami a latarnią, wyrwał Kindze szalik i zaczął uciekać. Marcin biegł obok niego.

– Gnoje! – krzyknęłam za nimi.

eprasa.pl d2f9aed44c

Mężczyzna chciał ich gonić, ale zatrzymał się po kilku metrach. Odbiegli za daleko. Rzucił papierosa na ziemię i klnąc, przygniótł go butem. Usiadł na ławce i schował twarz w dłoniach.

Jędrzej był synem samotnej matki. Mieszkali razem, chociaż miał już dwadzieścia siedem lat, a matka coraz częściej marudziła, że powinien znaleźć sobie partnerkę i własne cztery ściany. Ale syn był przekonany, że jeśli się wyprowadzi, to mama straci resztki rozsądku i doprowadzi się do ruiny. Mimo problemów, których sobie nawzajem przysparzali, ich więź była silna. Ojca nigdy nie poznał, nawet nie usłyszał jego imienia, a dziadkowie umarli, gdy chodził jeszcze do podstawówki. Co roku święta spędzali tylko we dwoje.

Dwa dni przed wigilią wnosili choinkę na czwarte piętro. W budynku nie było windy, a drzewo było wysokie. Syn trzymał je u dołu, za pień, a kobieta – u góry, za czubek. Po schodach wchodziła tyłem, w zgiętej pozycji. Skarżyła się, że ma za cienkie rękawiczki i że igły kłują ją w palce.

Po wniesieniu choinki do mieszkania usiadła w fotelu i zaczęła głęboko oddychać, dłoń położyła na klatce piersiowej. Syn chciał dzwonić na pogotowie. Matka krzyknęła, że dobrze się czuje, mimo że zbladła, a jej czoło świeciło się od potu. Bała się szpitali, szczególnie poczekalni na ostrym dyżurze, o czym syn dobrze wiedział.

Kwadrans później mama czuła się już lepiej. Odpoczywała, gdy Jędrzej ubierał choinkę.

Wieczorem napili się grogu i obejrzeli film. Mama usnęła w fotelu, a syn przykrył ją kocem i położył się na kanapie obok.

Dzień później, na bazarze, kupili żywego karpia. Wpuścili rybę do plastikowej miednicy z wodą, którą postawili w łazience. Gdy w wigilię syn smażył kapustę z grzybami, matka poszła do łazienki, aby rybę zabić młotkiem. W kuchni pracował wywietrznik, więc syn nie słyszał niczego poza szumem i skwierczeniem na patelni. Zaniepokoił się, gdy mama długo nie wracała.

Znalazł ją na podłodze, bladą i nieruchomą. W jednej ręce trzymała młotek, drugą miała zanurzoną w miednicy. Jak powiedział lekarz, matka przeszła cichy zawał, gdy dwa dni wcześniej wnosili choinkę po schodach. W sercu rozprzestrzeniła się martwica. Gdy próbowała złapać rybę, a karp wyślizgiwał jej się z dłoni, przeszła kolejny atak, który zatrzymał serce.

Po powrocie ze szpitala Jędrzej wyciągnął rybę z miednicy, przeniósł do wanny i wściekle tłukł w nią młotkiem, aż została tylko plama krwi, łusek i wnętrzności. Upił się czystą wódką i zasnął na podłodze, przykryty kocem mamy.

Zostawiła mu długi i puste konto w banku. Była zakupoholiczką, lubiła drogie marki, szczególnie paryskich i mediolańskich projektantów. Brała chwilówki, aby kupować sukienki, buty, płaszcze.

eprasa.pl d2f9aed44c

Miała trzy karty kredytowe, wszystkie – zablokowane i zadłużone. Jędrzej był zmuszony odrzucić spadek. Chociaż pozbył się długów, stracił mieszkanie. Została mu tylko kolekcja drogich ubrań, którą ukrył przed komornikiem.

Wynajął pokój w mieszkaniu studenckim. Całymi dniami pił i oglądał telewizję. Czynsz, alkohol i zupy w proszku opłacał ze sprzedaży kolekcji matki. Gdy dokuczał mu mróz, a Jędrzej oszczędzał na ogrzewaniu, po pokoju chodził w futrze od Armaniego, a na noc przykrywał się stertą płaszczy.

We wrześniu nie miał już żadnych ubrań matki – poza szalikiem, którego nie wystawił na sprzedaż, bo nadal pachniał mamą. Czasami, gdy czuł się jeszcze bardziej samotny niż zazwyczaj, owijał nim głowę i wył. Z braku pieniędzy i ze zbyt dużego przyzwyczajenia do butelki, aby pracować, zaczął sprzedawać własną garderobę. Zostały mu same łachmany. Miesiąc później nie miał już za co mieszkać ani za pić. Pozbył się więc książek, za które dostał parę złotych w antykwariacie, laptop zaniósł do lombardu. W Święto Zmarłych, gdy próbował wymyślić powód, aby podnieść się z łóżka, do pokoju wszedł właściciel mieszkania. Oznajmił, że dwie współlokatorki skarżą się na zapach, który wydobywa się z pokoju i z łazienki, kiedy Jędrzej z niej korzysta. Zagroził, że jeśli w ciągu dwóch tygodni nie dostanie zaległych pieniędzy za czynsz i jeśli jeszcze raz któraś z dziewczyn się na niego poskarży, Jędrzej wyląduje na bruku – z całym dobytkiem i z podbitym okiem. Mężczyzna był czerwony na twarzy, a w kącikach ust miał pełno śliny. Trzasnął za sobą drzwiami.

Jędrzej chciał iść na odwyk, ale na infolinii usłyszał, że czas oczekiwania na miejsce w ośrodku wynosi dwa lata. To go przeraziło, więc natychmiast odstawił alkohol. W urzędzie pracy zarejestrował się jako bezrobotny. Na lichy zasiłek musiał czekać dwa tygodnie, zaczął więc zbierać puszki i sprzedawać je na złom. Jedzenia szukał w śmietnikach za restauracjami – pracownicy często wyrzucali prawie pełne porcje jedzenia. Pytał w lokalach gastronomicznych, czy może dostać pracę na zmywaku albo przed wejściem rozdawać ulotki. Patrzono na jego podarte ubrania i proszono o wyjście lub od razu wzywano ochroniarza. Był zrozpaczony.

W wigilię siedział sam w pokoju, w którym nie było już nic poza materacem, pustą szafą i wózkiem na kółkach do zbierania puszek, jadł barszcz z saszetki i płakał. Pomyślał, że musi sprzedać szalik. Nadal był głodny. Schował szalik do wózka i wyszedł szukać miejsca przy stole – dla nieznajomego. Pukał do wielu drzwi, spod każdych go przepędzono. Zaczął się bez celu włóczyć po mieście. Znalazł nas w drodze do domu.

Dwa dni przed nowym rokiem do mieszkania rodziców Kacpra zapukał policjant. Chłopak od razu się wygadał – szalik znajdował się u Marcina. Jakiś czas później na naszym osiedlu pojawiło się graffiti z przekreśloną liczbą sześćdziesiąt, a pod nią – nasze imiona. Gdy przechodziłyśmy obok boiska, pluto w naszą stronę i rzucano przekleństwami. Szybko przestałam się tym przejmować. Szalik kupiła

eprasa.pl d2f9aed44c

mama Kingi, a mój tata załatwił Jędrzejowi pracę w zakładzie mechanicznym. Przez pewien czas spotykaliśmy się we trójkę: ja, Jędrzej i Kinga. Chodziliśmy na jedzenie lub na kawę. Raz poszliśmy na kręgle. Jędrzej wyglądał zdrowiej, miał świeżą fryzurę i nowe ubrania, a jego zapadła twarz nabrała kolorów. Ale w oczach miał ten sam smutek. Nasze spotkania zawsze były krótkie.

Na początku grudnia zaprosiłam Jędrzeja, aby spędził wigilię z moją rodziną. Przyjął zaproszenie, dziękował wylewnie, ale gdy nadeszły święta, Jędrzej się nie zjawił. Kilka dni później przestał przychodzić do pracy. Nie odpisywał też na wiadomości ani nie odbierał połączeń. Zniknął z naszego życia. Została nam tylko historia i bawełniany szalik w kratę, który Kinga czasem wykradała mamie.

eprasa.pl d2f9aed44c

Klaudia Rogowicz

17

=Za młoda, aby umrzeć,
za stara, aby żyć.

#Me too generation

#Me not decyduje,
nie widząc, co się dzieje.

FAITH+HOPE+LOVE

Pawłowi Adamowiczowi

Fale
Falochron
Falowiec w róże

Królewny starówki
Kwiaty w hidżabach
Tęczowe pocałunki

Przeszłość wzięła ślub z teraźniejszością i stały się jednią.

Jeden

No Faith
No Ho
No L

eprasa.pl d2f9aed44c

Jestem śmiercią

Odbieram oddech,
pocałunkiem,
ekstazą,
anioł stróż patrzy,
zazdrosny,
on tylko może potrzymać za rękę i zaprowadzić przed trybunał.
(ale protestować ci nie dadzą)

Idę dalej,
kiedyś przyjdę na pogawędkę,
abyś mogła poznać ludzi,
o których piszesz.

Między Justynianem a Teodorą

Teodora potrafi grać na scenie,
grzecznie i grzesznie.

Ja nie poszłam do szkoły aktorskiej,
umiem tylko grać na nerwach.

Czy gdy przedzielę waszą sypialnię,
rozliczycie mnie z talentów?

A jeśli ona,
znam kilka kombinacji z filmów,

A jeśli on,
będę śpiewać do zapieczętowania językiem.

Gdy powiecie, Nie,
zajmę się inflacją.

eprasa.pl d2f9aed44c

Wiśnie

W chmurach zakwitły wiśnie.
Niebo zbyt mocno pokolorowane.

Gałązki już chłoną wiosenne objawienie.

Całują się ptaki,
gdzieś po dachach.

Ja,
obserwator,
zwiedzająca galerię świata.

eprasa.pl d2f9aed44c

Piotr Kitrasiewicz

Taniec na krawędzi. Polscy pisarze we Lwowie 1939–1941

We wrześniu 1939 roku część elity polskiej literatury znalazła się we Lwowie – uciekała przed wojskami niemieckimi zagarniającymi Polskę zachodnią i centralną. Punktem zbornym miejscowych i przybyłych intelektualistów była modna (niczym warszawska Ziemiańska) kawiarnia w hotelu George. Można było w niej spotkać: Tadeusza Boya-Żeleńskiego, prof. Juliusza Kleinera, Aleksandra Wata, Anatola Sterna, Adama Ważyka, Leona Pasternaka, Stanisława Jerzego Leca, Tadeusza Peipera, Włodzimierza Słobodnika, Lucjana Szenwalda, Juliana Przybosia, Wojciecha Skuzę, Juliana Stryjkowskiego, Adolfa Rudnickiego, Jerzego Borejszę, Mieczysława Jastruna, Leopolda Lewina, Wiktora Weintrauba. Byli: dramaturg Kazimierz Brończyk, poetka Beata Obertyńska, satyryk Tadeusz Hollender. Dach nad głową znaleźli we Lwowie aktorzy, m.in.: Wanda Siemaszkowa, Eugeniusz Bodo, Aleksander Bardini, reżyser filmowy Leon Trystan, kompozytor Henryk Wars. Większość z nich była pochodzenia żydowskiego, dlatego bali się trafić w ręce hitlerowców.

23 września Armia Czerwona zajęła miasto, owacyjnie witana przez część ludności ukraińskiej i żydowskiej, co zadało kłam słowom popularnej piosenki *Tylko we Lwowie*, wykonywanej przez Szczepcia i Tońcia, czyli Kazimierza Wajdę i Henryka Vogelfangera w filmie *Włóczęgi*, sławiącej rzekomą jedność i zgodne współżycie wszystkich nacji zamieszkujących ten historyczny gród. Od razu rozpoczęły się aresztowania i zbiorowe mordy. Oprócz funkcjonariuszy polskiej policji zastrzelono m.in. Kazimierza Brzozowskiego – przemysłowca naftowego, a także inż. Stanisława Kozłowskiego – dyrektora Miejskich Zakładów Elektrycznych.

NKWD wywiozło byłych premierów – Leona Kozłowskiego i Aleksandra Prystora – oraz wielu działaczy partii politycznych (szczególnie Narodowej Demokracji), przedstawicieli burżuazji (w tym: Stefana Baczewskiego, właściciela wytwórni znanych wódek gatunkowych – stał się jedną z ofiar zbrodni katyńskiej). Wśród pierwszych aresztowanych znaleźli się też emerytowani oficerowie i generałowie oraz leśnicy (ci ostatni – ze względu na zamiar okupanta pozbawienia zaplecza przewidywanego ruchu oporu o charakterze partyzanckim). Prześladowano przedsiębiorców, właścicieli sklepów, kamieniczników, księży i popów. Literaci i w ogóle artyści wydawali się – na tle zawodów czy zajęć poddawanych represjom – grupą

eprasa.pl d2f9aed44c

uprzywilejowaną. Początkowo w ogóle ich nie ruszano, przeciwnie – starano się zjednać do współpracy.

Fałszywe obietnice

Z Kijowa przyjechał Ołeksandr Korniejczuk – dramaturg, przewodniczący Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy oraz członek Rady Najwyższej ZSRR, późniejszy mąż Wandy Wasilewskiej. Ona także niemal natychmiast pojawiła się w mieście. Kiedy wybuchła wojna, uciekała „na wschód do Związku Radzieckiego, a tymczasem Związek Radziecki przyszedł do mnie" (wspominała), po krótkim pobycie w Białymstoku przybyła do Lwowa, gdzie błyskawicznie rozpoczęła „rządy dusz". A tymczasem Korniejczuk – przysłany do Lwowa w celu zorganizowania życia kulturalnego pod egidą nowej władzy – zapewniał podczas spotkania z ludźmi pióra, że nikt nie będzie wywierać na nich nacisków. „Dajemy wam czas, żebyście przyglądali się naszej pracy. Rok, dwa, ile będziecie chcieli. Poznacie nas, to może postanowicie iść z nami ręka w rękę, a jak nie, to trudno. Uszanujemy wasze wybory" – obiecywał.

O ile agresja ZSRR na Polskę była dla Wasilewskiej miłą niespodzianką, o tyle dla uczciwych Polaków okazała się wstrząsem. Także dla Władysława Broniewskiego, pisarza lewicowego, była bolesną konfrontacją z ideałami, które utożsamiał z państwem sowieckim jako ojczyzną ludu pracującego. Zrobiły jednak wrażenie na nim, a także na innych, działania propagandowe podjęte przez okupanta: wszędzie – czerwone sztandary, olbrzymie hasła mówiące o równości i o braterstwie, agitatorzy zapewniający o dobrej woli najeźdźcy (który przecież nie jest żadnym agresorem, lecz – wyzwolicielem). Cała ta zewnętrzna otoczka, maskująca prawdziwe oblicze reżimu, wyeksponowana bez jakichkolwiek ograniczeń na forum całego miasta, mamiła pisarzy na tyle, że podporządkowywali się nowej władzy.

Sowieci lubili mieć wszystko sformalizowane i zaszufladkowane, bo wtedy znajdowało się pod kontrolą, dlatego natychmiast przystąpili do powołania organizacji skupiającej ludzi pióra. Organizacja formalnie miała charakter związkowy, lecz w rzeczywistości służyła indoktrynacji osób z tej grupy zawodowej. Odgrywała ważną rolę, bo wspomagała literatów – często bezdomnych i głodnych – w ich codziennym bytowaniu, oferowała tanie albo darmowe posiłki, zapewniała dach nad głową, organizowała odpłatne spotkania autorskie oraz możliwość druku w wydawnictwach i w periodykach koncesjonowanych przez okupanta. Władze – w zamian za tę „opiekę" – oczekiwały bezwzględnego posłuszeństwa i absolutnej dyspozycyjności w realizowaniu aktualnych wytycznych z Moskwy, wdrażanych przez aparat komunistycznej propagandy na zajętych terenach polskich.

Rzecz jasna, że organizacja, którą najeźdźca zamierzał utworzyć we Lwowie, miała być wyłącznie „jego", bo w mieście działał nieprzerwanie lokalny oddział

eprasa.pl d2f9aed44c

przedwojennego Związku Zawodowego Literatów Polskich. W lokalu ZZLP przy ulicy Ossolińskich urzędował Ostap Ortwin (prezes) wspomagany przez Teodora Parnickiego (sekretarza). Niektórzy literaci przychodzili tam załatwiać swoje sprawy, ale w nowych warunkach politycznych było ich coraz mniej, bo i sam związek niewiele już mógł dla nich zrobić. Czekali więc, co będzie dalej.

I nie czekali długo. Już pod koniec września – na apel Kornijczuka – odbyło się zebranie pisarzy polskich o lewicowych poglądach. Przybysz z Kijowa wygłosił nawet odezwę na falach lwowskiego radia, w której zwracał się do pisarzy i do artystów polskich, rzuconych przez wichry wojny na tereny wschodnie, żeby przybywali do Lwowa i zgłaszali się do nowych władz. Obiecywał pomoc materialną i pracę w zawodzie. Imiennie zaprosił czwórkę osób, na których widocznie szczególnie władzom zależało: Broniewskiego (był on już we Lwowie), Wasilewską (właśnie docierała do miasta), Juliana Tuwima i Ewę Bandrowską-Turską. Wymienienie Tuwima wśród osób mile widzianych przez sowieckich aparatczyków może świadczyć o tym, że jego kontakty z poselstwem (w latach międzywojnia), a potem z ambasadą sowiecką były głębsze, niż uważał polski kontrwywiad (a tym bardziej – koledzy poety). Zagadką w tym zestawie jest postać Ewy Bandrowskiej-Turskiej – wybitnej śpiewaczki operowej.

Konieczność powołania nowego związku literatów uchwalono na zebraniu, które odbyło się 17 września 1940 roku pod przewodnictwem Aleksandra Wata. Na kolejnym, 20 października, utworzono jego komitet organizacyjny. Do zarządu „Org-Komitetu" weszli: Wat, Broniewski, Boy-Żeleński, Wasilewska oraz poeta Aleksander Dan. A ponieważ związek miał być nie „polski", lecz „internacjonalistyczny", znaleźli się w nim także pisarze ukraińscy oraz żydowscy. Komitet Organizacyjny Związku Pisarzy podzielił członków na trzy sekcje: polską (autorzy tworzący po polsku), ukraińską (po ukraińsku) oraz żydowską (w jidysz). Decydowało kryterium językowe. Już po powołaniu organizacji – co nastąpiło dopiero we wrześniu 1940 roku, bo czekano na pierwszą rocznicę „wyzwolenia" spod „polskiego jarzma" – wprowadzono praktykę nieco uciążliwą, lecz niezbędną w tym kontekście: że utwory autorów z jednej sekcji tłumaczono na języki dwóch pozostałych, żeby pisarze internacjonaliści mieli wgląd w to, co tworzą ich koledzy.

Niezłomny Ostap

Zarząd związku komunistycznego wystosował pismo do Ostapa Ortwina, w którym domagał się samorozwiązania ZZLP, ale prezes odmówił. W ogóle był interesującą, nietuzinkową postacią. Jak napisał Józef Wittlin: „jedynym polskim pisarzem pochodzenia żydowskiego, przed którym cofały się z rewerencją bałwany antysemityzmu. Zdawało się, że w ogóle jest nietykalny. Wysoki, barczysty, siwy, smagły, z krzaczastymi brwiami i czarnym kozackim wąsem już samą

eprasa.pl d2f9aed44c

swoją prezencją paraliżował zapędy kanalii. Beształ policjantów, którzy go chcieli legitymować za głośne po nocach wygrażanie się futuryzmowi na sennych ulicach Lwowa. Zbesztani policaje salutowali go jak najwyższego swego zwierzchnika […] nie był hrabią, lecz trudniej o bardziej arystokratyczną postać i duszę". (cyt. za: *Mój Lwów*).

Z kolei Tymon Terlecki przypomniał, że Ortwin w czasach sowieckiej okupacji Lwowa i tworzenia komunistycznego związku pisarzy „publicznie ryczał swoim lwim głosem: Tu jest Polska, tu od sześciuset lat była Polska". Uparcie ignorował konkurencyjną organizację – kontynuował prace Związku Zawodowego Literatów Polskich i skupiał wokół siebie wąską grupę pisarzy niechętnych „czerwonym", a wśród tych ostatnich, symbolicznych Spartan broniących Termopil, także byli polscy twórcy pochodzenia żydowskiego: Tadeusz Hollender, Michał Borwicz czy Adolf Rudnicki (sportretuje on po latach Ortwina w noweli *Wielki Stefan Konecki*). Ale i oni w końcu dołączyli do reszty. Prezes ZZLP został sam jak palec. Jednak autorytet Ortwina był tak potężny, że komuniści go nie ruszyli – traktowali go do pewnego stopnia jako postać z innej epoki i w ogóle nie z tego świata, jako kogoś w rodzaju *jurodiwego*. Hitlerowcy jednak nie mieli takich względów, bo zamordowali go w obozie w Bełżcu, w lecie 1942 roku. Jest także wersja, że zginął w lwowskim gmachu gestapo.

Wiersze Broniewskiego

Nowa władza przemianowała lwowski Teatr Polski na Państwowy Polski Teatr Dramatyczny. Zlikwidowano polską prasę, zastąpiono ją gazetą „Czerwony Sztandar" – polskojęzyczną gazetą codzienną Wydziału Politycznego Frontu Ukraińskiego, wydawaną od 30 września 1939 roku, będącą przez kilkanaście miesięcy jedynym czasopismem w języku polskim ukazującym się oficjalnie na rynku lwowskim. Dopiero w marcu 1941 roku zaczął się ukazywać miesięcznik „Nowe Widnokręgi", a w dwa miesiące później – kolejne polskojęzyczne czasopismo, ukazujące się trzy razy w tygodniu: „Młodzież Stalinowska". Dopełnieniem periodyków w języku polskim był kwartalnik „Almanach Literacki", którego pierwszy – i jedyny – numer ujrzał światło dzienne na przełomie kwietnia i maja 1941 roku.

Wielu polskich pisarzy zgodziło się na współpracę z „Czerwonym Sztandarem", w tym – Broniewski. Właśnie we Lwowie napisał jeden ze swoich najbardziej znanych utworów – *Żołnierz polski* – i zaniósł go do redakcji. Tam się okazało, że wiersza nie chcą, bo jest zupełnie nie po linii politycznej, a nawet szkodliwy ideologicznie. Powiedziano autorowi, że burżuazyjnej Polski już nie ma i nigdy nie będzie, więc nie należy płakać, lecz – skupić się na tym, co nadchodzi. Broniewski usłyszał, że źle robi, gdy pisze: „Jego dom podpalili Niemcy", skoro Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona zgodnie współdziała teraz z armią niemiecką – w interesie całego

eprasa.pl d2f9aed44c

ludu pracującego. Niewłaściwe są również słowa: „A on nie ma broni, on się nie mści", bo nie czas na zemstę, ale – na łączenie narodów i na tworzenie wspólnej przyszłości. Doradzono mu, żeby nie oglądał się na to, co było, ale patrzył przed siebie, perspektywicznie.

Pod koniec października „Czerwony Sztandar" opublikował przemówienie Wiaczesława Mołotowa – komisarza ludowego spraw zagranicznych ZSRR – w którym ten nazwał Polskę „pokracznym bękartem traktatu wersalskiego". Po tym wystąpieniu hasło *Nikakoj Polszi nikagda nie budziet* było często powtarzane we Lwowie, przez niektórych – z rozpaczą, przez innych – ze złośliwą satysfakcją, a nawet – z demonstracyjną radością.

Żołnierz polski Broniewskiego nie ukazał się drukiem, ale wiersz krążył w odpisach po Lwowie, Władysław recytował go bez zahamowania w czasie spotkań autorskich – obok innych swoich wierszy – o czym szpicle i donosiciele informowali „kogo trzeba". Utwór przemycono również na teren okupacji niemieckiej, gdzie odczytywano go w domach i podczas spotkań konspiracyjnych. Trafił nawet do Paryża. Podobnie było z wierszem zaczynającym się od słów – „Syn podbitego narodu":

> Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni,
> o czym i jak mam śpiewać, gdy dom mój – ruiny i zgliszcza?
> […]
> Ja na tę ziemię powrócę, ja chcę ją zbawić, ocalić,
> stamtąd chcę światu płonąć serca i pieśni pożarem,
> chcę, żeby z gruzów Warszawy rósł żelbetonem socjalizm,
> chcę, żeby hejnał mariacki szumiał czerwonym sztandarem.

Odrzucono go z tych samych powodów, a ponadto Warszawa była przecież w rękach Hitlera. Marzenia, żeby z jej „gruzów […] rósł żelbetonem socjalizm", a jeszcze „hejnał mariacki szumiał czerwonym sztandarem", mogłyby się wydawać prowokacją wobec niemieckiego sojusznika. Utwór ten Władysław także recytował, walił bez pardonu w czasie spotkań z publicznością, wywoływał łzy wzruszenia i wdzięczne oklaski. Często sam płakał podczas recytacji. Aleksander Maliszewski był świadkiem, jak Broniewski recytował go w knajpce w pasażu Mikolasza: Władysławowi tym razem nie popłynęły łzy, ale niejako w zastępstwie się rozpłakał „stary kelner, który właśnie pochylił się nad nami i znieruchomiał".

NKWD notowało skrzętnie wszystkie te wystąpienia, Broniewski coraz bardziej stawał się solą w oku czerwonej władzy. Nad głową poety zaczęły gromadzić się czarne chmury. Zaczęto mu wytykać inteligencko-szlacheckie pochodzenie oraz legionową przeszłość. Atmosfera wokół niego stopniowo gęstniała, ktoś nazwał go wręcz „sługusem Piłsudskiego", a to było już bardzo niebezpieczne określenie.

eprasa.pl d2f9aed44c

„Czerwony Sztandar" zamieszczał utwory polskich poetów wyrażające zupełnie innego ducha niż wiersze Broniewskiego. Przykładowo – Stanisław Jerzy Lec wysmażył pean:

Którą poeci wyśpiewali
Ojczyzna, co to od Kamczatki
po szynach pędzi aż po San,
którą, jak mleka pełny dzban
podają dzieciom czułe matki,
– to Stalin.

(*Stalin*)

Z kolei Leon Pasternak:

Agituj sobą – natchnioną fantazją
słowem i pięścią – wraz!
Przemawiaj do tłumu
I do dziesięciu.
Biją w nas serca mas.

(*Do agitatora*)

Albo Elżbieta Szemplińska o Warszawie:

Jak więc teraz mamy płakać po Warszawie
Jak żałować kawiarń, kościołów, zamku?
Kiedy dla nas
Tamta Polska
To Polska burżujów i drani,
Oficerów, obszarników, policjantów.

(*Prawdziwa ojczyzna*)

Donosy na Polaków

Przed pisarzami stanęło kolejne wyzwanie, znacznie gorsze niż deklaracja na rzecz powołania związku literatów. Moskwa, z właściwą sobie praktyką, przystąpiła do pozorów legitymizacji zajętych terenów. Do tego był potrzebny głos ludu, także – ludzi pióra jako kształtujących umysły i sumienia. Podczas specjalnego zebrania

eprasa.pl d2f9aed44c

mieli oni podpisać oświadczenie akceptujące przyłączenie zagarniętych ziem polskich do ZSRR. Deklaracja nosząca tytuł *Pisarze polscy witają zjednoczenie Ukrainy* ukazała się drukiem w „Czerwonym Sztandarze" z datą 19 listopada. Pod nią znalazły się podpisy: Broniewskiego, Jerzego Borejszy, Boya-Żeleńskiego, Wata, Ważyka, Leca, Pasternaka, Dana i innych.

Aleksander Wat wyznał po latach, że zarówno jego, jak i Boya zmusił do podpisu Leon Pasternak. A raczej nie tyle zmusił, bo oficjalnie wszystko było przecież dobrowolne, ile zastraszył bliżej nieokreślonymi, lecz „poważnymi konsekwencjami", jeśli nie podpiszą deklaracji. Obaj pisarze mieli wyobraźnię, ale w tym kontekście nie trzeba było wcale jej posiadać, żeby sobie wyobrazić, co mogło się kryć za słowami Pasternaka. Broniewski – zdaniem Wata – na spotkanie w ogóle nie przyszedł (co jest jak najbardziej prawdopodobne przy jego charyzmatycznej osobowości), a podpis złożył za niego ktoś inny (czego również nie da się wykluczyć). Jak pokazało dalsze półtora roku sowieckiego Lwowa, zanim Niemcy zajęli miasto, ci, którzy podpisali oświadczenie, i tak nie zdołali – wcześniej czy później – uniknąć represji.

Polskim ludziom pióra radzono, żeby wyjeżdżali do Moskwy, bo tam panuje lepsza atmosfera. Istotnie, w będącej tyglem narodowościowym stolicy imperium Polacy nie rzucali się w oczy. Co innego we Lwowie, gdzie aktywiści ukraińscy z terenów przedwojennej Rzeczypospolitej byli szczególnie wyczuleni na wszelkie przejawy polskości, które pragnęli wyplenić. Polaków postrzegali jako byłych okupantów i zaborców, a po wkroczeniu Sowietów aż dyszeli, żeby wziąć odwet za kilkuwiekowe – w ich mniemaniu – upokorzenia. Oczywiście, musieli się dostosować do sowieckiego scenariusza terroru, z jego internacjonalistycznymi hasłami i z oficjalnym potępieniem nacjonalizmu, ale pod maską zdyscyplinowania i braterskiego współżycia obu narodów na lwowskiej ziemi kryła się z trudem kamuflowana chęć zemsty. Dlatego powszednią rzeczą były donosy na Polaków komunistycznym władzom, oskarżające jednych o szowinizm, innych – o pochodzenie obszarnicze, kolejnych – o wrogość do nowego ustroju, o szpiegowanie na rzecz zachodnich aliantów Polski, o trockizm, o utrzymywanie kontaktów z podziemiem niepodległościowym itp. Ukraińskim aparatczykom bez trudu udało się wcielić w życie kurs antypolskiej polityki, polegającej na dyskryminacji polskiego żywiołu i na obsadzaniu swoimi stanowisk w urzędach czy w szkołach (tylko w szpitalach polscy lekarze byli ciągle znaczną większością) oraz w organach samorządowych. Lwowskie radio, retransmitujące audycje z Moskwy i z Kijowa, miało również ramówkę lokalną, teoretycznie dopuszczającą na równi trzy języki: polski, ukraiński i żydowski. W praktyce zdecydowany prym wiódł język ukraiński. Polskiej mowie wyznaczono na antenie – dla zachowania pozorów – zaledwie kilka skromnych godzin w tygodniu. Języka jidysz było więcej w tygodniowej ramówce niż polskiego. Taki stan rzeczy trwał do pierwszych miesięcy 1940 roku, kiedy to Kreml – po interwencji Wasilewskiej u Stalina – przesłał upomnienie lwowskim aparatczykom, więc musieli oni złagodzić antypolski kurs.

eprasa.pl d2f9aed44c

Pisarze zamiast koni

Niektórzy – ale nie Broniewski – wyjechali do Moskwy. Chociaż we Lwowie czuł się fatalnie zarówno pod względem osobistym, jak i zawodowym, pił coraz więcej i dokładał starań, żeby ściągnąć do siebie aktualną towarzyszkę życia – Marię Zarębińską z córką. Udało mu się dzięki pomocy Wasilewskiej, mieszkającej w eleganckiej, nowoczesnej willi, którą przed laty główny architekt Lwowa zaprojektował dla swojej córki. Obecnie wynajmowała ją Halszka – siostra Wandy, notabene zaprzysiężony żołnierz Służby Zwycięstwu Polski Okręgu Lwowskiego.

Wanda mieszkała w tym domu ze swoim mężem, Marianem Bogatko – murarzem, przedwojennym działaczem związkowym i socjalistycznym (PPS). Wykorzystała swoje kontakty w Moskwie (Stalina nie znała jeszcze osobiście, ale spotkali się w styczniu 1940 roku), żeby z Warszawy sprowadzić swoją matkę, córkę Ewę oraz brata. Wymagało to zgody Niemców, jako okupantów. Zgodę wydano, bo hitlerowcy wyświadczali jeszcze wtedy rozmaite przysługi sowieckim partnerom (zresztą – z wzajemnością). Przepustka na przesiedlenie oraz na przewóz mebli z warszawskiego mieszkania Wasilewskiej opiewała na pięć osób, ale matka i brat odmówili przeprowadzki pod skrzydła Sowietów. Wasilewska, która często piła wódkę z Broniewskim, zaproponowała, żeby z niewykorzystanych przepustek skorzystały obie Zarębińskie. I tak się stało.

Po różnych uciążliwościach w czasie drogi przybyły do Lwowa w połowie grudnia. Władysław wyszedł po nie na dworzec. Długo je ściskał i nie krył łez. Wynajął im mieszkanie od prawniczej rodziny Axerów, bo sam mieszkał w nędznej kawalerce – z której wkrótce się wyprowadził, żeby zamieszkać z nimi. Radość z połączenia nie trwała jednak długo, bo niewiele ponad miesiąc. Nowy rok – 1940 – przywitali w gronie literatów w siedzibie nowego związku pisarzy, będącego jeszcze w stadium organizacyjnym. Siedzibą tą był ogromny parter pałacu Bielskich przy ulicy Kopernika. Właścicielom pozostawiono piętro, co i tak było gestem ze strony komunistów, bo mogli od razu zabrać wszystko. Przy siedzibie związku powstał Klub Pisarzy, który dla bywalców był ważniejszy niż sama organizacja jako taka. W klubie funkcjonowały stołówka oraz sklepik – przeznaczony wyłącznie dla członków – w którym można było dostać artykuły konsumpcyjne trudnodostępne na rynku powszechnym. Była pokaźna biblioteka, był również pokój przeznaczony do gry w szachy. Na zewnątrz utworzono boisko do piłki siatkowej. Parter pałacowy składał się z rozlicznych, wytwornych pomieszczeń typu saloniki, sali balowej zamienionej na salę konferencyjną, pokojów z kanapami, z fotelami, z obrazami i z niezliczonymi trofeami myśliwskimi na ścianach. Nawet po zagospodarowaniu pomieszczeń na gabinet prezesa, na sekretariat, na pokoje administracyjne pozostało dosyć miejsca na wszelkie wygody dla literatów, którzy tłumnie schodzili się do pałacu. Przesiadywali na kanapach i prowadzili długie dysputy na najrozmaitsze tematy. Duże znaczenie miał fakt, że pałac był ogrzewany, a zima

eprasa.pl d2f9aed44c

1939/1940 okazała się wyjątkowo mroźna. Pierwsza fala deportacji, rozpoczęta w lutym i dotycząca głównie wsi, odbywała się przy mrozach dochodzących do minus czterdziestu stopni – zupełnie jakby Sowieci, którzy zajmowali wschodnią Polskę, przynieśli ze sobą osławiony północno-syberyjski mróz.

Klubowicze siadali zwykle w grupach narodowościowych, mówiących w swoich etnicznych językach, z dystansem podchodzili do praktyki wcielania w życie sloganu o braterstwie narodów. W porównaniu z poprzednim związkiem, mieszczącym się w dwóch niedużych pokojach, nowa siedziba wydawała się Wersalem hojną ręką przez nową władzę podarowanym – z cudzej własności – ludziom pióra.

Hrabia Bielski często schodził i rozmawiał z literatami. Starał się, aby czuli się w jego progach jak najlepiej. Nie wychodził z roli gospodarza, narzuconych sobie lokatorów traktował jak miłych gości, zawsze zachowywał się wobec nich z galanterią i z dużą kulturą osobistą. Wyznał, że cieszy się z obecności literatów, bo się obawiał, że bolszewicy zechcą w pałacu zakwaterować mu konie.

Taka symbioza nie trwała jednak długo. Pewnej kwietniowej nocy 1940 roku hrabia i jego rodzina zniknęli. Nikt nic nie mówił, nikt o nich nie pytał, chyba że półgębkiem, ale odpowiedzi i tak nie było. Okazało się po latach, że wywieziono ich do Kazachstanu, ale najwyraźniej na specjalnych warunkach, bo pozwolono zabrać całą furę rzeczy osobistych, w tym: futra, klejnoty, a nawet skórę z niedźwiedzia upolowanego przez Bielskiego, na której spał na zesłaniu.

Literaci korzystali z wygód pałacu Bielskich aż do zajęcia miasta przez Niemców w lipcu 1941 roku.

Prowokacja w restauracji Aronsona

W tym czasie kraińska NKWD szykowała sieci na polskich pisarzy. Zastawiono je wieczorem 23 stycznia w znanej restauracji Aronsona. Ważną rolę w przygotowywanej pułapce odegrał Władysław Daszewski, scenograf teatralny – „poproszono" go, aby zorganizował uroczystą kolację i zaprosił na nią pisarzy, których nazwiska wręczono mu na liście. Koszty kolacji pokrywała NKWD. Na liście znaleźli się m.in.: Broniewski, Wat, Tadeusz Peiper, Juliusz Balicki, Wojciech Skuza. Daszewski podkreślał, że niemiernie zależy mu na ich obecności i bardzo nalegał na udział w spotkaniu. Niektórym – tak jak Peiperowi – składał obietnice, że doprowadzi do wystawienia jego sztuki w Teatrze Polskim.

I przyszli. Władysławowi towarzyszyła Maria, Watowi – jego żona Ola. Peiper także zjawił się w towarzystwie kobiety. Dołączył do nich Leon Pasternak, który wraz z Anatolem Sternem wracał ze swojego wieczoru autorskiego.

Lokal – nazywany „ogniskiem inteligencji" – słynął z tego, że jego głównymi bywalcami byli właśnie intelektualiści. W wydzielonej sali stały suto zastawione, połączone stoły, obfite w jadło i w alkohol. Daszewski dwoił się i troił, nadskakiwał

eprasa.pl d2f9aed44c

gościom, podsuwał talerze z sałatkami i z kawiorem, nalewał wódkę i wino. Po pewnym czasie, kiedy wszyscy już byli nieco wstawieni, do sali wszedł wysoki, kościsty, łysy mężczyzna w mundurze pułkownika Armii Czerwonej w towarzystwie miejscowej aktorki, mającej opinię „łatwej", chociaż „nie dla każdego". Usiedli przy stoliku w kącie. Na ich widok Daszewski jeszcze bardziej się ożywił, podbiegł ochoczo i się przysiadł. Po dłuższej rozmowie przedstawił gościom nieznajomego jako znanego historyka sztuki z Leningradu. Przybyłych posadził obok Broniewskich, aktorka uśmiechająca się zalotnie zajęła miejsce między pułkownikiem a poetą. Nowy uczestnik biesiady – o twarzy nalanej, prymitywnej i o zimnych, okrutnych oczach – wprawdzie nie wyglądał na historyka sztuki, ale zgromadzeni wiedzieli przecież, że w Sowietach wszystko jest możliwe. Początkowo była to typowa rozmowa towarzyska, jednak potem Broniewski uległ kokieterii towarzyszki wojskowego – zapomniał (a raczej: nie chciał pamiętać), że z jego drugiej strony siedzi Maria i z właściwym sobie brakiem subtelności zaczął uwodzić aktorkę. Jednocześnie nowy biesiadnik wdał się w spór z Wojciechem Skuzą i obaj robili się coraz bardziej czerwoni na twarzach. W końcu doszło do awantury. Wojskowy uderzył Skuzę pięścią w twarz, a kiedy poeta upadł, zalany krwią, Broniewski się zerwał i zamierzył na Rosjanina. Ten się cofnął, chwycił oburącz obrus i pociągnął. Rozległ się brzęk tłuczonych naczyń. Na ten sygnał grupa rosłych mężczyzn w mundurach i po cywilnemu wypadła zza kotary oddzielającej restaurację od zaplecza i rzuciła się na gości Daszewskiego. Zaczęła się bijatyka. W powietrzu fruwały krzesła i butelki, z okien poszły szyby, rozlegały się krzyki. Ola Watowa cuciła męża, który po uderzeniu w głowę stracił przytomność. Niemal natychmiast przybyła milicja – nie miała daleko, bo funkcjonariusze czekali po drugiej stronie ulicy. Zabrali Broniewskiego i pozostałych z listy. Maria mogła wracać do domu, przerażona i roztrzęsiona szła słabo oświetlonymi ulicami razem z Olą Watową. Po powrocie obudziła Axerów i błagała ich o pomoc, ale niewiele byli w stanie zrobić.

Tej samej nocy NKWD zabrało z mieszkań kilku innych ludzi pióra, między innymi Wacława Grubińskiego i Teodora Parnickiego. Wszystkich zatrzymanych przewieziono do więzienia na Zamarystowie. Oficjalny zarzut miał charakter kryminalny („chuligaństwo"), ale szybko się okazało, że przesłuchującym ich śledczym chodzi o zupełnie inne sprawy. Podczas przesłuchań, ciągnących się niekiedy przez całe noce, wypytywano Władysława o jego kontakty warszawskie i o osoby, z którymi po przyjeździe do Lwowa utrzymywał znajomość. Śledczy się zmieniali, czasem pokrzykiwali, ale nigdy nie uderzyli. Czasem ze słowami „Nie łżyj!" przyskakiwał do niego jeden albo drugi, ale kończyło się na efekcie psychologicznym. Wmawiano mu, że gromadził wokół siebie grupę pisarzy o poglądach nacjonalistycznych, z którymi zamierzał podjąć walkę o wyzwolenie Polski. Że prowadził rozmowy antyradzieckie, wypytywał o warunki życia w ZSRR i mówił, że w Polsce było robotnikom lepiej. Pytali, od jak dawna zna Grubińskiego, który w 1921 roku napisał komediową jednoaktówkę antysowiecką pt. *Lenin*.

eprasa.pl d2f9aed44c

Broniewskiego, Wata i pozostałych trzymano w zawszonej, brudnej, przepełnionej celi. Jedzenie było obrzydliwe i było go mało, spacerów nie praktykowano, a jedyną możliwością wyjścia z celi, oprócz przesłuchań, było dwukrotne w ciągu dnia skorzystanie z latryny na korytarzu.

Prowokacja w restauracji Aronsona i uwięzienie polskich pisarzy było grą ukraińskiej NKWD niekoniecznie uzgodnioną z Moskwą. Kreml pozostawił organizacji komunistycznej i policji politycznej USRR pewną swobodę działania przy wcielaniu w życie odgórnych zaleceń, a na lokalne czynniki miał duży wpływ narodowy szowinizm Ukraińców z terenów RP przyłączonych do ZSRR. Kilka dni po aresztowaniach „Czerwony Sztandar" opublikował artykuł podpisany przez Witolda Kolskiego (Borucha Cukiera), zatytułowany *Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną*, w którym Broniewskiego nazwano „lokajem Piłsudskiego" i pijakiem, a pozostałych – „niedobitkami najpodlejszego wroga rewolucji – agentury nacjonalizmu polskiego, ukraińskiego i żydowskiego". Część polskiej inteligencji ze Lwowa wolała – pod wpływem tych wydarzeń – opuścić miasto i osiedlić się na wsi.

Broniewski – bez wódki i bez papierosów – cierpiał katusze w lwowskim więzieniu. Ciskał się i miotał po cuchnącej celi, swoim potężnym głosem wyśpiewywał piosenki legionowe, na czele z *My, Pierwsza Brygada*. W więzieniu wykazał się najbardziej niezależną postawą w całej swojej życiowej przygodzie z bolszewizmem, bo nie miał gwarancji, że pewnego dnia nie każą mu wyjść na spacer w jedną stronę…

W czerwcu przewieziono go do Moskwy, na Łubiankę. Po rocznym pobycie zmieniono mu miejsce uwięzienia: najpierw na krótko przeniesiono go do drugiego moskiewskiego więzienia, na Butyrkach, cieszącego się ponurą sławą, a następnie – do Saratowa. Ostatnim miejscem postoju była Ałma-Ata. Gdy Hitler napadł na ZSRR, stosunek Stalina do Polaków i do *niebywszej Polszi* zaczął się zmieniać („Czerwony Sztandar" po raz pierwszy i jedyny – bo przestał wychodzić z końcem czerwca 1941 – zamieścił na łamach materiał o terrorze niemieckim w okupowanej Polsce). Broniewskiego zwolniono na początku sierpnia. Na wolność wyszli również inni literaci aresztowani w restauracji Aronsona. Rozpoczęli – po raz kolejny – nowy rozdział życia, odmienny od poprzedniego o tyle, że Związek Radziecki przestał być sojusznikiem Trzeciej Rzeszy, ale stał się ofiarą militarnej napaści z jej strony. Oznaczało to zmianę polityki sowieckiej wobec Polski, która zamiast *nikogda nie budziet*, miała jednak dostać szansę na *budziet*.

Losy pisarzy także potoczyły się innymi drogami. Jedni razem z armią Andersa opuścili ZSRR, inni dotarli do Polski z dywizją kościuszkowską Berlinga. Niektórzy, jak Wat, wrócili do nowej, socjalistycznej Polski i wyjechali z niej po kilku latach. Inni, w tym Weintraub i Wars, wybrali wolny świat zachodni. Jeszcze inni – Ważyk, Pasternak czy Broniewski – wrócili do Polski i pozostali w niej do śmierci. Boy-Żeleński, Szenwald, Hollender, Bodo i Trystan nie przeżyli wojny.

eprasa.pl d2f9aed44c

A Wasilewska wybrała Związek Radziecki – swoją nową ojczyznę. Zmarła w 1964 roku w Kijowie, stolicy USRR. Do końca życia pisała tylko po rosyjsku.

Bibliografia

1. Bujnicki T., *Władysław Broniewski*, Warszawa 1974.
2. Gogol B., *Czerwony Sztandar. Rzecz o sowietyzacji ziem Małopolski Wschodniej*, Gdańsk 2000.
3. Hryciuk G., *Polacy we Lwowie 1939–1944. Życie codzienne*, Warszawa 2000.
4. Inglot M., *Polska kultura literacka Lwowa lat 1939–1941. Ze Lwowa i o Lwowie. Antologia*, Wrocław 1995.
5. Pryzwan M. (opr.), *„Ja jestem kamień". Wspomnienia o Władysławie Broniewskim*, Warszawa 2002.
6. Jakubowski J.Z., *Władysław Broniewski*, Warszawa 1975.
7. Mazur G., Skwara J., Węgierski J. (zebr.), *Kronika 2350 dni wojny i okupacji Lwowa 1 IX 1939-5 II 1946*, Katowice 2007.
8. Molenda J., *Bierut i Wasilewska. Agent i dewotka*, Warszawa 2015.
9. Stryjkowski J., *Wielki strach*, „Zapis" 14/1980.
10. Urbankowski B., *Czerwona msza albo uśmiech Stalina*, Warszawa 1995.
11. Wat A., *Mój wiek. Tom 1*, Kraków 2011.
12. Winklowa B., *Boy we Lwowie 1939–1941*, Warszawa 1992.
13. Wittlin J., *Mój Lwów*, Wrocław 2017.

eprasa.pl d2f9aed44c

Karol Maliszewski

Nieśpieszne debiuty

Ze snów i przypomnień

1

Nieraz chciałoby się zaprzeczyć naturalnej mechanice genetycznej i pokoleniowej, podsuwającej od wieków stereotypowe obrazki poetyckiej młodości i lekceważonej starości. Mile widziany jest wczesny debiut szalonego nastolatka czy rozmarzonej licealistki. To stronnictwo niesie w pochodzie nieśmiertelne wizerunki Artura Rimbauda i Rafała Wojaczka. Bardzo wczesny przebłysk, i tyle. I ja w tym pochodzie maszerowałem, „klaskaniem mając obrzękłe prawice". Ale oto nadszedł czas refleksji, a może po prostu zadyszki i nienadążania za coraz szybszym krokiem zachłannych na szybką sławę młodych. Zacząłem zauważać tych, którzy się w tym schemacie „kariery" nie mieszczą. Dezynwoltura tego słowa została podkreślona stosownym cudzysłowem, bo o jakiej karierze mówimy w odniesieniu do pisania wierszy? O wątpliwej.

Do rzeczy. Termin „debiut spóźniony" proponuję zastąpić innym. A może by tak: „nieśpieszny debiut". Pojawiają się w pamięci rozmaite realizacje tego modelu. Mówię, oczywiście, o poezji. Przypominają się: Janusz Szuber, Ryszard Kapuściński, a i Henryk Bereza, debiutujący wierszami pod koniec życia. Podobnie było z Julianem Kawalcem. Do grupy „nieśpiesznych" zaliczyłbym również Piotra Wojciechowskiego i jego dojrzałe poetyckie zaistnienie.

Ostatnio znowu miałem kontakt z książkami mieszczącymi się w tej kategorii. Upewniły mnie w poczuciu szczególnej wartości tego „nieśpieszenia się". Przy takich książkach rzeczywiście chce się zaprzeczyć wspomnianej mechanice, podsuwającej stereotypowe obrazki buńczucznej (rozdającej karty) młodości i lekceważonej starości. Mówię o książkach Bogusława Michnika i Cezarego Gawrysia. Ten pierwszy od czasu do czasu wydawał jakieś arkusze dla garstki wybranych, natomiast ten drugi debiutuje bez żadnych zapowiedzi i sygnałów tomem *Niepisane* (Graf Media, Zielona Góra 2025). Kilka miesięcy wcześniej Michnik, w osiemdziesiątą rocznicę urodzin, opublikował tom *Śniłem się sobie* (Ośrodek Kultury i Sztuki, Wrocław 2025), książkę gromadzącą to, co rozproszone lub pochowane po szufladach.

eprasa.pl d2f9aed44c

2

Organizował życie literackie i artystyczne w Kłodzku, publikował innych poetów i poetki, długie lata czuwał nad jakością prezentowanej tam poezji, nie dbał o siebie, o swój talent ani o wydawnicze interesy. Bogusław Michnik, jeden z moich pierwszych nauczycieli dobrej roboty poetyckiej, szacunku dla słowa i dla twórców. Wychowałem się w jego szkole, w Kłodzkim Klubie Literackim, miałem go bardziej za rzutkiego animatora niż za twórcę. Trudno mi opisać zdumienie, jakie towarzyszy lekturze jego rozproszonych utworów. Nie wiedziałem, że wciąż pisze. Sądziłem, że po pierwszych młodzieńczych sukcesach, na przykład tych na Kłodzkich Wiosnach Poetyckich, zarzucił poezję i zajął się już tylko fotografią.

Niesłychane to uczucie: przeglądać plik kartek, które cierpliwie odkładały się w prywatnej ciemności, aby teraz przejść przez moje ręce i wychynąć na światło. Zresztą, może nieprawda z tą ciemnością, skoro tyle w nich światła. To było pierwsze wrażenie czytelnicze: ten poeta zawsze pisał ku światłu i właśnie światła szukał, kadrował następny fragment przechwyconej na gorąco rzeczywistości. Brzmi to paradoksalnie, jeżeli weźmie się pod uwagę dominującą na początku intencję oniryczną, może nawet surrealistyczną, czyli taką, która usiłuje rozpoznać i uporządkować to, co kolejny sen wyrzuca z ciemności na brzeg jawy. Ale paradoks ten jest tu ciągle wyjaśniany i łagodzony, skoro czytamy o „mroku tętniącym pod naporem światła", o „jasnej ciemności", o „ciemnym świetle" czy o „świetle słońca i ciemności". Zwykłe przeciwstawienia schodzą się w jedności symbolicznego, onirycznego obrazowania. Zatem już wiemy, co między innymi można „wynieść ze snu" – poczucie jedni dające ulotne, poetyckie wrażenie uspokojenia się falujących uczuć, rozkołysanych biegunów poznawczego horyzontu. A drugą rzeczą – obok dbałości o światło (co można różnie sobie przedstawiać) – jest wierność emocjom. Tak jakby awangardowy, lingwistyczny czy lingwizujący rygor rozpadał się i rodził na nowo pod wpływem niezwykle intensywnie przeżywanych przypadków egzystencji. Spośród rozmaitych emocji i napięć na plan pierwszy wysuwa się to, co dotyczy odczuwania i przeżywania miłości. Ku światłu pisze się być może po to, aby coś zrozumieć, a dla miłości – chyba po to, aby uwydatnić, wyolbrzymić, postawić na ostrzu noża. Może bywa tak, że realna, zwyczajna miłość potrzebuje rytuału, metafory, która dla obu zainteresowanych stron wzniesie ją na wyższy poziom znaczenia.

Wśród tych wszystkich onirycznych i „lingwistycznych" metafor najwięcej dotyczy tego, co krąży na granicy jawy i snu, światła i ciemności, miłości i bezmiłości. Wydaje mi się, że tego typu poszukiwania zdominowały wczesną poezję Michnika – „gry miłosne i sen", jak czytamy w jednym z wierszy. W tej liryce tajemnica kobiecości wydaje się niepokojącym rewersem prawdy o świecie, ciągle zaskakującym i zmiennym punktem widzenia. Na to nakłada się pożądanie, chwilowo

eprasa.pl d2f9aed44c

zamazujące wypracowaną ostrość obrazu, od nowa inicjujące poszukiwanie pewności i prawdy. Ten proces trwa permanentnie. Gotowość spojrzenia, widzenia i ustalenia czegoś jest iluzoryczna i pozorna. Michnik rozgrzebuje (rozbiera?) liryczną sytuację, rozkłada na czynniki pierwsze, aby znienacka podsunąć złudzenie sensu (zarysu całości?), organizuje kolejny skok w ciemność doznania czy odczucia, aby wrócić z jakimś ułomkiem światła, światełkiem. I nie odbywa się to w glorii metody, stylu, nurtu, nie jest ani nowofalowe ani nowoprywatne, jawi się raczej jako tymczasowe, lokalne, własne.

Fascynujące być, jak on, poza jakimkolwiek nurtem (chociaż słyszy się to i owo), poszukiwać na własną rękę i na własnych warunkach, trwać w tym tyle lat bez chęci wepchania się na jakikolwiek afisz, skromnie rozpoznawać siebie i swoje skłonności, swoją wiarę w prywatną sprawczość zapisu.

3

Czytelnik, który sięgnie po debiutancką książkę poetycką, niekiedy stawia pytanie o tradycję. Co to za linia (myśli sobie), Miłosz, Różewicz, Herbert? Przy dojrzałym debiucie odpowiada się tak: własna linia, linia Gawrysia. I tu zaraz wylewa się rzeka spekulacji: co to znaczy „własna"? W literaturze nie ma niczego własnego, wszystko jest zapożyczone. Być może. Jeśli więc to tylko gra zapożyczeń, nadzwyczaj udana ich kombinacja, to daj Boże każdej debiutantce, każdemu debiutantowi taką jak tu umiejętność wybierania – z miliardów kombinacji słów – tych jedynych i nieodzownych, trafiających w punkt, stwarzających wrażenie obcowania z prawdą przeżytą po swojemu. Bez minoderii i bez sztubackich sztuczek, bez wzniosłych hermetyzmów i bez zaciekłej konieczności natychmiastowego historycznoliterackiego zaistnienia płyną do nas – jakby obok targu i przekupstwa – zdania kojące i mądre, długo w intymnym wnętrzu destylowane, i przyznam: długo przez pewnego typu czytelników oczekiwane. Więc może najwięcej z Różewicza, coś z Herberta, trochę z Szymborskiej, a nawet z Twardowskiego, ale jeszcze coś z prywatności, z życia obfitującego w zdarzenia i w przyjaźnie, w spotkania i w olśnienia, życia wypracowującego własny język.

Tak czyta się wiersze Cezarego Gawrysia (rocznik 1947), który – mimo że nie aspiruje – jednak uczestniczy w rozterkach wielu mu podobnych, tych, których „wnętrza nie są kryształowe" (Różewicz), i nigdy nie będą. Gawryś – mimo że się nie porywa – jakoś porywa jasnością, prostotą, powściąganiem się od wielkich gestów i słów.

Niespieszne debiuty takie właśnie są, ponieważ szaleństwa i uzurpacje dawno zostały na sicie. Teraz – cisza, aż w uszach dzwoni. Teraz – pokora, aż serce rośnie.

Nie wiem, czy jest jakiś sens w micie o prawdziwym poecie, który jakoby siłą rzeczy musi – wyczerpany i wypalony – na koniec zamilknąć. Nieraz, jak u Gawrysia, prawdziwa poezja budzi się po latach. Odkładana na później, rozbłyska

eprasa.pl d2f9aed44c

epifanią, dostępną dla wszystkich, otwartą na porozumienie i na wspólnotę. To, co tyle lat niepisane, wreszcie ośmieliło się zawierzyć pismu.

4

Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie odwracam się od młodych zdobywców, od kolonizatorów nowych lądów. Myślę, że do końca będę spoglądał na to, co w tym rezerwacie zrywa się do lotu i o jakie ogrodzeniowe siatki się rozbija. Chciałbym tylko rozszerzyć pole widzenia. Współczesna poezja to nie tylko to, co nowe i szokujące, natychmiast dostrzegane, szybko nominowane i nagradzane. Obok pracują inne języki i inne światopoglądy. Często są wśród nich takie, które podsumowują całe życie zmagań z formą i otwierają nam oczy na inną rzeczywistość ludzką, inną rzeczywistość poetycką.

eprasa.pl d2f9aed44c

Bolesław Faron

Strażnik pamięci rodu

Przyznać muszę, że z trzech powodów podjąłem się omówienia książki *Antoni i jego dzieci* Rafała Skąpskiego[1]. Po pierwsze, autora znam od lat, spotykałem się z nim i w Warszawie, i na Sądecczyźnie – przy różnych działaniach na rzecz regionu. Miałem też okazję wraz z Bronkiem z Obidzy, poetą zamieszkałym nieopodal, odwiedzić go w Jazowsku, w jego posiadłości, gdzie od 2016 roku pomieszkuje. Rozpościera się stąd widok na Dunajec, na wieś w dolinie i na Beskid Sądecki. Po drugie, rzecz w pewnej części dzieje się w regionie bliskim mojemu sercu – w okolicach Łącka, a więc Kamienicy, Jazowska czy w innych miejscach Sądecczyzny, takich jak Brzezna, Janczowa czy Piątkowa. A po trzecie, mam też za sobą próby pisania o własnej rodzinie. Zdaję sobie zatem sprawę z tego, jak trudne jest to zadanie, zwłaszcza – jak u mnie – pisanie o rodzinie chłopskiej, gdy brakuje źródeł pisanych, a pomocą mogą służyć jedynie księgi parafialne czy zawartość starej skrzyni, w której gromadziło się pamiątki rodzinne (stare fotografie, pocztówki z wielkiej wojny itp.).

Książkę Rafała Skąpskiego przeczytałem od deski do deski jednym tchem, mimo że nie jest to narracja jednolita. W pierwszej części zamieszczono *Pamiętnik dla moich dzieci i wnuków* Antoniego Skąpskiego, pradziadka autora, drukowany już wcześniej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie w księdze zbiorowej pt. *Nadziei promienie – trzy pamiętniki z XIX wieku* (autorstwa Antoniego Skąpskiego, Antoniego Filipowskiego i Stanisława Krzyżanowskiego). Pierwsze wydanie tej książki pochodzi z 1978 roku, a drugie ukazało się trzy lata później – w 1981 roku. Były to wspomnienia trzech autorów związanych z Krakowem i z Galicją: mieszczanina, robotnika budowlanego i pradziadka autora, zarządcy dóbr, ziemianina.

Po tej części następują rozdziały, w których Rafał Skąpski prezentuje ustalenia na temat pamiętników pradziadka Antoniego i jego potomków. Oto tytuły kolejnych rozdziałów: II. *Kilka komentarzy*, III. *Losy potomków Antoniego*, IV. *Antoni i Anna z Krzyżanowskich, Franciszek i Zygmunt, Kornelia, Maria, Stanisław, Anna*, V. *Antoni i Wanda z Bukowskich, Helena, Jan*, VI. *Franciszek, brat Antoniego*.

[1] Skąpski R., *Antoni i jego dzieci. Szkic do portretu Familii*, Warszawa 2025.

eprasa.pl d2f9aed44c

Całość zamyka materiał faktograficzny obejmujący wybrane biogramy, spis tablic genealogicznych, bibliografię i indeks nazwisk. Jeżeli do tego dodać bogaty zestaw fotografii – od XIX wieku po czasy współczesne – to mamy obraz rozległego zaplecza dokumentalnego przedstawionych w książce dziejów rodu Skąpskich. Na tę faktograficzną warstwę pragnę zwrócić szczególną uwagę. Zgromadzone pieczołowicie zdjęcia z różnych źródeł stanowią bardzo ciekawy materiał. Do tej sprawy powrócę jeszcze.

Wspomnienia pradziadka Antoniego Skąpskiego, drukowane przez Wydawnictwo Literackie w 1978 roku, miały pełny tytuł: *Pamiętnik dla moich dzieci i wnuków pisany przez lat kilka zacząwszy od r. 1880.* Zawiera on ważną informację: że autor zaczął go pisać w 1880 roku, a więc w 67. roku życia. Żył 102 lata (urodził się w 1813, a zmarł w 1915 roku).

Eustachy Rylski – znakomity pisarz, świetny narrator – odnotował w krótkim tekście zamieszczonym na czwartej stronie okładki: „Antoni Skąpski powrócił w swoim pamiętniku z pracowitego, dzielnego ponadstuletniego życia w Galicji, a dzięki determinacji jego prawnuka, Rafała Skąpskiego, wróciły też jego dzieci, wnuki, prawnuki, zaludniły bardzo interesujący komentarz do pamiętnika Antoniego. Ich dramatyczne nierzadko losy złożyły się w jakimś stopniu na historię naszego kraju, bo historia kraju to przecież historia jego rodzin".

Warto zwrócić uwagę na stwierdzenie Rylskiego, że „historia kraju to przecież historia jego rodzin". A pamiętnik Skąpskiego, chociaż kończy się na roku 1896, to sięga początków sięga lat siedemdziesiątych wieku XVIII. Autor wspomina swojego dziadka, który – jako konfederat barski – schronił się w Galicji, aby uniknąć represji ze strony władz carskich. Natomiast Rafał Skąpski, który rekonstruuje historię rodu, prowadzi czytelnika przez kolejne lata – od końca XIX wieku po czasy współczesne. Przy czym zdarzenia po 1945 roku traktuje wybiórczo, informacje ogranicza do najbliższej rodziny. Zastanawiałem się nad tym zjawiskiem do chwili, aż natknąłem się na wyjaśnienia autora. Otóż taka była wola Fundacji Lanckorońskich, która sponsorowała książkę. Rafał Skąpski uszanował to zastrzeżenie i wyłamał się jedynie w toku relacji dziejów osób najbliższych, m.in. ojca.

Pamiętnik pradziadka Antoniego jest pisany prostym językiem, bez emocji, bez szczególnych komentarzy i bez zbędnych refleksji. Autor dba o szczegóły. Stąd – dokładne daty urodzin i śmierci potomków czy inne zdarzenia z ich życia. Stąd – szczegółowe wyliczenia cen produktów rolnych czy żelaza wydobywanego w Szczawie i w Rzykach, które osobiście sprzedaje (dowozi je aż w okolice Bochni). Jego życie jest ulokowane – przez ponad dwadzieścia lat – na Sądecczyźnie w Kamienicy, gdzie m.in. zarządza gospodarstwem rolnym. Potem – przez dziesięć – w Jazowsku. Nabywa gospodarstwo w Janczowej, a w końcu – w Piątkowej koło Nowego Sącza.

Bardzo skrupulatnie kreśli Antoni Skąpski dzieje własnej rodziny, kolejne małżeństwa, losy dzieci (w tym – udział syna w powstaniu styczniowym i jego śmierć).

eprasa.pl d2f9aed44c

Raz po raz przewijają się we wspomnieniach ważne wydarzenia historyczne: powstanie listopadowe, rzeź galicyjska, Wiosna Ludów, powstanie styczniowe. Potwierdza to, jak mocno historia rodu Skąpskich była powiązana z historią narodu. Narrator przedstawia się tutaj jako człowiek głęboko wierzący (nieszczęścia, jakie na bliskich spadają, tłumaczy wolą boską), a przede wszystkim – jako patriota, dla którego myśl o wyzwoleniu Polski spod zaborów jest kwestią naczelną.

Nie odnotował w tych wspomnieniach skutków zniesienia pańszczyzny w 1848 roku w zaborze austriackim, na mocy patentu cesarza Ferdynanda I Habsburga, a przecież musiało to się odbić na kondycji gospodarstwa (w którym w tym czasie pracował jako kasjer i poborca podatkowy), a przynajmniej wymagało zmiany strategii ekonomicznej. Wspomina jednak Towarzystwo Demokratyczne Polskie, działające w latach 1832–1863 w kręgach emigracji polskiej we Francji, którego „celem było uwolnić lud od pańszczyzny, wprowadzić równość praw i pociągnąć go za sobą ku wywalczeniu wolności i oswobodzenia Polski z wrogów" (s. 43), a którego emisariusze prowadzili w kraju w latach 1845–1846 akcje propagandowe. O ludzie pisze, że był wyzyskiwany, uciskany od wieków, konserwatywny i podejrzliwy.

Osobną część wspomnień Antoniego Skąpskiego stanowi relacja z dwuletniego pobytu w więzieniu, do którego trafił w 1846 roku i z którego zwolniony został podczas Wiosny Ludów – w 1848. Areszt, a później więzienie w Nowym Sączu, we Lwowie i – w końcu – w twierdzy Szpilberg (Špilberk/Spillberg) w Brnie na Morawach, na podstawie doniesienia, że „chłopów nauczał, aby trzymali z panami, nie z cesarzem". Wyrok: dziesięć lat ciężkiego więzienia. Skąpski wymienia nazwiska współwięźniów, wśród których znajdowali się m.in. organizatorzy powstania chochołowskiego.

Rafał Skąpski zestawia te fakty m.in. z zapiskami Władysława Czaplickiego (*Pamiętnik więźnia stanu*, Lwów 1862) i konstatuje, że powtarzają się w nich te same nazwiska, te same fakty. A o Antonim Skąpskim napisał, że „przedstawiony jest przez Czaplickiego jako człek godny, niezłomny, pełen dumy, ale i poczucia humoru" (s. 119). Podobne opisy warunków, w jakich więźniowie przebywali w Szpilbergu, wskazuje Rafał Skąpski u Jana Alojzego Pruskiego (*Więźniowie stanu z roku 1846 w Cytadeli Szpilberg*, Lwów 1848). Relacja Antoniego Skąpskiego z siedemnastomiesięcznego pobytu w Szpilbergu jest – podobnie jak cały pamiętnik – rzeczowa, bez emocji. Dowiaduje się z niej czytelnik, jak przebiegał dzień uwięzionych, jakie wyżywienie serwowano, jakie rozmowy toczono w salach wieloosobowych, a w końcu – jakie nastroje panowały w dniu uwolnienia.

W zakończeniu pamiętnika apeluje do swoich bliskich: „abyście się wzajemnie kochali, ile możności o sobie wiedzieli, pamiętali i wspierali we wszystkich potrzebach. Zachowujcie się wszyscy uczciwie, po bożemu, moralnie, honorowo, przede wszystkim kochajcie drogą Ojczyznę, a gdy godzina Jej wybawienia wybije, o czym nie wątpię, szczęśliwsza niż dotąd, nie żałujcie dla Niej mienia i życia Waszego, a jak kto może, niechaj do wyjarzmienia Jej dopomaga" (s. 104–105). Z tych słów

eprasa.pl d2f9aed44c

Skąpskiego wyraźnie rysuje się jego postawa: wspomniany patriotyzm, miłość i oddanie wobec Ojczyzny.

Rozdział II (*Kilka komentarzy*) w całości został poświęcony pamiętnikowi Antoniego. Rafał Skąpski wciela się tutaj w uważnego, krytycznego czytelnika opowieści pradziadka. Nabytą wiedzę historyczną konfrontuje z faktami zawartymi w pamiętniku. Nie jest to zimny komentarz naukowy. Wiadomości wyniesione z książek, z archiwów uzupełnia wiedzą pochodzącą z ustnej tradycji rodowej. Przełamują się tutaj niejako dwie perspektywy: z jednej strony – historyka, który troszczy się o dokumenty, fakty, a z drugiej strony – potomka rodu, którego misją stało się kultywowanie tradycji. Te dwie perspektywy nadają książce Rafała Skąpskiego swoistego uroku, powodują, że czyta się ją z pasją, nie jest ona wyłącznie beznamiętnym opisem historii rodu.

W rozdziałach III (*Losy potomków Antoniego*) i IV śledzi dzieje rodziny Skąpskich. Uczciwie przyznaje, że nie jest to wyłączna jego domena, ponieważ jeden z kuzynów, Wiesław Dymek, przed laty podjął się również tego zadania, natomiast Zofia Gręplowska, potomkini Antoniego, „niezwykle skrupulatnie" odtworzyła dzieje swoich najbliższych, robili to też inni członkowie rodu Skąpskich.

„Podążając tropem i metodą opisu Wiesława Dymka, przedstawiam najciekawsze postaci i zasługi potomków Antoniego, często na szerszym tle historycznym" (s. 123).

Wspomniałem, że autor uszanował wolę sponsora książki – Fundacji Lanckorońskich – więc stosunkowo niewiele miejsca poświęca dziejom rodu po 1945 roku. Wyjątek robi jedynie wobec najbliższych. Dlatego znalazła się tutaj historia Tadeusza Skąpskiego – ojca Rafała – szczegółowo zrelacjonowana zarówno w okresie międzywojennym, jak i po wyzwoleniu z okupacji niemieckiej. Autor rekonstruuje życie i pracę tej postaci na podstawie zachowanych dokumentów rodzinnych, swojej pamięci, opowieści starszej, przyrodniej siostry czy matki. To biografia człowieka niezwykle związanego z ziemią, z jej uprawą, z hodowlą zwierząt – zwłaszcza koni. Rafał Skąpski porównuje pracę Tadeusza do postawy Bogumiła Niechcica z *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej.

Dla mnie niezwykle interesująca w tej biografii jest decyzja, aby w maju 1945 roku wyjechać z Krakowa na Dolny Śląsk w grupie operacyjnej Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego, razem z wieloma z Małopolski pozbawionymi majątków ziemskich. To interesujące zjawisko: wyzuci z ziemi dawni właściciele czy zarządcy majątków włączyli się w zagospodarowanie Ziem Odzyskanych.

Zauważyłem na wstępie, że mocną stroną książki jest jej warstwa dokumentacyjna. Warto podkreślić, że nawet w ukazujących się ostatnio licznych opowieściach biograficznych nie ma tylu fotografii rodzinnych, ile jest w tej książce. Stanowią one jakby osobną jej warstwę. Dzięki nim nie tylko widzimy wizerunki postaci i możemy obserwować ich rozwój, przemianę, lecz także otrzymujemy informacje o ich ubiorach – od końca XIX wieku do czasów współczesnych. Poznajemy fasady

eprasa.pl d2f9aed44c

dworów, twierdzy Szpilberg czy dawnego więzienia we Lwowie. Książka zawiera dwadzieścia sześć niezwykle skrupulatnie opracowanych tablic genealogicznych, a wśród nich, oprócz rodziny Skąpskich, m.in. rodzin Mischke czy Bukowskich. Jeżeli do tego dodać wybrane biogramy, szczegółową bibliografię i indeks nazwisk, to mamy obraz pracy godnej zauważenia.

Wysiłek ten został dostrzeżony, ponieważ w styczniu br. Rafał Skąpski został nominowany w XIV edycji Nagrody Literackiej im. Księdza Profesora Bolesława Kumora w Krynicy-Zdroju. Warto podkreślić, że były to dwie nominacje: „Sądecki Autor" i „Książka o Sądecczyźnie" – za pracę *Antoni i jego dzieci. Szkic do portretu Familii*.

Rafał Skąpski nie jest jedynym potomkiem ziemian czy zarządców majątków, który troszczy się o zachowanie pamięci rodu. Na Cmentarzu Parafialnym w Czarnym Potoku (parę kilometrów od Jazowska) zauważyłem odnowione nagrobki rodziny Reklewskich (tutejszych właścicieli dworu), Dzianottów (właścicieli dworu w sąsiedniej Olszanie). Pojawiły się one w miejscu bezimiennych kikutów nagrobków z piaskowca, które przez lata stały w centralnej części cmentarza. Okazało się, że inicjatorem tej renowacji jest Dominik Dzianott – potomek tego rodu, prawie równolatek Rafała Skąpskiego. Jego przodkowie przybyli w XVI wieku do Polski z włoskiego kantonu Gryzonia w Szwajcarii, a w 1812 roku nabyli ziemie w Olszanie. O swoich korzeniach napisał również książkę (w 2002 roku), którą systematycznie uzupełnia. Dzieje renowacji nagrobków zarówno na tym, jak i na innych cmentarzach oraz historię rodu Dzianottów relacjonuje w kolejnych numerach „Almanachu Łąckiego" (2023 i 2024). Dzięki takim pasjonatom historia wsi polskiej staje się pełniejsza.

eprasa.pl d2f9aed44c

Mariusz Ropczyński

Z przestrachem

Siedzi samotnie przy stole,
patrzy z przestrachem na córkę.
Widzi, jak bardzo
staje się do niej podobna.

Zgubią ją kiedyś
zbytnia wrażliwość,
brak wiary w siebie,
uległość.

Wiersz ze spojrzeniem wstecz

B.K.

Rozsiadła się z wnuczką na miękkim dywanie.
Za chwilę przepadną obie dla świata, zajęte zabawą
i sobą nawzajem.

„Nawet nie miałam czasu się napić",
stwierdzi po wszystkim zdziwiona.

Intensywność

Na ranem spadł śnieg, przykrył deski werandy.
Rodzice kłócą się głośno o sweter. Matka wciska go ojcu
do ręki, chce, aby go dzisiaj założył: „Żebyś mi później
nie kaszlał po nocach". Będzie go niańczyć
niemal do śmierci.

eprasa.pl d2f9aed44c

Vanitas

Za oknem – mrok.
Ojciec obstawia, że śniegu nie będzie,
matce marzy się zima z dzieciństwa.
Lubią się przekomarzać.

Tymczasem ktoś musi zadbać o ptaki,
zdążyły się już przyzwyczaić.
„To dla nich kwestia życia
lub śmierci, pamiętaj".

Warkoczyk

Oddział dla dzieci chorych na raka.
Młoda kobieta obcina córce warkoczyk,

kładzie go jej na poduszce: „Odrośnie ci drugi,
zobaczysz". Wierzy w to zresztą naprawdę.

Najtrudniej chyba nauczyć się
płakać do wewnątrz.

W gorączce

Dwaj chłopcy bawią się w wojnę
na plaży. Jeden z nich chwyta się nagle
za serce, pada na piasek,

nieruchomieje. „Trzeba mieć pecha,
aby umrzeć tak młodo", śmieje się głupio
ten drugi. Czuję, że włosy

jeżą mi się nagle na karku. I chociaż to lato,
gorąco jak w piekle, trzęsę się cały
niczym w gorączce.

eprasa.pl d2f9aed44c

Znowu

Zapalam znicz na grobie mamy.
Widzę, że znowu przybyło
jej zmarszczek.

eprasa.pl d2f9aed44c

Witold Kaliński

Szkice Piotra Nowaka o kulturze Polaków

Sięgam po siedemsetstronicowy zbiór szkiców Piotra Nowaka – *Akcent typowo polski. Szkice o kulturze Polaków* [1]. Sięgam, bo jestem ciekawy, czy mam polski akcent. A jeśli mam, to jaki on jest „w samej rzeczy"[2]. Sięgam, bo przez trzydzieści lat uczyłem licealistów polskiej literatury, a może w tym uczeniu błądziłem. Sięgam, po trzecie, bo czasem prowadzę spotkania z twórcami tego (polskiego) świata, ale czy dobieram właściwych?

Na siedemsetstronicowe, erudycyjne dzieło składa się trzydzieści osiem szkiców: po części – szyderczych, w innej znów kwestii – apologetycznych. Powiem krótko: wychwalany jest Jarosław Marek Rymkiewicz, szyderstwo zaś dotyczy zbyt wielu, aby pokusić się o ich wyliczenie. Są tu liczni autorzy „literatury narodowej". Pisalibyśmy ją może bez cudzysłowu, lecz przy Nowaku to się nie uda.

Sprawa jest tym poważniejsza, że śliczny cytat z Schopenhauera zdaje się zawisać nad kulturą Polaków. Nowak przyswaja sobie dyrektywę: „Iść tyłem […] do zdemoralizowanej poza nielicznymi wyjątkami literatury narodowej" i my ów nakaz rozumiemy. Też nas cofa, ale z odrobiną przekornego zaciekawienia, tym bardziej że – jak podaje bez ogródek Nowak – „Troglodyta […] ulega zwierzęciu, które mieści się w nim samym". Jest więc w tym dreszczyk emocji.

Nie miną dwie kartki książki, a w miejsce ogłoszonych w podtytule szkiców o kulturze Polaków jawi się poetyka cokolwiek… ekscentryczna? (w twardej jednak okładce). Trudno, zacytujmy: „Co więc tworzy podmiot zbiorowy dzisiejszej lewicy? Ogólnie biorąc, jednostki nieprzystosowane, freaki, osoby poszkodowane na ciele i umyśle". Tak, zgoda, z dodaniem jednak, że jest w tym szpitalu wcale liczna grupa osób po prostu nieumiejących wykrzesać z siebie pogardy. Idą czasem w pochodach, aczkolwiek nie chroni ich już Organizacja Bojowa PPS-u, w niemałej części przekuta przez Piłsudskiego w Legiony. I rozproszona.

Nowak drybluje pomiędzy jaskrawą krytyką ludu a jego docenianiem, w obu wypadkach odnajduje właściwe wsparcie dla kolejnego zwrotu (nieszczęsny Roger Scruton). Cokolwiek zacytować, (prawie) zawsze tuż obok znajdzie się odtrutka. Nowak wie jednak – wie politycznie, nie przez argumentację – czego się trzymać,

1 Nowak P., *Akcent typowo polski. Szkice o kulturze Polaków*, Warszawa 2024.
2 Jak wyjaśniła pewna hrabina, indagowana przez lekarza, gdzie ma wysypkę.

eprasa.pl d2f9aed44c

a kogo jedynie pogłaskać. W brutalnych napaściach wydaje się – sam sobie – arystokratą: „Lud to hołota" – mówi szczerze. I to jest jeden z lejtmotywów jego szkiców. A oto dalsza część rozważań: „Hołota równie dobrze może być oświecona […] jak też prymitywna, otumaniona przez zabobon". A to wzruszający symetryzm! Równie dobrze? Przecież oświecona powinna trochę czytać ze zrozumieniem, ta druga zaś może się w tym czasie nadal tumanić.

Podobny charakter ma opinia Nowaka jako etnologa: „bez kultury może się obyć plemię czy lud, ale nie naród". Ciekawe to i nowe stwierdzenie. Czy przed Bolesławem Chrobrym istniały plemiona czy nie i kiedy lud przeistoczył się w naród, dużo by o tym gadać[3]. Przecież zawsze miały swoją kulturę, wyrosłą z bagien Prypeci, chociaż mniej nam dziś znaną niż ta zrodzona wśród Celtów. Gdyby jednak Prasłowianie kultury nie mieli, wtedy łatwiej zrozumieć, dlaczego naród nie dostaje kultury i dziś. W tym Nowak ma rację, że narodek jest niezdecydowany lub niestabilny. Dobrze to czy źle? Najwięcej wiedzą oficerowie polityczni, mniej – chociaż co nieco – archeolodzy.

Kolejna myśl pytanie Nowaka: „Co […] było lub stać się miało kanonem wspólnym dla wszystkich regionów, klas i środowisk, które nazywamy polskimi?". Ta jedna kwestia zawiera kilka kwestii, przykładowo – taką: czy wszystkie regiony mają (mieć powinny) jednaki kanon. Można wątpić, chociaż samo słowo zdaje się tego żądać. Czy taki jednolity „kanon" jest niezbędny? A wszystkie klasy społeczne, że nie wspomnę środowisk, jak z ich mniemanym kanonem? I wreszcie: KTO nazywa? Jacy „my"? Wywodzący się z jakiego regionu, z jakiej klasy, z jakiego środowiska? Z grupy „postępowej" czy z grupy „zacofanej"? Wielkomiejskiej, małomiasteczkowej czy wiejskiej – śląskiej albo podlaskiej? Kanon jak gorset czy jak luźny ubiór rolnika? Oczami duszy widzimy raczej rozległe pola uprawne niż ogrody w Wersalu.

Nieco dalej czytamy: „Nie wszystkie państwa to narody i to jest ważne zastrzeżenie". Takich maksym jest nieco i dostarczają one czytającemu mnóstwo uciechy. Już na stronie 20. docieramy do Gombrowicza: „to pisarz do spodu narodowy nie przez to, c o pisał, ale j a k to robi". Gdzie indziej Nowak jednak docenia rangę Wielkiego Nieobecnego w Sztokholmie, więc zastanawiamy się, czy to akurat Gombrowicz nie umie rozeznać się w *decorum*. Pokornie myślimy, że autorem jest uniwersalnym (nie tylko O*peretka*), a przecież i narodowym (nie tylko *Ślub*). W *Ślubie* też „pisze Szekspirem", bo tak zechciał. Razem: freak spod Radomia, chociaż nie socjalista.

Próba szkicu o Kochanowskim rozbija się o opinię Nowaka, że wiersze Kochanowskiego są dzisiaj nieczytelne, „jak niemal wszystko, co wyszło spod pióra poety czarnoleskiego". Trudno powiedzieć, kogo spośród troglodytów ankietował w tej sprawie. Uczniowie, których maturę przyjmowałem przez

[3] Podobno takie plemiona jak Wiślanie są konstruktem historyków.

eprasa.pl d2f9aed44c

dekady[4], nie tylko robili wrażenie zorientowanych, lecz także – po większej części – i tacy byli. Że to uczniowie „dobrych liceów" w stolicy? Tak samo ocenić mogę uczniaków w Wierchomli Wielkiej w roku szkolnym 1986/1987. Aha, licealiści znali fragmenty owej szlachetnej poezji na pamięć, co przestało być modne, gdy nadszedł nowy wiek. Komu to przeszkadzało, że zżyli się z jakoby niezrozumiałą polszczyzną Kochanowskiego, a potem – Mickiewicza, Norwida? Poprawianie Kochanowskiego, bo Nowak (za Antonim Liberą) proponuje przekład jego wierszy na współczesną polszczyznę, to kiepski tytuł do sławy, lecz może rafinowana zabawa. Moje propozycje: poprawmy tego trudnego Norwida. Nakarmimy tym lud polski.

Sakum-pakum przenosimy się w wiek XIX (uciekamy od ohydy rewolucyjnej Francji). Teza Nowaka: „Europa […] lecz tylko taka, która jest maksymalnie pluralistyczna". Zgadzamy się, zastanawia nas tylko, jak to się robi „maksymalnie". Lub inaczej: ile narodów zasługuje na swoje państwo, a ile – nie? Dla nas – może nie tylko dla nas – jest to przecież nieustanny a różnoimienny wysiłek idących czasów. Jak tam ze Szkocją? A znów z zieloną wyspą – Irlandią? „Maksymalnie" czy „tak, ale…"? A tacy Łemkowie (osiedli – poza Ameryką – w trzech co najmniej krajach)? Uparciuchy Baskowie? Zatrzymujemy się na wiorstę od zgłębienia tych kwestii. Próbujemy zapomnieć, j a k pluralistyczny był kraj stu narodów. I c o z tego dziś wynika.

Oświecona cudzoziemszczyzna Krasickiego i Zabłockiego (oraz płytkich fircyków), wspomniana na kolejnych stronach dziełka, nie byłaby jednak po trosze ucieczką od woni niemytego Sarmaty w tureckim stroju, chociaż ze szkaplerzem? „Poezja i filozofia muszą być narodowe" – rzuca *bon mot* Nowak. W sensie, że poezja w języku polskim? Bo co do Husserla z Ingardenem, to się nie udaje. Gdy natomiast myślę o filozofii (nie o poezji) polskiego romantyzmu, dostaję febry, jak i w odmętach *Króla-Ducha*. Norwid powiedział: „przez form-czary – przez stosowną chwilę", lecz trzeba czaru, a nie – dymu z kartofliska.

Można się spodziewać teraz – i być zaspokojonym – krwawej satyry na Aleksandra Fredrę, tak osobę, jak i pisarza. Wygląda na to, że ból Nowaka po lekturze dowolnej komedii Fredry jest nieusuwalny. I w ogóle, jak śmiał ów hrabia dostać się do niewoli, „z której szybko się wykpił"[5]. Jak to: dworować sobie z Cześnika razem z Rejentem?! Co wolno Mickiewiczowi… Na kilkunastu stronach przekonuje Nowak, że Fredry nie należy czytać, bo mizantrop. Towarzyszy owej tezie głębsza refleksja: „Uniesienie, wniebowzięcie czy seks nie pobudzają do śmiechu, gdyż nie

4 A wysłuchałem może ze cztery tysiące maturzystów, współczuję.

5 Jak Nowak dowcipnie uzupełnia, Fredro „w przebraniu kmiotka przedostał się – fru – do domu". Nie wykpił się za to Walerian Łukasiński, twórca Wolnomularstwa Narodowego, ale i on się nie nadaje – jako mason – do typowo polskiego akcentu. Fredro dał szansę wielu znamienitym aktorom narodowego teatru, że wspomnę obsadę filmowej *Zemsty* z 1956 roku: Kurnakowicz, Woszczerowicz, Kondrat. I następców: Gajos, Seweryn, Polański…

eprasa.pl d2f9aed44c

są śmieszne". No, nie jesteśmy pewni. Może wniebowzięcie – rzeczywiście… Ale – znów – Pan Twardowski na Księżycu?

Z większym zaciekawieniem czytam szkic pod tytułem *1863*, ponieważ jest to rzecz o Józefie Ignacym Kraszewskim[6]. Dlaczego o nim? Bo Nowak – aby przywołać przeszłość – przyjmuje (tutaj) perspektywę lat dawnych, nigdy stan badań. Stąd: opisy i oceny formułowane początkowo przez Kraszewskiego i – wiele lat po nim – przez Piłsudskiego. Przemawiają autorytety, ale czyje? O to się toczy łagodna walka. Nowak relacjonuje drogę Kraszewskiego dziennikarza – najpierw zachowawczego, następnie „niosącego światło". Jak wskazuje eseista, Kraszewski wtedy „podjął się zadania wychowawcy »ciemnego ludu«". Wybuch powstania zmusza pisarza do emigracji, pobudza w nim ducha romantycznego. „Z czasem uczucia do powstańców styczniowych […] spłowiały, by buchnąć na koniec życia pisarza płomieniem miłości do kobiety młodszej od niego lat czterdzieści" – spuentuje Nowak najbardziej płodnego literata[7].

Rozdział *1863* trwa jeszcze długo pełen erudycji, bo to i zacny historyk, Stefan Kieniewicz, i Walter Benjamin w anegdocie, i ciekawe obrazki z życia tajnego państwa, którego urzędnicy chodzą po tych samych ulicach, co carscy żandarmi. Głównym jednak tematem Nowaka wydaje się „przymus patriotycznego wzmożenia" w narodzie. „W walce narodowowyzwoleńczej ginęli najdzielniejsi. Przeżywali ci, których zainteresowanie nie wykraczało poza gospodarstwo rolne" – czytamy w *Szkicach*…. Mimochodem oddaje hołd okrutnie sceptycznemu finałowi *Lalki* pana Prusa. Nie przypomni jednak Nowak – ani teraz, ani potem – powieści czy opowiadań Stefana Żeromskiego. A przecież mógłby go potraktować różnymi barwami ironii! Za to poprowadzi nas prostą – zbyt prostą – drogą: od Prusowej O*myłki* do publicystyki Stanisława Stommy. W innej, lecz to może kwestia miary, sytuacji. Niejako po drodze Nowak obśmieje kobiety: „intensywnie odczuwano polskość. […] Uczucie to rozlewało się […] na wszystkie warstwy społeczne (poza entuzjastkami krynoliny)". A przecież znana była anegdota o tym, że Orzeszkowa ukrywała pod spódnicą właśnie powstańca.

Płynie siedemset stron *Szkiców*, nie sposób się każdą stroną zachwycać. Pomijamy więc zaciekawienie Nowaka romantycznym samobójstwem (i – szerzej – umieraniem), a przechodzimy do nieukończonego dramatu *Fantazy*.

Rzecz idzie o małżeństwo bogacza z panną mniej w ruble wyposażoną, a więc o temat zgoła na Fredrę patrzący, pełen przebieranek, omyłek, drwin. Pojawiają się jednak: dobry Rosjanin (Major, dawny dekabrysta i liberał), a także dobry Polak, Jan. Obydwaj – sybiracy. Tyle że komedia pomyłek staje się nieco krwawa, co Słowackiemu, wielosłownemu autorowi też *Balladyny*, niezbędne. Nam się może

6 Dobrym znajomym mojej rodziny, autorem wstępu do wspomnień pradziada – *Dziesięć lat niewoli moskiewskiej* – które ukazały się w sławnej serii Brockhausa w Lipsku.

7 Zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę sterty listów, które Kraszewski spłodził.

eprasa.pl d2f9aed44c

wydawać, że przed śmiercią Major za dużo mówi, ale słuchajcie, jak kończy: „Ja tam przed wami stał z upokorzeniem / I z trwogą… że wy mną… biednym gardzicie, / Jak starym, siwym – durnym liberałem, […] Chce się do niebios już… (Umiera)". Jak widać, poczciwi liberałowie ledwie się narodzili, już byli prześladowani wśród Słowian. Ale w *Fantazym* Słowacki drwi z romantyzmu w stylu zarówno nieco pasterskim, jak i gotyckim, a też z biedermeierowskiej pary: hrabiostwa Respektów. Wydaje się jednak, że to załamanie jedności stylu w dramacie zdecydowało o jego nieukończeniu. Postulowany *happy end* byłby już katastrofą.

Docieramy nareszcie do Zygmunta Krasińskiego. Tutaj już Nowak nie pisze beztrosko[8]. Przechodzimy do papy Zygmunta, który był najpierw generałem napoleońskim, a czterdzieści lat później – namiestnikiem cara (nienadmiernego liberała). Tak czy inaczej, ordynację opinogórską umiał uchronić, założył też (prorosyjską) lożę masońską, bo takie były czasy, aż Aleksander I te figle ukrócił. Ten generał i uczestnik sądu sejmowego jako jedyny głosował za kwalifikacją Towarzystwa Patriotycznego jako organizacji zbrodniczej. W oczach Polaków to on sam stał się zdrajcą, ale zdrajcą bogatym, miłośnikiem kultury. Wielkim panem – dla dobra ojczyzny, niewątpliwie. Już przy okazji: był też antysemitą.

Pisze Nowak: „Wartość majątku ojca i syna [wieszcza Zygmunta] wyceniono na 329 000 rubli […] Spróbujmy uczynić te sumy punktem wyjścia do opowieści o *Nie-Boskiej komedii*, ale nie głupio, po marksistowsku […] To nie klasy wojują, ale dwa nieodmiennie wrogie światy napierają na siebie nawzajem: świat natury i świat kultury, pozioma rzeczywistość chłopów i pionowa arystokracji […] rozpędzony liberalizm […] oraz Polska dawna". Jest to zapewne „interpretacja geometryczna" wypadków historii: świata poziomego i świata pionowego[9]. W wypadku generała Krasińskiego, niestety, nie był tak pionowy, jak by się chciało. Pionowe byłoby (nakreślmy tę atrakcyjną formułę) nabicie generała na pal – wysoki, aby spoglądał z góry i dobrotliwie na polski lud. Nieoceniony synalek zaś napomyka: „poza arystokracją nie ma w Polsce nic, ani zdolności, ani światłych umysłów, ani poświęcenia" (wiele cytatów dobrych dobrał dobrze Piotr Nowak). Cóż, Zygmunt poświęcał się sprawom istot światłych przez całe swoje zgrzebne życie listopisa. Jedyny wieszcz, decyduje Nowak. A generał Krasiński nadmienia, jak to on, zimno: „Mój syn jest przy mnie […] dobry, tylko nieszczęściem poeta".

Może należałoby teraz zająć się mizoginią, bądźmy więc dzielni, zacytujmy Nowaka: „Oto najpierwszy sens emancypacji – emancypacji od światła, od własnej cielesności". Czy to jeszcze o Orciu, czy już mowa o zjawisku emancypacji w ogóle? W zamieszaniu częstym u Nowaka da się obdzielić wielu adresatów. Wkrótce rozczarowany (na razie – małżeństwem) „Mąż staje się Henrykiem". Wcześniej widz

8 Jak tutaj: „te i tym podobne myśli nawiedzały mnie. […] Dałem im więc folgę, niech lecą". Ładne!

9 Cechę tę ma chyba każda przestrzeń. A także ma inne wymiary.

eprasa.pl d2f9aed44c

(lub czytelnik) przysięga sobie w duchu, że już nigdy nie zapragnie w ł a s n e j żony. Pozostaje miecz.

Po czym Nowak cytuje obficie postacie dramatu, fikcji o jawnych cechach groteski doprawionej horrorem[10], utworu łączącego tematykę metafizyczną z wrogim obrazem rewolucji. Rozwiązanie przynosi *Deus in machina*, stary koncept dramaturgów. Zarazem pies nie wysysa tak kości, jak Nowak – rewelacji dwudziestolatka o małżeństwie i o rewolucji: „wyzwolone menady nie mogą zdecydować, czy bliższy jest im bezpruderyjny seks z mężczyznami, czy jednak potrzeba wymordowania męskiego plemienia". Łoj! To się (przy okazji) przyłoży po męsku Swietłanie Aleksijewicz, niech nie wchodzi między dusznych facetów.

Równie ciekawe są rozważania Nowaka na temat genezy i „istoty" inteligencji jako wyróżnionej grupy społecznej. Autor nie bawi się w półśrodki: „można przyjąć, że nie ma jednej tradycji inteligenckiej. […] O przynależności do tej warstwy decyduje […] stosunek do narodu i niepodległości". Pierwsze zdanie domagałoby się jakiegoś wyliczenia. Szukaj go w tekście! Zdanie drugie warunkuje pierwszą tezę. A właściwie – to supozycja – Nowak chciałby niesłusznego inteligenta oddzielić od ustosunkowanego patrioty. „Nie ma pańskiego palta. I co mi pan zrobi?" – jak nadmienił pewien szatniarz. Zakonotuj, Duszko, że: „Ewolucja […] nie wyjaśnia rozwoju d u c h o w e g o człowieka, a jeśli to robi, to w sposób szalenie prymitywny". Nam się zdaje, że to w ogóle trudno wyjaśnić, lecz nie mamy pretensji do ewolucjonizmu, ważnej teorii dziewiętnastowiecznej, nadal – o horrorze! – niedobitej przez sumiennych kreacjonistów.

Dalej mówi szczerze Nowak: „A przecież także w bajkach zawarta jest prawda". To, zda się, inna, wyższa prawda niż teoria darwinizmu. Zgoda, lubimy baśnie. Tu Nowak przechodzi gładko od przywołania Platona do mocno innego od niego Arystotelesa, jako że niezbędna mu jest w tym miejscu przyczyna celowa. Jako patriota przechodzi.

Patrzę: *Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle*. Ucieszyłem się, bo ten arcypolski a nieudany poemat pewnie zaciekawi Piotra Nowaka. To dopiero jest groteska – czy nawet burleska – pokazująca Zaświaty! Reżyserzy serii *Obcy – ósmy pasażer Nostromo* mogliby się uczyć, wystarczyłoby na osiem odcinków. Sarmacki bohater drwi, z kogo się da. Wstępem do poematu jest wiersz *Ofiarowanie*, sarkazm w czystej postaci. Lecz Nowak już wcześniej skupił uwagę na *Anhellim*.

Część *Oni i my* (dziewięć szkiców) zaczyna się mottem w postaci wiersza Rymkiewicza w jego późnej manierze. Gdybym miał co postawić naprzeciw tego wieszczenia wstecz, widziałbym tu świetną w swoim ascetyzmie (i równie monotonną, lecz nieco odmienną w tematyce) poezję Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego. Nie śmiem jednak niczego sugerować.

[10] I w stylistyce tak nieznośniej dziś, jak to tylko możliwe. Czyli że – w przeciwieństwie do Gombrowicza – „wie, co i wie, jak".

eprasa.pl d2f9aed44c

Ciekawe, że Nowak, który zatrąca (często) o Mickiewicza, pomija jego *Dziady*, a skupia uwagę na *Panu Tadeuszu*. I przykrawa poemat na figurę tego inteligenta, który patriotą ma być nie z własnej (po trosze) woli, lecz z samej definicji. W poemacie dostrzega badacz „wzory polskości […] dążenia do niepodległości (ks. Robak), patriotyzmu (Sędzia Soplica, Podkomorzy), tradycji sarmackiej wobec oświecenia (Wojski)". Natomiast przytomny czytelnik widzi w tych postaciach coś więcej (a może widzi też drugim okiem), mianowicie: chęć odkupienia win młodości i zamiar posięścia *per procura* Horeszkówny (ks. Robak), upodobanie do pomnażania majątku (Sędzia Soplica), życie minionym (Podkomorzy, Wojski), radosny bezład (zaścianek). Najogólniej: widzi ów czytelnik (z całym szacunkiem) poemat heroikomiczny[11]. Nie powiemy, że opiewający jedynie zapatrzenie dwóch młodzieńców w atrakcyjną chwilowo ciocię. Nie powiemy, po drugie, że bitwę z majorem Płutem wygrywa stara sernica. Chociaż…

Gdy – w dłuższym oddechu – pojawia się Norwid, to jako temat dla innojęzycznych krytyków, tyle że z oddaniem poecie wszelkich stosownych honorów. Norwid otworzył poezję na świat myśli głębokiej, w niezwykłych obrazach i symbolach się stawającej, dał lekcję twórcom w XX wieku. Temat pracy wymagałby u Norwida więcej niż jednego zdania, co z tego, skoro praca to zajęcie banalne. Chociaż tę poezję nadal uważa się za „trudną" (i rzeczywiście, przypadkowo wyjęte parę wierszy może sprawić kłopot), śpiewana jest przez dziesiątki wykonawców, a cytaty z niej służą ludziom „ponad podziałami". Kto inny powie, że Norwid szarpany jest w prawo i w lewo – i powie nie bez racji. Przytoczmy fragment wiersza *Moja ojczyzna*:

> Ojczyzna moja nie stąd wstawa czołem;
> Ja ciałem zza Eufratu,
> A duchem sponad Chaosu się wziąłem:
> Czynsz płacę światu.
>
> Naród mię żaden nie zbawił ni stworzył;
> Wieczność pamiętam przed wiekiem;
> Klucz Dawidowy usta mi otworzył,
> Rzym nazwał człekiem.

Norwida akcent jest najpierw ludzki, potem – chrześcijański, europejski, polski. W miłości do Polski nadrzecznych praczek Amazonek, do Polski dzieci idących do szkół, do walorów rodzimego obyczaju – idzie przed innymi. Składa hołd największym artystom czy postaciom historii – i „hołocie". Trzeba go jednak brać w całości, a nie – dobierać, co wygodne lub przygodne.

[11] Oczywiście, że Nowak to wie! Czemu jednak nie chce wyjść poza Pigonia?

eprasa.pl d2f9aed44c

Tam, gdzie Nowak podejmuje krytykę poczynań władzy w PRL-u, stawiającej wobec kultury („i sztuki") zadania edukacyjne, propagandowe, ma naturalnie wiele racji: „twórczość miała być postępowa, laicka, realistyczna[12]. […] Poszukiwano zatem twardych fundamentów. […] Odnaleziono je w renesansie, oświeceniu i pozytywizmie. Innego dziedzictwa nie aprobowano". Wszystko to prawda, ale czy te poczynania głęboko przeorały społeczeństwo, mające za ideał Sarmatę (chętnie w romantycznym sosie), długo by się spierać. Przy tym tezę tak uogólnioną, jak cytujemy, niełatwo rozciągnąć na 45 lat. Nie powiemy znów, że ówczesna polityka kulturalna była zniuansowana (to byłby wielce niestosowny żart, a żartować nie ma z czego), ale ulegała pewnym, najczęściej doraźnym, modyfikacjom[13]. Nie należy też pomijać sukcesów edytorskich w zakresie wydawania klasyki światowej. Dzieło klasyczne oddziałuje samo przez się, niezależnie od wstępu napisanego przez Jana Kotta czy innych luminarzy ówczesnego literaturoznawstwa. Wybitni pisarze, klasycy i współcześni rozchodzili się jak świeże bułeczki, czytani lub tylko podziwiani na domowych półkach. Nie wszyscy, to prawda. Orwell nie miał wielu entuzjastów na Mysiej. Ale już – na szczęście – admiratorów mieć musieli: Graham Greene, Stanisław Rembek, Włodzimierz Odojewski, Marek Nowakowski, Jarosław Marek Rymkiewicz…

Co do romantyków, spójrzmy. Wydań Mickiewicza było więcej (i nakłady – niemałe), niż liczne naówczas wiejskie biblioteki mogły udźwignąć. Wielotomowe wydanie Słowackiego (Krzyżanowski, 1952) było o wiele bardziej praktyczne w szkołach niż naukowe opracowanie Ossolineum (Kleiner, t. 1., 1952). Sukcesy odnosiła seria Biblioteki Narodowej. Pierwsze wydanie *Vade-mecum* ukazało się w 1947 roku (podobizna autografu). Szły jedne po drugich: wydanie PIW-owskie Norwida (1966), *Pisma wybrane* (1968, kilka wznowień[14]), *Pisma wszystkie* (1974), liczne wybory poezji. Wikipedia odnotowuje pięć liceów imienia Norwida, a jest ich przecież więcej. Ile natomiast było wydanych dzieł Kraszewskiego, trudno policzyć[15]. Łączna ich edycja w PRL-u to dziesiątki tysięcy woluminów. Imponująca praca została wykonana przy wydawaniu listów Zygmunta Krasińskiego.

[12] Nawet fantastyka naukowa w swojej wczesnej fazie mocno wspierała program PZPR-u. Nieco późniejszej zasady „realizmu bez granic" nie zmieniają faktu wielokrotnego wystawiania Mrożka, a edycje *Ferdydurke* w 1956 roku i tomu *Bakakaj* w 1957 roku nie zmieniają też takie nowelki jak *Sny pod Fumarolą* (Zieliński) czy *Partanina* (Himilsbach). Itp. itd. Dodajmy tu *pro domo sua* informację, że pierwsze światowe wystawienie fragmentu *Ferdydurke* odbyło się chyba podczas studniówki w warszawskim Liceum im. Mikołaja Reja około roku 1979 (klasa prof. Julii Tazbir). Było bardzo udane, sądzimy.

[13] Najpierw: w sezonie 1953–1955, potem: za sprawą moczarowców, „europeizacji" za Gierka i – na koniec – patriotycznego poluzowania, nadchodzącego jednak z niewłaściwego kierunku. Wzięte z bliska, było to nie bez znaczenia.

[14] Nadmieńmy, że dziś ten wybór pism w twardej okładce i w niezłym stanie kosztuje 20 zł. Oby ktoś jeszcze czytał!

[15] Czy się komu Kraszewski podoba mniej czy bardziej, niełatwo odmówić mu zasług w popularyzowaniu historii Polski, a także w walce z analfabetyzmem (co akurat PRL przeprowadził skutecznie). No tak, ale ta literatura nauczała „troglodytów".

eprasa.pl d2f9aed44c

Prawda, mniej często pojawiał się Henryk Rzewuski, sporadycznie – inni gawędziarze. Jeśli, to najczęściej w antologiach literatury grozy, niepozbawionej humoru. Być może bez entuzjazmu, ale wydawano też poetów romantycznych mniej wybitnych i zgoła trzeciorzędnych. Teza Nowaka, jak ją rozumiem, że straszliwie gnębiono twórców literatury romantycznej, ma się więc nijak do (słusznie minionej) rzeczywistości.

Jakie wrażenie sprawia rozdział *Maria Janion o zmierzchu*? Pierwsze odczucie jest takie, że Nowak stawia pytania, które mają badaczkę pogrążyć, lecz nie osiągają celu. Najpierw cytuje Janion: „Twórczość Norwida stanowi problem całkowicie odrębny" [itd. – s. 458], a potem złowieszczo pyta: „Dlaczego wyłącza się Norwida z tradycji romantycznej? – tego Janion bliżej nie wyjaśnia". Tyle że Janion tego – w cytowanym zdaniu – nie powiedziała. Rację miałby, gdyby napisał, że Maria Janion zaciążyła na badaniach polskiego romantyzmu w stopniu znacznym. To nie przypadek, że *Oświecenie* Kieniewicza (seria *Historia Literatury Polskiej*) ukazało się w roku 1972, a *Romantyzm* Witkowskiej i Przybylskiego – dopiero w 1997. A przecież i wcześniej było paru badaczy, którzy mogliby ów podręcznik napisać (i nie myślę o Zbigniewie Sudolskim). Inna sprawa, czy zadowoliliby Nowaka.

Kolejna odsłona szkiców to walka o słuszną śmierć Ordona. Krótki namysł: chciał zginąć wraz z redutą czy nie? Ostatecznie popełnił samobójstwo pół wieku później. Jak opisywał podobne zdarzenia Norwid, pogrzeb miał dwukrotny (drugi był uroczysty), a trzeci znajdujemy w grandilokwentnym wierszu Rymkiewicza (s. 475–476).

Ta nieśmiała krytyka, która nam się wypsnęła, jest niczym wobec szalejącej burzy Nowaka, gdy się zabiera on do komedii *Śmierć porucznika*. Zaraz też przyznaje, że wybrał najsłabszą może sztukę Mrożka (i niezbyt kompetentny, chociaż sugestywny opis bitwy – Mickiewicza). Ważniejsza niż wybory Nowaka jest postawiona przez niego teza, że „istnieją sprawy, z których lepiej się nie naśmiewać". Zapewne, chociaż jest ich niewiele – i kto by miał o tym „lepiej" decydować, może tylko *daimonion*? A konkretnie: jest pewna śmieszność, pewna – rzekłby Tuwim – dyspepsja w tym, że Ordon miał dwa życia (faktyczne i literackie), czy tej śmieszności nie ma? I czy można ją było inaczej (niż Mrożek) przedstawić? Słyszę: „TAK!". Zatem, Panie i Panowie, do dzieła!

Teraz na dziewięciu stronach następuje opowiedzenie „własnymi słowami" innej sztuki Mrożka, *Ambasadora*, po nim – dramatu *Kontrakt*. Takie streszczenie zawiera (ukrytą) analizę. Pożytek – niemały, gdyby temat związany z Mrożkiem pojawił się na maturze.

Nareszcie, niejako w przypisie do Mickiewicza, Nowak zestawia dwa filmy: *Lawę* Konwickiego (którą podziwia) i *Epizody* (*Short Cuts*) Altmana („nie wchodzę w to", pisze). Cóż, i nas nikt nie wyprzedzi w podziwie dla *Dziadów* Mickiewicza, wyreżyserowanych przez Konwickiego, i dla Konrada, którego zagrał Holoubek.

eprasa.pl d2f9aed44c

Wydaje się nam jednak, że pieczoną kaczkę jedlibyśmy bez ziemniaków i bez buraczków, gdybyśmy wybrali tylko jeden film.

Nowak chętnie rozdaje klapsy i ordery. Mały klaps – Łomnickiemu: „Woszczerowicz czy Łomnicki mogli podobać się wyłącznie tym, którzy przychodzili do teatru […] po iluzję". Wyłącznie? Pan żartujesz. Przypomnę *Trzy siostry* we Współczesnym (Axer, 1963). Łomnicki grał tam niemal epizod: postać Solonego. Jest coś więcej niż iluzja w tym, że gdy pojawiał się na scenie, inne postacie nieco bladły. Jest też coś okrutnego, zgoda. Ale można iść do teatru, żeby – jak mówi piosenka – tracić oddech.

Zarówno postawienie znamienitych aktorów w świetle refleksji, jak i zasadniczą nutę komentarza[16] oraz podziw eseisty dla *Snu srebrnego Salomei* uważamy za wielce trafne[17]. To samo z opiniami o Włodzimierzu Odojewskim i o Sienkiewiczu. Natomiast o Baczyńskim pisze Nowak: „Nie wiem, czy Krzysztof Kamil Baczyński to poeta wielki". Zdaje się, że to przekora, bo wiersze jego cytuje z serdecznym zachwytem.

Gorzej na debacie o poezji prowadzonej przez Nowaka wychodzi Tadeusz Różewicz, oczywisty rywal Miłosza i zwycięzca w układaniu torów, którymi podążyła poezja drugiej połowy XX wieku. Opinia Miłosza o Różewiczu jest nieżyczliwa do granic pamfletu[18]. I ta gorycz w zdaniu Miłosza: „Oddziaływanie tej »nagiej« poezji na młodych to rzecz powszechnie znana". Właśnie. Dzisiaj połowa poetów lokalnych, znanych (każdy – w swojej gminie) pisze Różewiczem. Druga połowa rymuje, najczęściej sentymentalnie. Paru się wybija. Ale wróćmy do szkicu: trafne zdają się też uwagi Nowaka, który komentuje motywy powstania antologii *Postwar polish poetry* Miłosza.

Pojawia się ważny szkic – *Odzyskiwanie pamięci* – komentujący Shoah, co recenzenta onieśmiela. Już nieco łatwiej z Jerzym Nowosielskim – artystą wspaniałym a zdrapywanym ze ścian przez niektórych rzymskich katolików. Cóż, kiedy Nowak, goniący za malarzem i za jego rozważaniami o Bogu, mówi już o rzeczach zbyt… subtelnych? Pisze on: „nie można pominąć aspektu kenotycznego w autodegradacji dobrych bytów subtelnych". I najsłuszniej: „w przypadku aniołów szalenie trudno powiedzieć coś na temat ich woli". No, właśnie: trudno. Podobno niektóre anioły „weszły" czy zostały wtrącone w zwierzęta – relacjonuje eseista opinię Nowosielskiego. Potem dodaje: „nie wyobrażam sobie tygodnia bez steku z anioła". Co komu na stół, temu – rzeżucha, tamtemu – wół.

[16] Irenę Eichler słyszałem i widziałem w Matce Courage. Świetnie ją naśladująca Anna Romantowska pokazała mi kiedyś, że Eichlerówna umiała przekazać równocześnie trzy warstwy (sensu, emocji) wypowiedzi. A Łapicki… Ech, może usidlił go nie tylko (lub nie tyle) Axer, lecz także – Axera wpływowe damy: Mrozowska, Śląska, Mikołajska.

[17] O *Śnie srebrnym*… mawiałem licealistom, że to najpiękniejszy z dramatów, a najpierw – w warstwie języka. A że straszny… Ach, wracałem do tego (niebędącego w programie licealnym) dzieła, gdy uczniów wprowadzałem w materię *Wesela*.

[18] Zacytowanie pełne opinii przez Nowaka załatwia (nierówno jednak) obydwu poetów.

eprasa.pl d2f9aed44c

Mniejsza o wspomnianą tu nieprzypadkowo Olgę Tokarczuk (pamiętam, że w Krajanowie hodowała kozy, a z Wikipedii wiem, że jest wegetarianką). Noblistka chyba nie liczy na przekonanie Nowaka, mającego jak najsłuszniejsze podejście do kurzych ferm, o których pisze – jeszcze N(owak) czy już N(owosielski)? – że kury w nich „skazywane są na przebywanie w obozach koncentracyjnych […] i niczym właściwie nie różnimy się od hitlerowców". Ostatecznie są to poglądy Nowosielskiego, lecz pod niektórymi – mówi Nowak – „chętnie się podpisuję". I my – też.

Podpisuje się też (nie w całości jednak) pod wysokim zakwalifikowaniem sztuki Francisa Bacona jako ukazującej „zło wcielone". Kto jeszcze zasługuje na tak wysoko uniesioną krytykę? Nowak przywołuje – niebezprzyczynnie[19] – *Ołtarz z Isenheim* Matthiasa Grünewalda i *Ciało martwego Chrystusa w grobie* Hansa Holbeina młodszego. Stawia więc Bacona (więc i jego niezwykły *Portret papieża Innocentego X*) między największymi malarzami późnego średniowiecza. Racja, wszystkie te dzieła są wstrząsające. Mniejsza, że dla Dostojewskiego – ważne, że dla nas.

Następuje ciekawa rzecz o Bohdanie Korzeniewskim, po której znów przenosimy się do polityki, czego skutki są zabawne. Nowak przypomina swój dawny tekst[20], którym – młody – błądził: „widzę, że to nie ja, lecz moi koledzy mieli wtedy rację". Nieco to zawikłane, ale nie nadmiernie. Tak czy inaczej, odzywa się podział na „troglodytów" (którzy kiedyś tam wybrali prezydentem Aleksandra Kwaśniewskiego) i na licznych a filozoficznie nastrojonych kolegów Nowaka. Troglodyci głosowali na Kwaśniewskiego, „bo na bezwolną, koniunkturalną »kukłę« to właściwie wszystko jedno, czy się głosuje, czy nie". Święta racja, Panie Dzieju! I patrz Pan, niewiele się zmienia w tym narodku prostackim w swojej nieposłusznej masie! Zgromadzeniu, dodajmy, złożonym z ludzi niezasługujących na miano obywateli (więc tylko przez nieporozumienie mających prawa wyborcze). Bo „tylko doskonały chrześcijanin może być doskonałym obywatelem" (tu Nowak cytuje Dariusza Karłowicza). A że doskonałych[21] nie ma, gdzie okiem spojrzeć, to i obywateli nie dostaje. Z tym wszystkim tekst Nowaka sprawia sporą przyjemność człowiekowi przyzwyczajonemu do poruszania się w polemice niczym w sali o wielu lustrach. A nie wszystkie są gładkie.

[19] *Bezprzyczynny mój dzień, bezsensowny mój wiek składam wierszom powolnym w ofierze* (Tuwim).
[20] Z 2001 roku, ostatecznie niedrukowany. Autokrytykę zapisujemy na korzyść eseisty.
[21] *Piętnem globu tego – niedostatek*.

eprasa.pl d2f9aed44c

Krystian Rdzanek

Dwie strony powoju

Patrząc głębiej ci w oczy, widzę w nich prawdy kamuflaż,
kiedy bardziej i bardziej ślepca – mnie – kłamstwem poruszasz.

Śpiewał psalmy tramwajów, na czas i niewczas przybyłych.
Drżąc na każde z zawołań rdzawo czerwonych torowisk,
był nieważnym kompletnie wśród cielsk grubiańsko olbrzymich.

Jego biały kieliszek z mocą tysiąca królowych
kropli nie uronił, przez stal i rdzawe obrzyny
przeszedł, krzycząc w nieboskłon – m*ogę to zrobić od nowa!*

Orchidee

Co nam biednym zostało? – karmić się krzykiem octowym,
w głos zawodzić o krzywdzie, wreszcie wyrzygać zgryzoty.

Za nią, w kupce kamieni, pęczek kolczastych łodyżek.
Przed nią – kępy trawiaste stroją ją wespół z chwastami.
Piękne są orchidee, matki nieczystych duszyczek.

W cień najgłębszy pochwycą, który brzydotę zatai.
To pogłaszczą kwiatami, które ugładzą w zachwycie:
wszystkie myśli okrutne, każde o śmierć wołanie.

eprasa.pl d2f9aed44c

Tańcząc w czarcim kręgu (sabat)

Zjadam światy opasłe, bawię się i gram na lirze –
to mi w pełni wystarcza, o niczym innym nie marzę.

Wiara w czary szeptunek dawno straciła na mocy –
teraz wszyscy zebrani, którzy tej nocy wątpili,
teraz wszyscy (ja także) tańczą pijani tą nocą…

Daj mi dłoń, czarodziejko – widzę wyraźnie ogniki,
płomień żądzy w spojrzeniu, które wręcz błaga: Bądź ostry,
jak magiczny sztylet, i ugódź. Kochaj mnie po raz ostatni.

sześć persymonów wg Fuchanga

nic ponad to pustkowie które oblewa pustkowie
co ja mogę kochany co mi i tobie po słowie?

mówią: s*ześć persymonów? nikt o podobnym imieniu*
nigdy nie chodził po Ziemi byłoby jednak rozważniej
gdyby ślepi po cichu wciąż zachowali milczenie

bowiem sześć persymonów sześć permanentnie rozwiane
żyje tu i tamże jest na okrągło na zmianę
w głowach bystrych staruszków albo przesącza się w ziemię

Degrengolada

Zeszła po raz kolejny z góry wilgotnej od płaczu.
Zaszła do mnie wybiórczo, spała, za pokój nie płacąc.

Gdy od życia ważniejszym staje się grobowe nieżycie,
nagle wszystko nabiera barwy ponurej i grzesznej.
Tylko niebo, niemrawie wśród chmur niebieści w zachwycie

dziwnych zdarzeń horyzont, ciężko spojony ze zmierzchem.
Jednak wszystko w tym smutku, z rytmu – *trach!* – wybicie,
głupstwem wielkim się kończy – byłem, widziałem – uwierzcie

eprasa.pl d2f9aed44c

***

Jestem pyłkiem wieczystym – lekkim podmuchów użytkiem.
Jeśli chcesz mnie ogarnąć – pobłądź myślami wraz z rytmem.

Kiście białych winogron hurtem dopadły winorośl.
Słońce z góry szeptało: będą rodzynki w tym roku.
To usłużna winorośl, można u niej dużo wyprosić –

tak powtarzał dziadunio, nie ma go już od lat kilku,
jednak krzew winogrona dalej szaleńczo nam rodzi.
Chociaż nawet dla niego w końcu nie będzie ratunku.

Magnolia

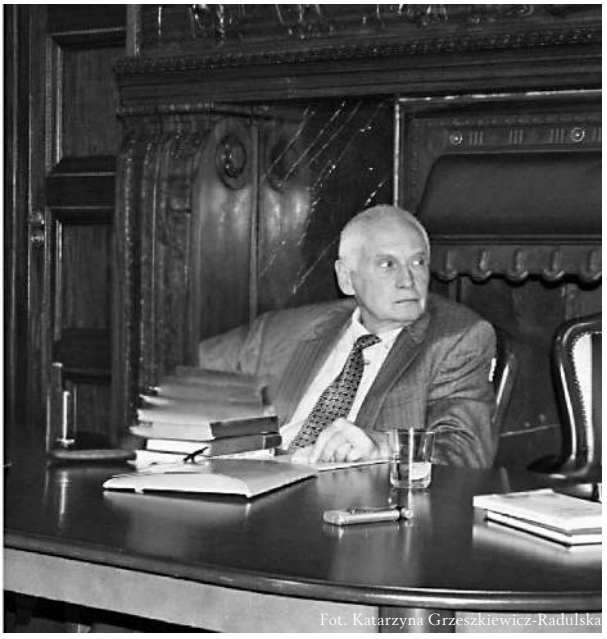
Co oddane wieczności, w wieczność na zawsze przepada –
niczym miałki strumyczek, niczym ogromna kaskada.

Dzisiaj, w dzień przesłoneczny, kwiaty magnolii przekwitły.
Kiedyś przecież musiały, kwiaty nie żyją latami.
Co innego z zapachem, zwłaszcza gdy jest on wybitny.

Dzika róża przykładem – chwilę uwodzi kwiatami,
jednak z róży zapachem został dekalog wyryty,
nawet Rzym zbudowany, chcę i ja – być pochowanym.

eprasa.pl d2f9aed44c

ANDRZEJ ROSTOCKI (1947–2026)



Fot. Katarzyna Grzeszkiewicz-Radulska

6 lutego 2026 roku zmarł dr Włodzimierz Andrzej Rostocki.

Pozwalam sobie na bardziej osobisty ton tego wspomnienia, ponieważ Andrzej był moim serdecznym przyjacielem. Wspierał mnie w działaniach stowarzyszenia, nigdy nie odmawiał poprowadzenia spotkania, żywo dyskutował podczas zebrań Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego – zawsze mogłam na niego liczyć. Z jego rekomendacji weszłam do Zarządu Oddziału Łódzkiego PTS. Na teczce, która zachowała się po profesor Lutyńskiej, ówczesnej przewodniczącej oddziału, widnieje zapis: „Sylwia Męcfal – ta od Rostockiego".

Andrzeja poznałam najpierw jako nauczyciela – podczas moich studiów socjologicznych. Prowadził zajęcia z psychologii społecznej, z public relations, z etycznych problemów poznania oraz z antropologii śmierci. W każde z nich wkładał ogromną energię, wykazywał się erudycją, ale też sypał obrazowymi anegdotami. Potrafił zaskoczyć słuchaczy, gdy – aby zwrócić uwagę na to, co akurat mówił któryś z kolegów – nagle jednym susem znajdował się bezpośrednio przed osobą mówiącą. Takie Andrzejowe objawianie się przed delikwentem zostawało w pamięci na długo.

Miał potężną bibliotekę domową, z której chętnie pożyczał nam książki („z księgozbioru A. i J. Rostockich"). Na wydział zawsze przychodził z plecakiem, w którym przenosił książkowe kilogramy – zarówno te do wypożyczenia, jak i zwrócone.

eprasa.pl d2f9aed44c

Zawsze mogliśmy liczyć na doktora Rostockiego: gdy wymyśliliśmy sobie dyskusję o Łodzi wielokulturowej, gdy prosiliśmy, aby swoim autorytetem wsparł wniosek o finansowanie wydarzenia, kierowany do władz miasta, gdy na warsztaty do Łodzi przyjechali studenci z Białorusi, z Ukrainy i z Niemiec, aby z nami rozmawiać o wolności i o demokracji.

Był dla mnie autorytetem dydaktycznym – nie tylko ze względu na ogromną i wszechstronną wiedzę, lecz także z powodu znakomitej umiejętności budowania relacji ze studentami. Był uwielbiany.

Naukowo był kontynuatorem myśli metodologicznej profesora Jana Lutyńskiego – swojego mistrza, promotora, człowieka, którego zawsze stawiał za wzór. Przez kilka lat dzieliliśmy z Andrzejem pokój w Instytucie Socjologii UŁ. Portret profesora Lutyńskiego zajmował w nim centralne miejsce, tuż przy biurku Andrzeja. Publikacje Andrzeja obejmowały między innymi problematykę drażliwości pytań kwestionariuszowych, ich trudności, a także fenomen kłamstwa obronnego jako etycznego problemu wywiadu kwestionariuszowego.

Bardziej niż naukę kochał jednak książki. Czytał je i gromadził tonami. Był autorem list bestsellerów publikowanych w łódzkim „Bestsellerze", w „Ex Librisie" i w „Rzeczpospolitej" („Rzecz o książkach"). Pisał felietony poświęcone rynkowi książki – w „Tygodniku Powszechnym" („Książki w Tygodniku"), a także teksty o książkach – w „Dzienniku Łódzkim". Współpracował z „Notesem Wydawniczym". W 2004 roku został nominowany do nagrody Polskiej Izby Książki w kategorii „prasa" – za najciekawszą prezentację książki w mediach. Łącznie napisał ponad 800 artykułów i recenzji książek.

Przez lata działał na rzecz Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Był członkiem Zarządu Głównego PTS, przewodniczącym Oddziału Łódzkiego PTS oraz przewodniczącym Sekcji Metodologii Badań Społecznych PTS. Jako członek Zarządu Głównego PTS kilkukrotnie zabiegał o to, aby zarząd zabierał głos w ważnych sprawach społeczno-politycznych.

Zmagał się z ciężką chorobą, wobec której formułował najgorsze przekleństwa. Nie szczędził krytyki także wobec rachunku prawdopodobieństwa: „Niech mi ktoś jeszcze coś powie o rachunku prawdopodobieństwa. Dwa na sto tysięcy" – mówił o prawdopodobieństwie zachorowania na chorobę, która go dotknęła.

Kilka miesięcy temu w prywatnej rozmowie powiedział: „Zawsze to ja pisałem wspomnienia o socjologach z naszego oddziału, którzy odeszli. O mnie napiszesz ty".

Andrzeju, mam nadzieję, że dobrze wywiązałam się z tego zdania. Dziękuję za wszystko. Spoczywaj w pokoju.

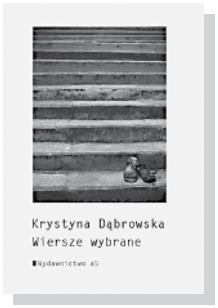
Sylwia Męcfal
Przewodnicząca Oddziału Łódzkiego PTS
Łódź, 6.02.2026 r.

Tekst został w pierwszej wersji opublikowany na stronie Polskiego Towarzystwa Socjologicznego: https://pts.org.pl/wspomnienie-andrzej-rostocki/.

eprasa.pl d2f9aed44c

Po całym dniu chodzenia

Krystyna Dąbrowska, *Wiersze wybrane*, Wydawnictwo a5, Kraków 2025



Na przedniej okładce – zdjęcie: kolorowe schody, które kojarzą się z egzotyczną podróżą (czy to kolorowe schody w Podgórzu w Krakowie? W dzielnicy Balat w Stambule? W Kusadasi? Tęczowe schody w Lizbonie? A może zupełnie gdzie indziej?), i buty – damskie sandały noszące ślady użytkowania, pozostawione na najniższym schodku (czekające? odpoczywające?). W środku – wybór wierszy Krystyny Dąbrowskiej wydany nakładem wydawnictwa a5. Książka zawiera 128 wierszy pochodzących z wcześniejszych pięciu tomików (po dwadzieścia kilka utworów) i uporządkowanych chronologicznie – od *Biura podróży* (2006), po *Miasto z indu* opublikowane w 2022 roku.

O swoich wierszach z debiutanckiego tomiku mówi autorka, że „próbują uchwycić rzeczy zobaczone jakby po raz pierwszy w ich dynamice, dzianiu się". Namacalność poezji Dąbrowskiej, sposób, w jaki chwyta drobiny codzienności w ich zdarzaniu się (nie tylko w *Biurze podróży*, lecz także w wierszach późniejszych), kojarzą się z prozatorskimi (chociaż nie do końca) *Szczelinami istnienia* Jolanty Brach-Czainy. To istna fenomenologia codzienności, a jej tematami są: pies (ważny w kontekście całej twórczości Dąbrowskiej) na brzegu morza, który szarpie „obrożę metalowych kropel" (*Wczoraj widziałem psa na brzegu morza*), okno, które „wciąż nie może się otrząsnąć / z ręki sięgającej po plaster arbuza" (*Parterowe okna*), stół „żarłok", który „napycha czym się da swoje siwe drewno" (*Stół*), czy – wreszcie – kocyk, którego róg jest „impregnowany dziecięcą śliną jak brezent" (*Kocyk*).

Autorka *Białych krzeseł* przygląda się rzeczom, zjawiskom, ludziom – z różnych stron doświadczenia i sprzęgniętego z nim ściśle języka. Zestawia ze sobą, zderza, analizuje ich smak, kolor, fakturę, przykłada do wspomnień, do aktualnych wydarzeń, do zagadnień społeczno-kulturowych. Gdy czytam przywołany już *Stół*, na tym właśnie stole widzę – lśniący, dojrzały, wypełniony sokiem, przedstawiony z różnych kątów widzenia-czucia – owoc wiśni Brach-Czainy (*Wiśnia i rozumienie*). Obie autorki są wnikliwymi obserwatorkami fenomenów codzienności, które analizują od środka za pośrednictwem języka. Ale dość już tych porównań. Dąbrowska stroni od prostych klasyfikacji, od szufladkowania.

eprasa.pl d2f9aed44c

Autorka *Miasta z indu* jest samotniczką, samotniczką pod wieloma względami: od fizycznego zwyczaju szwendania się w pojedynkę (czy będzie to Warszawa, czy bardziej egzotyczne miejsce), przez samotne łażenie po niewydeptanych (albo ledwie muśniętych) ścieżkach poetyckiej dykcji.

„[…] spytana, skąd pochodzi, ucinała: z wielu miejsc" – pisze Dąbrowska w wierszu *Dziewczyna w muzułmańskiej chustce*. Sama autorka *Białych krzeseł* wprawdzie pochodzi z jednego miejsca – z Warszawy – ale w swoich peregrynacjach często się zapuszcza w odległe, egzotyczne zakątki świata. Wyrazem tego bycia w podróży jest spora reprezentacja wierszy, które pochodzą z przestrzeni odległych geograficznie i kulturowo względem Polski. Poetka wsłuchuje się w szum morskich fal, które obmywają brzegi rodzinnego miasta Kawafisa (*Łóżko*), podąża wścibskimi ścieżkami wydeptanymi przez kozy kairskie (*Kozy*), zagląda do średniowiecznej cerkwi w Gruzji (C*erkiew w Gruzji*), zapuszcza się w dzikie, ludobójcze odstępy kambodżańskiej dżungli (*W gęstym upale*), wraz z motylami monarchami przylatuje do Meksyku (*Motyle*), a także analizuje językowe niuanse gorącego i szorstkiego języka hebrajskiego (*Hebrajski*). Dąbrowska podczas tych lirycznych wycieczek nierzadko zanurza się – na krótszą lub na dłuższą chwilę – w tkance codzienności obcej kulturowo, zestawia ją ze zwyczajami i z innymi elementami kultury, z której się wywodzi, którą jest nasiąknięta (*Powitanie*). W rozmowie z Pauliną Wilk przyznaje: „W moim pisaniu podróże są jedynie punktem wyjścia do poruszania spraw, mam nadzieję, uniwersalnych. W nowych miejscach szukam chwil i sytuacji, które przez swoją obcość, paradoksalnie, przywołują to, co bardzo intymne i osobiste" (*Lubię myślnik*, miesięcznik „Znak").

Dla Dąbrowskiej ważna jest poezja Paula Celana, Elizabeth Bishop, Walta Whitmana, z polskich autorów ceni wiersze: Wisławy Szymborskiej, Mirona Białoszewskiego, Tadeusza Różewicza, Aleksandra Wata, Adama Ważyka. Nie ma jednego polskiego czy zagranicznego mistrza, jednej mistrzyni czy jednego autorytetu, z którego czerpałaby garściami (nawet niepełnymi). Nie czuje się kontynuatorką konkretnego twórcy, konkretnej poetyki. I nawet jeżeli czasami w wersach, w słowach autorki *Biura podróży* pobrzmiewają dalekie echa poprzedników, są to wiązania na tyle wątłe, skojarzenia na tyle odległe, dyskusyjne i subiektywne, że owe echa mogą być (i w większości zapewne są) całkowicie przypadkowe i przez poetkę niezamierzone. Bycie outsiderką ma dobre i złe strony. Dąbrowska widzi więcej i ostrzej, ale nie ma wsparcia, jakie daje grupa. Aby nabrać niezbędnego czasem dystansu, wytchnienia, stosuje, jak to sama nazywa, trójpolówkę – nie zajmuje się wyłącznie pisaniem wierszy. Poza poezją przekłada teksty innych autorów (przykładowo: noblistki Louise Glück), pisze artykuły, eseje. Szczególnie przekład jest sposobem odpoczynku od siebie, wejścia w cudzy świat.

Autorka *Białych krzeseł* – niezwiązana z żadnym środowiskiem literackim – wypracowuje swój własny, niepowtarzalny styl, który wymyka się jednoznacznym

eprasa.pl d2f9aed44c

klasyfikacjom formalnym. Jej wiersze nie są przeładowane wymyślnymi metaforami czy grami słownymi. Posługuje się rozmaitą formą, ale przeważają interpunkcyjne wiersze wolne z podziałem na strofy (chociaż tych astroficznych jest niewiele mniej). Zdarzają się wyjątki, jak sonet *Oceanarium* czy jak ainterpunkcyjny wiersz *Butelka piwa z cząstkami cytryn*. W wyborze znajdziemy ekfrazy (*Dwie rzeźby*, *W bocznej sali*, przewrotna *Grupa Laokoona*), wiersze metaliterackie, a nawet lingwistyczne (*Głosy*), autoironię (*Jeżeli siwe włosy*) czy wiersze typowo narracyjne, reportażowe (których jest najwięcej).

Szwendactwo – w tym: podróżowanie – jest ważną metodą twórczego doświadczania świata przez Krystynę Dąbrowską. W podróży często notuje swoje obserwacje, emocje, fakty zmieszane z przeżyciami, aby na tym materiale wykuwać późniejsze wiersze. Oczywiście, nie jest to jedyny sposób, ale jeden z bardziej charakterystycznych, przewijających się w jej wypowiedziach, odsłaniający nieco to, co dzieje się od kuchni jej poezji. Nad wierszami raczej pracuje (zmienia, przepisuje, poprawia), niż są to efekty jednorazowego natchnienia. Niektóre muszą swoje odczekać, jak wiersz *Rower*, który już od dawna chodził po głowie poetce. „Często piszę, chodząc. Jestem perypatetyczką, wędruję i piszę w głowie. A im dłużej zajmuję się w życiu pisaniem, tym bardziej wydłuża się proces tworzenia" – mówi w rozmowie z Pauliną Wilk. „Myślę obrazami. […] Mam w głowie pewien obraz, który mnie zajmuje. Ale jeszcze nie mam dla niego słów. Kiedy przyjdą, będę mogła z nimi pracować" – dopowiada. Umiejętność wynurzania się z siebie i wcielania w elementy zewnętrzności – to „żerowanie" (jak sama nazywa ten proces) na swoich i na cudzych dramatach – wymaga pełnego zaangażowania.

Notowanie obserwacji, zbieranie wstępnego materiału, z którego zostanie uformowany wiersz, przywodzi na myśl częstą praktykę malarską: malarz w plenerze mocuje się z czasem zmieniającym pogodę, robi pośpieszne szkice, aby w zaciszu pracowni dopracować malarską wizję. À propos wizji: „[…] moc wiersza bierze się często z opisu wychodzącego od dobrze zaobserwowanego detalu. Opisu czy narracji, które – mając w sobie coś z reporterskiej wierności – prowadzą nas dalej, poza to, co widzialne i uchwytne, zgęszczają się w poetycką wizję" (*Co siedzi w wierszu*, „Mały Format"). Tak Krystyna Dąbrowska w kilku celnych zdaniach umiejętnie syntetyzuje poezję Elizabeth Bishop i Philipa Larkina. Dobrze zaobserwowany detal i reporterska wierność, zgęszczające się w poetyckiej wizji – te słowa równie celnie charakteryzują twórczość poetycką samej Krystyny Dąbrowskiej.

Tadeusz Dąbrowski podkreśla, że wiersze poetki „są narracyjne, opierają się na skupionych, niespiesznych obserwacjach codziennego życia zwykłych ludzi, które – ujęte w kadr wiersza – ujawnia głębszą logikę, ukryte pod podszewką błahości cudowność i tajemnicę" (*W metaforze*). Wniosek zostaje wysnuty przy okazji lektury wiersza *Wymiana okien*, ale można go zastosować do każdego innego. Na szybko przychodzi mi na myśl jedna z krótszych, ale poruszających miniatur – *Matka*

eprasa.pl d2f9aed44c

i córka. W podobnym tonie wypowiada się Iwona Smolka w laudacji z okazji przyznania poetce Nagrody Poetyckiej im. Kazimierza Hoffmana „KOS" za tom *Miasto z indu*: „Krystyna Dąbrowska lubi opowiadać historie, lubi snuć opowieści, lubi poezję narracyjną. […] Każda opowieść ma ukryte przesłanie, drugie dno. […] To nie jest, jak sądzą niektórzy, prosty reportaż, zwykła relacja z jakiegoś wydarzenia, charakterystyka spotkanego człowieka. […] To poezja intelektualna, poezja refleksji, skupiona w każdym zdaniu, każe nam myśleć, zastanawiać się, sprawdzać tropy, które nam podsuwa. Niemal każdy wiersz jest pojemną metaforą" („Tekstualia" 3/2023). Zgadzam się z powyższymi syntezami, z małym „ale": dla mnie każdy wiersz Dąbrowskiej jest pojemną metaforą – a co dopiero cały tom.

Każdy z nich jest – co widać w ich zestawieniu – inny, swoisty. Różnie rozkładają się w nich akcenty tematyczne oraz sposoby, w jakie sfery faktów i przeżyć ujmuje w słowa (sprzęgnięte ze sobą, pozostające w zwarciu). Niełatwe do uchwycenia, uogólniające dominanty charakteryzujące poszczególne tomy zwracają uwagę na rozciągniętą w czasie i w przestrzeni ewolucyjność poezji Dąbrowskiej. Ów wybór to uwypukla – co jest jego dodatkowym walorem.

Dlaczego poetka zdecydowała się na publikację wyboru swoich wierszy? Z czysto prozaicznego powodu: bo wcześniejsze tomy (z wyjątkiem najnowszego – *Miasta z indu*) nie są już dostępne. Jest to więc rodzaj ich wznowienia. Jest to też – jak się wydaje – znakomita okazja do zatrzymania się, spojrzenia z dystansu na swoją twórczość i pewnego jej podsumowania. „Zamiast oskarżać, pożegnaj dawną siebie" – tymi słowami Dąbrowska rozpoczyna wiersz *Zamiast*, wieńczący *Wiersze wybrane*.

Na zakończenie wrócę do okładki, ale nie tej przedniej, z sandałami na najniższym stopniu schodów, tylko tej tylnej, która bezpośrednio z nią koresponduje.

Zdjęcie przedstawia te same schody, co na przedniej okładce. Z małą różnicą: sandały zniknęły. Zamiast tego na szczycie schodów widać obute nogi – nogi w ruchu, nogi w podróży.

Każdy wiersz z zaprezentowanych w niniejszym wyborze jest podróżą przez mniej lub bardziej egzotyczne konteksty, konotacje językowe i znaczeniowe, detale rzeczywistości, przestrzenie emocjonalne oraz wspomnienia cudze, które prowadzą do własnych, indywidualnych, niepowtarzalnych (a jednak odbijających się w innych) doświadczeń. Kto podczas czytania wiersza *Kocyk* nie wspomniał swoich własnych – osobistych, ukochanych – tkanin dziecięcości? Sama poetka stwierdza: „w pisaniu nie chodzi o wykładanie kawy na ławę, tylko o to, aby sugerować, podprowadzać, stworzyć trampolinę dla wyobraźni, uczuć, myśli – a czytelnik może odbić się od niej, skoczyć w przestrzeń własnych skojarzeń" (*Co siedzi w wierszu*), wskoczyć we własne buty – nawet, a może właśnie dlatego, że „buty, znów na nogach, pieką" (*Buty*). Krótki odpoczynek, zebranie myśli – po całym dniu chodzenia – i czas iść dalej.

KAMIL K. PILICHIEWICZ

eprasa.pl d2f9aed44c

Ścieg na cztery ręce

Bożena Boba-Dyga, *Fastryga*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Warszawa 2025



Czym jest fastryga? Tymczasowym poetyckim ściegiem, przedbiegiem dla palców poetki, z opuszka na opuszek przerzucających błyszczący naparstek ironii. Kilkoma poruszeniami igłą – bez zbędnych przecinków, szwów i kropek – wprowadzającymi nas w świat trudny do wyobrażenia za pomocą chociażby i setek nici, zszywających tysiące metrów lirycznego materiału. Jest niczym szew techniczny, nieopatrznie pozostawiony w płaszczu kobiety czekającej na taksówkę, w marynarce staruszka na pokładzie samolotu Lufthansy i w palcie, które już nigdy nie spocznie na grzbiecie swojej właścicielki. Jest jak urywany sen o krakowskiej dorożce i o rodzinnym sklepie, jak ostatnia rozmowa w hospicjum i jak wiadomość wyrywająca się zza szlochów. Czym fastryga jest dla Bożeny Boby-Dygi – a czym ma szansę być dla nas samych?

Tomik *Fastryga* jest trochę jak katalog wystawy, oprowadzający czytelnika nie tyle po muzeum, ile po żywej pracowni artystycznej (jego autorka, jak czytamy w imponującym biogramie na skrzydełku okładki, to w końcu nie tylko poetka, lecz także wszechstronna artystka). Gdy wędrujemy pokojami tej pracowni, napotykamy z pozoru tylko chaotyczny zbiór poetyckich płócien i rzeźb. Widzimy – skrywane na potem – piękno oraz gęś, podszczypującą nas niczym życie, gdy w locie mijamy jej szyję wyciągniętą ku niebu. Czy ona ściskała w dziobie rozbijaczkę do jajek? Czy ktoś przystroił ją w naszyjnik z nigdy niewykorzystanych tamponów? Z każdym wierszem wracają do nas podobne pytania, z każdym kolejnym krokiem ku wnętrzu tej fantastycznej pracowni, coraz bardziej przepełnieni zdziwieniem, odczuwamy coś znajomego, chociaż podanego w zupełnie nowej formie. To, co czujemy, to przemijanie: słodkie zapachem krojonej cebuli i gorzkie jak widok ćmy umierającej za szybą. Kolejne fastrygi oplatają nas, tymczasowe szwy wspinają się ku łysiejącym drzewom i opadają z nich na głowy intelektualistów pozbawione liści – te najbardziej narażone na demencję, która jest karą „za ambicję i nadużywanie talentów". Poetka wiąże na naszych oczach coraz to nowe ściegi impresji, przemijającą młodość zszywa z nadchodzącą starością, przyjaźń – z miłością, istotę życia – z drapaniem pleców – aby zaraz zerwać je w nieskończonej, ale dojrzałej poetyckiej zabawie. Bo przemijalność, która wysuwa się tu na pierwszy plan, jest naszą codziennością – czasem potrzeba całego tomiku wierszy, abyśmy sobie o tym przypomnieli.

W pewnej chwili docieramy do najbardziej intymnego pokoju tej pracowni. „Głaszczę mamo Twoją siwą główkę / cienko obleczoną skórą". Tutaj, jakkolwiek razem z poetką, stoimy jednak obok, na tyle blisko, na ile wpuszcza nas ona

eprasa.pl d2f9aed44c

między wiersze, między opuszczane niedzielne obiady a odleżynowy materac pulsujący esencją rzeczywistości. Ręka nam zadrży, gdy zechcemy podać kawę („żebyś nam nie zasnęła / na wieki"), głowa się pochyli, gdy spróbujemy wyłapać senny szept umierającej, serce drgnie, kiedy odezwie się telefon – „ten telefon / Szloch w słuchawce" – a ta, która była, zniknie „pod kwiatami". Będziemy stać w tłumie śledzącym porywane kwiaty i dziarskich grabarzy, usłyszymy nawet szept poetki – „żeby nam tylko nieboszczka nie wypadła" – i szmer niebieskiego hamulca bezpieczeństwa. Czułość poetyckiego wyrazu Bożeny Boby-Dygi jest czułością z lekka uśmiechniętą, pozbawioną patetyzmu i oszczędzającą czytelnikowi potoku łez. Szampan, zmyślone anegdoty czy taniec z powietrzem „na trzy na cztery" prowadzą nas natomiast suchą stopą, chociaż nie bez szklących się oczu, przez osobistą żałobę autorki. A właściwie – przez jej poetycki wyimek, ten, który artystka zdecydowała się przed nami odsłonić, usnuty w końcu metodą na cztery ręce, przy delikatnym współudziale jej mamy. Bo to niedopowiedzenie łączy dobrą poezję z dobrze przeżywaną pamięcią po zmarłym: pozostawienie pewnych spraw między wierszami, między medalem za zbyt wiele wspomnień a widmem niepamięci, wśród palców czterech dłoni zwiniętych w ostatni uścisk.

Wszyscy jesteśmy fastrygami. Przekonani, że „trzeba żyć życie póki się żyje", dajemy się zaplatać i przyszywać sobie kolejne łatki, rozpruwać szew za szwem, zanim zdążymy się czymkolwiek nacieszyć. Nawet gdybyśmy żyli sto lat i więcej, ostatni ścieg w końcu się zerwie, a nam pozostanie tylko mediować z aniołami sprawy żyjących. Póki to jednak nie nastąpi, wyposażmy nasz plecak ewakuacyjny – chociażby ten metaforyczny – w *Fastrygę* Bożeny Boby-Dygi, w poezję lekko uśmiechniętego przemijania, idealną na czasy przemijające swoją okrutną tymczasowością.

JAN SKOUMAL

Poezja jest najważniejsza

Justyna Bargielska, *Kubek na tsunami*, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2025



O tej książce było i będzie głośno długi czas. Najpierw autorka bez skrępowania napisała, że *Kubek na tsunami* jest efektem jej współpracy ze sztuczną inteligencją. Zamiast ciekawej i potrzebnej dyskusji o wpływie AI na pracę pisarską otrzymaliśmy głosy oburzenia i prymitywnego hejtu (nie każdy wpis pod postem Bargielskiej na FB tym się wyróżniał, to tu, to tam dało się dostrzec szczerą ciekawość, głosy zaskoczenia, ale nie należały one do większości). Nie jest tajemnicą, że poetki i poeci, chociaż nie przyznają się do tego

eprasa.pl d2f9aed44c

publicznie, przed Justyną Bargielską korzystali – nie wszyscy – z różną częstotliwością z tego narzędzia: aby skrócić wiersz, aby poszukać inspiracji, aby dla wersyfikowanego tekstu znaleźć najlepszą przerzutnię. Następnie poetka otwarcie podzieliła się doświadczeniem kryzysu. Pojawiła się zbiórka, która miała pozwolić Bargielskiej na terapię, natomiast z publicznej rzutki zakończonej sukcesem wyniknęła potem niepotrzebna burza. Ostatnio Bargielska zdecydowała się udzielić obszernego wywiadu. Wszystko to wisi w sieci, ktoś ma ochotę – proszę bardzo. Wspominam o tym z dwóch powodów. Po pierwsze: trzymajmy kciuki za poetkę. Po drugie: nie jest to bez znaczenia dla odczytania *Kubka na tsunami*, chociaż więcej do żadnego z tych kontekstów nie nawiążę.

Tym, co sprawia mi nieziemską przyjemność z czytania *Kubka*, są zdania. Krótsze i dłuższe. Wyrwane z całości. O, myślę sobie, takie: wersy „Wyglądasz, jakbyś chciała umyć mi zęby. / Nie, chcę ci zakleić usta taśmą w pastelowe kotki" pochodzą z wiersza o tym, jak kobieta utknęła w windzie między piętrami. Z tego samego utworu: „W ogóle to przestałabym pisać książki, zaczęła pisać imiona". Gdzieś indziej: „zostanę bogiem nowego świata, / a świat odpowiedział: meh, czemu nie". Albo: „Ktoś powiedział, że jego rzęsy są dłuższe niż nasze relacje". Można nad tymi zdaniami stać bez końca, oglądać je z każdej strony.

Tym, co pozostaje przede mną zamknięte, to większa, kompletna całość, bazująca na innych regułach niż wyklejanki. Kapitalna fraza, obrazy, mnóstwo sygnałów spod języka i… przeczucia. Te pod skórą, że coś się zbliża, wyrażone w wierszu, takie tsunami czy cyklon, a także te wynikające z bezradności, kiedy czytelnik nie jest pewien, czy dzwony z wiersza *Living apart together* to dźwięk z kościelnej wieży czy kogut z karetki zza okna, nocą, kiedy ciemność trwa i trwa w nieskończoność. Poetka w zakończeniu tego wiersza pisze: „Ten stop metali ma duże oczy i oddycha spokojnie, / wie, kim jest". Przyznaję, ja wiem tylko czasami. Ale czy to problem? Tak, jeśli uznamy poezję za komunikat, który musi zostać w największym stopniu odkodowany. Nie, jeśli za wartościową uznamy grę, w której dochodzą do nas – na prawach przeczucia – dziesiątki sygnałów, ich sąsiedztwo się układa, a czasem nie układa, w sens. Czasem ten sens pojawia się z tarcia, z niedopasowania, z tego, że – tak jak w wyklejankach – na jednej kartce zderzają się ze sobą wyrwane skądś fragmenty. Tak czytam *Kubek na tsunami*. Jestem świadom, że za tą lekturą, za „taką" interpretacją stoi pewna infantylność. Nie kłóci się ona jednak z opowieścią o świecie, w którym zostajemy wystawieni na masę – dosłownie: masę – idącą w miliony komunikatów, często stojących ze sobą w sprzeczności. Nie jesteśmy na nie obojętni, ale nie dlatego, że zatrzymujemy się nad nimi, lecz dlatego, że one zatrzymują się w nas i ścielą dla siebie kąt w ludzkiej podświadomości. Inną jeszcze stroną medalu jest to, że tak jak ja, czytelnik, mam swoje przeczucia względem tekstów, tak ta książka – wydaje się – ma przeczucia względem świata, kierunku, w którym świat zmiesza. I nie są to z pewnością przeczucia, na których buduje się spokój ducha: tocząca się nieopodal wojna, rachunek

eprasa.pl d2f9aed44c

wystawiany ludzkości przez naturę, a wszystko na tle nie zawsze pozwalającej się ze sobą dogadać codzienności, takiej jak chęć bycia odnalezioną w mroku, trwanie przy łóżku chorej mamy, rozpędzająca się żałoba, widok stosów książek, upranych i brudnych ubrań.

No właśnie. Poezja jest najważniejsza. Fakt, żadna poezja nie jest zawieszona w próżni, żadna nie funkcjonuje bez kontekstu. Przez hasło „poezja jest najważniejsza" chcę powiedzieć coś innego: tym, którzy tłem dla książki czynią opowieść – niekiedy demoniczną, niekiedy dość obojętną, chociaż w większości, bądź co bądź, snutą w krytycznym tonie – o tym, że poezja układa się z AI, co z tego wynika, nie tyle zarzuciłbym pójście na skróty, ile stwierdziłbym, że dali się oni ponieść ogólnemu klimatowi, jaki wokół książki zapanował, tym samym złapali się w pułapkę zastawioną nieświadomie przez poetkę, a wykorzystaną przez media masowe i wytransferowaną na inny poziom, na którym kategoria jakości ustępuje ilości. Powtórzę: nie AI, a wiersze – niech one zaświadczą, ile miejsca *Kubkowi na tsunami* warto poświęcać, jakie wątki uplatają się z samych utworów, dokąd nas prowadzą i gdzie ślady się urywają. Nawet sama Bargielska przyznała w wywiadzie: „to autor musi iść za książką, nie książka za autorem". Myślę, że dotyczy to wszystkich, a bieg tomiku za wyobrażeniami rozgrzanymi przez chwilę do czerwoności czy za lękami na temat wchodzenia AI do poezji dużo mówi o nas, ale o wierszach – już niewiele, co najwyżej cementuje powtarzaną od lat tezę o marnym statusie liryki w obiegu kultury i o jej nieskutecznym, coraz rzadziej podejmowanym kroku, który z poetyckiego środowiska (pola literackiego, tak się teraz mówi) wyprowadziłby lirykę na szersze wody.

ADRIAN SINKOWSKI

Porozmawiajmy o polityce i młodości

Wojciech Chmielewski, *Księżyc ma zapach Warszawy*,
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2025



Wojciech Chmielewski zaskakuje najnowszą powieścią – *Księżyc ma zapach Warszawy*. Do tej pory pisarz wypowiadał się w innej stylistyce. Przed dwudziestoma laty Chmielewski debiutował ciekawym zbiorem opowiadań – *Biały bokser*. Następnie pojawiała się znakomita *Brzytwa*. Otrzymujemy realizm wysokiej próby (niekiedy, nie tylko tematycznie, odsyłający do prozy Marka Nowakowskiego). Potem przyszły dwa znaczące, ciekawe utwory – chociaż osadzone w nieco odmiennej przestrzeni niż *Brzytwa* czy *Biały bokser – Kawa u Doroty* i *Najlepsza dentystka w Londynie*. Chmielewski odchodzi

eprasa.pl d2f9aed44c

w nich od krótkiej formy – z której wyrasta i której, mimo wszystko, pozostaje wierny do dziś – i zmierza w stronę dłuższej. W 2017 roku ukazuje się powieść *Belweder gryzie w rękę* (za którą otrzymał Nagrodę im. Cypriana Kamila Norwida), a w 2021 – psychologiczne, refleksyjne *Jezioro Dargin*.

Księżyc ma zapach Warszawy należy bez wątpienia do innego porządku estetycznego i tematycznego niż *Brzytwa* czy *Kawa u Doroty*. Czym więc jest najnowsze dzieło Chmielewskiego?

Do pewnego stopnia jest to utwór społeczno-polityczny. Oczywiście, nie przyświeca mu tradycja powieści politycznej rodem z Kadena-Bandrowskiego. *Generał Barcz* czy *Mateusz Bigda* dzieją się w elitarnych sferach władzy, pośród salonowych gier i intryg rzutujących potem na egzystencję przeciętnych obywateli. Niczego takiego nie znajdziemy u Chmielewskiego. Elity pojawiają się, owszem, ale tylko w dialogach albo w retorycznych tyradach młodych bohaterów. Najczęściej – jako negatywny punkt odniesienia. *Księżyc ma zapach Warszawy* to raczej tekst z licznymi i wyraźnymi wtrętami o charakterze politycznym, osadzonymi na tle realiów życia studenckiego z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Księżyc ma zapach Warszawy krąży wokół dwóch głównych tematów. I zdaje się, że są to dwa zasadnicze powody, dla których on powstał: polityka i młodość. Najnowsze dzieło Chmielewskiego jest wyprawą sentymentalną. Wraz z narratorem wybieramy się w podróż do lat studiów. Trudno orzec, jak wiele z ukazanych zdarzeń, sportretowanych postaci pochodzi z doświadczenia i przeżyć samego autora (a pochodzi na pewno). Nie to jednak jest najważniejsze. *Księżyc ma zapach Warszawy* to retrospektywna podróż w głąb duszy bohaterów, ich stan umysłu. Aby ją odbyć, Chmielewski wybiera jednak odmienną drogę niż dotychczas. Dotąd zamiast na rozbudowanych dialogów bazował raczej na opisie konotującym sferę niedopowiedzenia, koncentrował się na budowaniu nastroju. Z tego, co przemilczane, niewypowiedziane należało wnioskować o myślach i o sądach poszczególnych postaci. W najnowszej powieści Chmielewski zmienia akcenty. *Księżyc ma zapach Warszawy* wzniesiono na partiach dialogowych, w których dynamiczne, szybkie, często wulgarne kwestie sąsiadują z dłuższymi tyradami. W obu wypadkach bohaterowie wprost nazywają swoje uczucia i poglądy polityczne. Zazwyczaj formułują je ostro, arbitralnie, unikają półcieni. Tłumaczy ich zapewne młodość, która ma skłonność do radykalizmu i do stawiania sprawy na ostrzu noża, ale też i to, co widzą dokoła w sferze polityki.

Nieprzejednaną postawę przyjmują Jacuś i inni bohaterowie powieści wobec swoich wykładowców uniwersyteckich – ich oportunizmu, tchórzostwa intelektualnego i wygodnictwa. Niepodważalna wiedza fachowa tych ludzi nie idzie w parze z postawą moralną. Młodzi studenci wytykają środowisku akademickiemu fakt, że nie poddało się ono lustracji (analogiczny opór wobec lustracji

eprasa.pl d2f9aed44c

wykazywali przedstawiciele sfer medialnych oraz sądowniczych). Chmielewski uchyla podnoszony przy tej okazji argument: po co do tego wracać? Nie tyle przecież chodzi o to, aby drążyć w biografiach konkretnych osób (są one pseudonimowane konsekwentnie w powieści), celem ich zdyskredytowania, ile o mechanizmy narodzin III Rzeczypospolitej. Znamienne, że to właśnie młode pokolenie, a nie – wykładowcy starsi od dekady, są rozczarowani: najpierw układem w Magdalence, potem powrotem postkomunistów do władzy po obaleniu rządów Jan Olszewskiego.

Nad utworem Chmielewskiego krąży widmo grubej kreski. Konsekwencje strategii przyjętej przez premiera Tadeusza Mazowieckiego dają o sobie znać w dwóch obszarach: polityki i gospodarki. Chmielewski podnosi podobne kwestie, co Bronisław Wildstein w C*ieniach moich czasów.* Wśród nich są – przede wszystkim – rozliczenie z postkomunistami oraz uwłaszczenie się postkomunistycznej nomenklatury, które odbywa się za milczącą zgodą opozycji. Co znamienne, krytyczną ocenę podwalin III Rzeczypospolitej słyszymy w wypowiedziach nie tylko studentów, lecz także narratora. Wygłasza on równie deklaratywne opinie. Widać to dobrze we fragmencie piętnującym hipokryzję byłych członków PZPR i polityków z opozycji: „Obecnie najgorsze moskiewskie sługusy, gnące się w lansadach i drżące na myśl o »radzieckich«, najgoręcej stawały w obronie »demokratycznych wolności«, które jeszcze pięć lat temu traktowane były przez nich z milicyjnego buta i pałą przez plecy. Ależ wszystko się ułoży, wygładzi, do starych podziałów nie ma co wracać, grzmiała oficjalna propaganda, wobec której oponenci byli bezradni, natychmiast zresztą zyskiwali przydomki oszołomów i faszoli". Jest to jednak głos pełen goryczy, sąd człowieka zawiedzionego i dodajmy – w gruncie rzeczy bezradnego wobec tego, co się stało.

W miejskim krajobrazie prześwitują u Chmielewskiego – z rodzącego się stopniowo kapitalistycznego świata – resztki komunistycznych realiów: „Na tym straganie leżą pozostałości po żołnierzach Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego. Czapki, torby, odznaczenia, lornetki. Jest nawet biała milicyjna pała, której przez dziesięciolecia używano, waląc nią po nerkach tych wszystkich, którzy nie byli w stanie zrozumieć naszego geopolitycznego położenia i konieczności sojuszów".

Księżyc ma zapach Warszawy jest powieścią warszawską, obrazem stolicy, której już nie ma. Wraz z bohaterami poznajemy knajpy, restauracje, sklepy i budynki, których już nie spotkamy albo które dawno zmieniły właściciela, nazwę i przeznaczenie. To Warszawa straganów przed Pałacem Kultury, Stadionu Dziesięciolecia z płytami i z kasetami zachodnich zespołów (U2, Genesis, The Cash, Police, Pearl Jam), z muzyką powielaną nielegalnie, poza prawami autorskimi. Miasto, w którym peerelowska szarzyzna splatała się z kolorową, chociaż wciąż pokraczną rzeczywistością dzikiego kapitalizmu: „Poczekalnie dworcowe,

eprasa.pl d2f9aed44c

budy z zapiekankami w przyczepach kempingowych, zdewastowane przystanki PKS, cuchnące bary mleczne z biegającymi wszędzie prusakami, których nie dawało się wytępić". Chodniki z dziurami, wszechobecne, tandetne reklamy najróżniejszych produktów i branż, kantory rodzą ambiwalentne uczucia – odpychają i przyciągają. Jeśli jednak przyciągają, to tylko w jednym aspekcie – bo były częścią młodości protagonistów powieści, a ta zazwyczaj wywołuje pozytywne konotacje (zwłaszcza jeśli było w niej miejsce na studia i na studenckie życie).

Księżyc ma zapach Warszawy nie jest portretem całego środowiska studenckiego epoki przełomu. Można nawet powiedzieć, że opowiada jedynie o jego fragmencie. Pamiętam tamten czas. Było dużo alkoholu i muzyki – jak u Chmielewskiego – ale rozmawialiśmy głównie o literaturze czy o religii. Być może należy brać poprawkę na fakt, że akcja utworu rozgrywa się w gronie studentów historii, a ci zazwyczaj byli i są bardziej rozpolitykowani od reszty kolegów z innych kierunków. Być może ja i moi koledzy z polonistyki na UMK winniśmy czuć skruchę, ponieważ w tamtych latach żyliśmy zupełnie impregnowani na politykę, w błogim przekonaniu, że jest ona kwestią drugorzędną, nieistotną. A nie była. I nie jest.

Księżyc ma zapach Warszawy można nazwać studencką „kroniką z czasu przesilenia" widocznego w dookolnym krajobrazie, w relacjach międzyludzkich, w polityce, w biografiach młodych osób, które wkrótce wejdą w dorosłość (powinny wejść w dorosłość). Chmielewski opowiada o „przegranym pokoleniu", a dokładniej – o tej części generacji, która w chwili, gdy ich rówieśnicy zakładali biznesy i wykorzystywali hossę, jaką oferował dziki kapitalizm, „traciła" czas na studia. Oczywiście, po latach się okazało, że czas nie był czasem straconym. Roczniki urodzone w końcu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych okazały się – w dłuższej perspektywie – beneficjentami przemian systemowych, chociaż nie takimi jak ich starsi koledzy (zwłaszcza ci, którzy w swojej biografii mieli związki z partią komunistyczną).

Gdy kiedyś krytycznie recenzowałem *Apokalypsis 89* Jarosława Maślanki, upominałem się o dzieło, które spróbuje zmierzyć się z tym, co nastąpiło w ramach tzw. transformacji ustrojowej. Nie byłem pierwszy. Żądanie takie formułowało wielu przede mną. Wtedy dało się ono słyszeć znacznie częściej niż dzisiaj. Czy kogoś jeszcze zajmują te zagadnienia? Na pewno nie najmłodsze pokolenie, raczej – reprezentantów generacji ukazanej na kartach powieści *Księżyc ma zapach Warszawy* – współczesnych pięćdziesięciolatków. Być może przegapiliśmy moment, w którym mogła powstać synteza „epoki przełomu" – i ten moment nieodwracalnie przeminął. Pytanie to jest zasadne o tyle, że żyjemy w Polsce dwóch wykluczających się narracji. Czy książka Chmielewskiego trafi do przedstawicieli tego drugiego obozu? Wątpię. Chyba że będzie się ją czytać jedynie jako opowieść o młodości.

SŁAWOMIR BURYŁA

eprasa.pl d2f9aed44c

Nowe spojrzenie na słowacki modernizm

Joanna Goszczyńska, *Kontury słowackiego modernizmu*, Wydawnictwo Akademickie Sedno, Warszawa 2025



Modernizm słowacki – formacja rozległa, wielopostaciowa i wielokierunkowa, wchodząca w rozmaite relacje zarówno z rodzimą tradycją kulturową i literacką, jak i z europejskimi i światowymi koncepcjami filozoficznymi i artystycznymi – wielokrotnie stawał się przedmiotem badań literaturoznawczych. Dodajmy, że w ich ramach bywał obiektem praktyk klasyfikowania, systematyzowania i etykietowania, ignorujących jego dynamikę, tendencję do przekraczania granic, wewnętrzne sprzeczności i ambiwalencje. W tradycyjnych ujęciach historycznoliterackich, obecnych zresztą nie tylko w słowackiej nauce, oddzielanie etapu rozwoju literatury schyłku XIX i początku XX wieku od okresu po roku 1918 stanowiło jeden z najwyraźniejszych przejawów zaprowadzania porządku, uzasadnianego „wymogami naukowości". Efekt bywał jednak zwykle odwrotny od zamierzonego – tego typu podejścia, zamiast ułatwiać zrozumienie rzeczywistości literackiej, zniekształcały jej obraz, zacierały różnego typu związki między zjawiskami literackimi czy wykluczały z nich te, które do założonego schematu nie pasowały. W nowszych pracach wyraźnie widać odchodzenie od statycznego czy wąskiego rozumienia modernizmu na rzecz spojrzenia otwartego i polemicznego wobec ścisłych kategoryzacji. Taką perspektywę oglądu zjawisk przynosi również nowa książka Joanny Goszczyńskiej.

Kontury słowackiego modernizmu to kolejna pozycja w bogatym dorobku badawczym autorki, wybitnej znawczyni literatur słowackiej i czeskiej, wieloletniej dyrektor Instytutu Slawistyki Zachodniej i Południowej Uniwersytetu Warszawskiego, aktualnie związanej z Instytutem Slawistyki PAN. Czytelnik, który zna wcześniejsze prace Joanny Goszczyńskiej, zapewne z określonymi oczekiwaniami przystąpi do lektury. Każdy, kto pamięta chociażby monografię *Mit Janosika w folklorze i literaturze słowackiej XIX wieku* (2001), nie tylko znakomicie porządkującą problematykę, lecz także ukazującą zaskakujące aktualizacje postaci tatrzańskiego zbójnika w kulturze Słowacji, czy książkę *Synowie Słowa. Myśl mesjanistyczna w literaturze słowackiej* (2008) i nowatorską rekonstrukcję słowackiego mesjanizmu, spodziewać się będzie oryginalnej perspektywy interpretacyjnej, wnikliwego odczytania tekstów, akcentów polemicznych. I na pewno się nie zawiedzie. Autorka pozostaje wierna określonemu stylowi prowadzenia badań literaturoznawczych – naukową ciekawość i dociekliwość łączy z gotowością poddania krytycznej rewizji twierdzeń uznawanych za kanoniczne i z umiejętnością jasnego sformułowania własnego sposobu widzenia danego problemu. Styl ten jest dobrze znany w kręgach słowacystycznych

eprasa.pl d2f9aed44c

i slawistycznych. Dla osób z tych właśnie kręgów, które orientują się w słowackim kontekście badawczym, książka niewątpliwie będzie cenną inspiracją do nowego spojrzenia na modernizm i na sposoby jego opisu. Jednak nie tylko do nich jest adresowana. Dla odbiorców, którzy o literaturze słowackiej niewiele wiedzą lub w ogóle się z nią nie zetknęli, stanowić może swego rodzaju przewodnik po jej wybranych obszarach. Zabiegi takie jak obudowywanie partii interpretacyjnych informacjami na temat sytuacji literackiej i kulturowej, przybliżanie sylwetek twórców, wskazywanie określonych relacji tekstów z kontekstem europejskim stwarzają przestrzeń, w której odnajdą się również odbiorcy spoza grona specjalistów.

Autorka zaznacza, że jej celem nie jest kompleksowe opracowanie problematyki, chodzi raczej o zarysowanie konturów słowackiego modernizmu, co rozumieć można jako próbę wyznaczenia obszaru tych procesów kulturowych, nurtów artystycznych oraz tekstów, które pokazują „jak intensywnie, rzec by można łapczywie, chłonęła słowacka literatura impulsy nowoczesności" (s. 8). Bodźce te, mające źródła w filozofii, w estetyce, w próbach zrozumienia dynamiki gwałtownie i niekiedy dramatycznie zmieniającego się w pierwszych dekadach XX wieku świata, były na rozmaite sposoby przyswajane, aktualizowane i transformowane przez słowackich twórców. Poszczególne rozdziały tę różnorodność podkreślają, chociaż dotyczą tylko utworów wybranych pisarzy i jednej pisarki, współtworzących modernistyczną formację. Warto podkreślić, że rozważania koncentrują się głównie na utworach słabiej obecnych w słowackim dyskursie historycznoliterackim, a jeśli już autorka sięga po dzieła częściej analizowane, sposób ich odczytania przekracza znane ścieżki interpretacyjne. Spróbujmy podążyć za jej ustaleniami i wskazać kluczowe problemy kolejnych rozdziałów.

Stopniowe otwieranie się na nowoczesność dostrzec można – w wypadku literatury słowackiej – pod koniec XIX wieku i w pierwszych latach kolejnego stulecia. Związane ono było z poszukiwaniem alternatyw dla poetyki realizmu oraz dla dominujących modeli rozumienia i uprawiania literatury, skoncentrowanych wokół zagadnień narodowych. Elementy tego procesu Joanna Goszczyńska przedstawia na przykładzie opowiadania Ivana Galla: skrupulatnie analizuje jego koneksje z prozą skandynawską (konkretnie – z Knutem Hamsunem) i ukazuje przenikanie do tekstu (zakorzenionego jeszcze w realizmie) elementów nowych, zapowiadających przemiany tematyczne i strukturalne – subiektywizację percepcji rzeczywistości, silne przeżywanie emocji, zwrócenie uwagi na cielesność. Utwór Galla, opublikowany w 1908 roku, jako jedyny tekst analizowany w książce pochodzi z okresu, który w tradycyjnych periodyzacjach jest wyróżniany jako moderna słowacka i oddzielany od literatury po 1918 roku. Interpretacja prozy Galla natomiast wyraźnie pokazuje sztuczność i zbędność tego podziału, a tym samym potwierdza słuszność i wartość poznawczą przyjętego szerokiego rozumienia modernizmu.

Inspirująca perspektywa interpretacyjna zostaje zaproponowana w części poświęconej dwutomowej powieści Gejzy Vámoša – *Atomy Boga* – zwykle

eprasa.pl d2f9aed44c

rozpatrywanej jako przykład naturalizmu z elementami ekspresjonistycznymi czy jako potwierdzenie recepcji filozofii Nietzschego i Schopenhauera w literaturze słowackiej. Wpisanie tego utworu w kontekst dyskursu maladycznego pozwala na otwarcie obszaru refleksji o formach podmiotowości modernistycznej, o transgresyjności, o autonomii jednostki, o jej wolności i odpowiedzialności, a dodatkowo – na wskazanie oryginalności ujęcia tematu przez słowackiego pisarza, w porównaniu z innymi narracjami o chorobie i o cierpieniu.

Kolejny rozdział dotyczy dwutomowej powieści *Piotr Paweł u progu nowego świata* Jána Hrušovskiego, tematyzującej schyłkowy etap I wojny światowej (której autor był uczestnikiem) i rozpoczęcie „walki o dusze" – prowadzonej z różnych pozycji agitacji na rzecz konkurencyjnych wizji nowej, powojennej rzeczywistości. Utwór – pod względem tematycznym raczej odosobniony w literaturze słowackiej – jest interesującą próbą oddania ideologicznych napięć tego szczególnego momentu historycznego, mającą, jak podkreśla autorka, wyraźny „demitologizujący i deheroizujący wojnę wymiar" (s. 30). Cenne jest już samo przypomnienie tego tekstu, rzadko omawianego w słowackim literaturoznawstwie, natomiast wskazanie uwikłania Hrušovskiego w różne dyskursy modernistyczne pogłębia sposoby rozumienia jego twórczości.

Aspekt polemiczny książki najwyraźniej dochodzi do głosu w partiach poświęconych prozie Františka Švantnera, opisywanej w słowackim kontekście badawczym jako najbardziej reprezentatywny przykład naturyzmu. Mowa o – wyodrębnionym przez Oskára Čepana – nurcie prozy słowackiej lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Nurcie, który miał charakteryzować się przede wszystkim inspiracjami mitologią ludową, elementami neoromantyzmu i ekspresjonizmu, archaizacją i poetyzacją świata przedstawionego oraz specyficznym typem bohatera – silnie związanego ze światem przyrody i z najbliższym otoczeniem, nieskażonego cywilizacją, dla którego punktem odniesienia są prawa natury i ludowe kategorie etyczne. Stopień ostrości kryteriów wyróżniających naturyzm to jeden z problemów, na jaki Goszczyńska zwraca uwagę, ale nie on jest najistotniejszy. O wiele bardziej problematyczne jest funkcjonowanie tego terminu jako szufladki czy etykiety. „Polemizując z zasadnością wyodrębniania naturyzmu – pisze autorka – z bogatej mozaiki zjawisk literackich tego okresu, chcę wskazać na konsekwencje, jakie z tego płyną dla wizerunku pisarzy, który ulega symplifikacji, wręcz pewnej prowincjonalizacji, odseparowania od modernistycznego zaplecza filozoficznego. Tak dzieje się z pisarstwem Švantnera, które »zabetonowane« zostało, między innymi, w gorsecie inspiracji folklorystycznych i w znacznej mierze odseparowane od literatury światowej" (s. 88–89). Przedstawione interpretacje tekstów słowackiego prozaika, ukazujące wielorakie powiązania jego twórczości z różnymi koncepcjami modernistycznymi, a także transformacje jego poetyki oraz sposobu rozumienia człowieka i świata, w pełni potwierdzają konieczność wyjścia poza ścisłe kategoryzacje, które usztywniają i zniekształcają dynamiczną i skomplikowaną rzeczywistość literacką.

eprasa.pl d2f9aed44c

Švantner i Hrušovský powracają w kolejnym rozdziale książki, prezentującym sposób funkcjonowania kobiecego wampiryzmu w ich wybranych tekstach. Kategoria ta silnie jest powiązana z wymiarem erotycznym, z aspektami masochistycznymi i sadomasochistycznymi, czyli wskazuje przestrzeń bardzo znaczącą dla modernizmu, odważnie i nowatorsko w tym okresie problematyzowaną. Wampiryzm u słowackich twórców, jak stwierdza autorka, nie wiąże się przy tym z klasyczną figurą wampira (chociaż w wypadku Švantnera można znaleźć opisy, które potwierdzałyby wampiryczne zachowania bohaterki). Pozostaje przede wszystkim metaforyczny i stanowi projekcje głównych bohaterów, odzwierciedla ich wewnętrzne konflikty. Kluczowe więc w tych tekstach wydają się zagadnienia związane z kondycją modernistycznego podmiotu.

Wiele ważnych ustaleń przynosi część poświęcona eksperymentalnej powieści *Pisarz Gracz* Jozefa Cígera Hronskiego (którą *notabene* na język polski przetłumaczyła właśnie Joanna Goszczyńska, Warszawa 1989). Autorka wykorzystuje ważne prace z zakresu m.in. antropologii literatury, aby ukazać, jak zastosowane rozwiązania – przede wszystkim: rozbita, fragmentaryczna narracja, postać antybohatera, zawieszenie mimetyzmu, wykorzystanie groteski – służą prezentacji dwóch połączonych ze sobą problemów: psychiki głównej postaci, okaleczonej wojenną traumą i zdezintegrowanej, oraz zerwania związku między językiem a światem.

W ostatnim rozdziale został przedstawiony jedyny w książce tekst autorstwa pisarki – opowiadanie *Łyk upojenia* Margity Figuli. Cenne jest obudowanie interpretacji informacjami o innych słowackich pisarkach i o pozostałych ważniejszych utworach Figuli, natomiast wartość samego odczytania tekstu wiąże się (po raz kolejny) z oryginalną perspektywą interpretacyjną, nieobecną w dotychczasowych badaniach. Wyeksponowanie motywów dotyku, przeanalizowanie jego związków ze sferami afektywną i emocjonalną pozwoliło autorce ukazać jeszcze jeden ważny wymiar modernistycznej wrażliwości.

Wymienione powyżej wątki stanowią jedynie część zagadnień, jakie Joanna Goszczyńska porusza w swojej oryginalnej prezentacji słowackiego modernizmu. Przyjęta strategia lektury otwartej na różnorodne, często nieoczywiste konteksty, lektury uważnej i wielokrotnej prowadzi do odkrywania w utworach kolejnych znaczeń, do budowania sieci powiązań między tekstami, do odnajdowania – niedostrzegalnych na pierwszy rzut oka – związków z różnymi elementami i z warstwami szeroko rozumianej formacji modernistycznej. Książka niewątpliwie stanowi ważne i inspirujące osiągnięcie naukowe, które ma potencjał w istotny sposób uzupełnić sposób rozumienia literatury słowackiej pierwszej połowy XX wieku. Dodatkowo rozważania autorki ujawniają możliwość traktowania omawianych tekstów nie tylko jako historycznoliterackich eksponatów, lecz także jako literatury, z którą kontakt nadal może być atrakcyjny – zarówno estetycznie, jak i intelektualnie.

RAFAŁ MAJEREK

eprasa.pl d2f9aed44c

LISTOPAD 2025

■ Podczas otwarcia XXXIII Targów Książki Historycznej wręczono Nagrody Klio. Ceremonia odbyła się w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie. W kategorii „autorskiej" nagrodę I stopnia otrzymał Maciej Górny – za książkę *Matka wynalazków. Jak Wielka Wojna urządza nam życie* (Agora). W kategorii „monografia naukowa" nagrodę I stopnia otrzymała Dagmara Adamska – za książkę *Winogrady i winne wzgórza. Uprawa i produkcja wina na średniowiecznym Śląsku* (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego). W kategorii „wydawniczej" nagrodę I stopnia przyznano Muzeum Gdańska i Politechnice Gdańskiej – za *Drzwi i wrota w Gdańsku. Od średniowiecza do współczesności* autorstwa Katarzyny Dareckiej. W kategorii „edycja źródłowa" nagrodę I stopnia otrzymali: Martina Bolom-Kotari, Waldemar Chorążyczewski, Miroslav Glejtek, Marcin Hlebionek, Vitaliy Perkun, Piotr Pokora – za *Katalog pieczęci Jagiellonów* (Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Polskie Towarzystwo Historyczne). W kategorii „regionalia/varsaviana" nagrodę I stopnia otrzymał Krzysztof Mordyński – za książkę *MDM. Marszałkowska Dzielnica Marzeń* (Fundacja Centrum Architektury).

■ Nagrodę im. prof. Tadeusza Kotarbińskiego, pierwszego rektora Uniwersytetu Łódzkiego, za wybitną pracę naukową z zakresu nauk humanistycznych otrzymał prof. Przemysław Czapliński – za *Rozbieżne emancypacje. Przewodnik po prozie 1976–2020* (Wydawnictwo Literackie).

■ Laureatami 17. edycji Nagrody Historycznej m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego dla najlepszej książki o współczesnej historii Polski zostali Rafał Wnuk i Sławomir Poleszek, autorzy publikacji *Niezłomni czy realiści? Polskie podziemie antykomunistyczne bez patosu* (Wydawnictwo Literackie). Nagrodę Młodzieżowych Klubów Historycznych im. Kazimierza Moczarskiego, czyli Pamiątkowy „Ołówek Moczarskiego", odebrał Bartosz Panek, autor książki *Zboże rosło jak las. Pamięć o pegeerach* (Czarne).

■ Laureatem Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza został Marek Stokowski – za *Lotnicho* (Lira). Wyróżnienia przyznano: Janowi Majchrowskiemu – za książkę *POLIdRUKI. Potrawa z książek i ludzi* (Zysk i S-ka), Janowi Maciejewskiemu – za książkę *Już Pora. Miesiące i godziny* (Teologia Polityczna) oraz Piotrowi Nowakowi – za *Akcent typowo polski. Szkice o kulturze Polaków* (PIW).

eprasa.pl d2f9aed44c

■ Laureatką 25. edycji Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera została Hanna Krall – za całokształt twórczości. Małgorzata Rybicka, gdańska działaczka, otrzymała statuetkę za wieloletnią pracę na rzecz osób w spektrum autyzmu, zwłaszcza takich, u których łączy się to z innymi ograniczeniami, w tym z niepełnosprawnością intelektualną.

■ Laureatami 30. edycji Nagrody im. prof. Jerzego Skowronka, przyznawanej za prace z dziedziny historii i archiwistyki z szerokiego kręgu zainteresowań badawczych jej patrona, organizowanej przez redakcję „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI", zostali *ex aequo*: Ewa Wróblewska-Trochimiuk – za publikację *Naszego nie damy. Spory i obrazy polityczne w Serbii i Chorwacji po roku 2000* (Instytut Slawistyki PAN) oraz Sławomir Godek – za publikację *Petersburska ofensywa szlachty litewskiej z lat 1810–1812* (Wydawnictwo Naukowe UKSW).

■ Laureatami 14. edycji Nagrody im. Jerzego Giedroycia, najważniejszego niezależnego wyróżnienia w dziedzinie białoruskiej prozy, zostali: Siarhiej Dubaviec – za książkę *Zanzibar: dojrzewanie młodej duszy*, Juhasia Kalada – za publikację *Zamiana miejsc* oraz Zmicier Dziadzienka – za *Gry Kirke*.

■ Przyznano Nagrody Literackie Miasta Radomia. W kategorii „książka literacka" uhonorowano Agnieszkę Jelonek – radomiankę, autorkę opowiadań, scenarzystkę i dziennikarkę – za książkę *West Farragut Avenue* (wydawnictwo Cyranka). W kategorii „książka naukowa/popularnonaukowa" uhonorowano Tomasza Kroka – historyka urodzonego w Radomiu, pracownika Biura Badań Historycznych IPN – za książkę *Afera Teozofów. Siatka wywiadowcza mjr. Andrzeja Czaykowskiego 1949–1951* (Wydawnictwo IPN).

■ Śląską Nagrodę Literacką Honoris Krauza otrzymał prof. Wojciech Śmieja – za książkę *Po męstwie* (Czarne). Nagrodę Honoris Krauza od czytelników odebrała Sabina Waszut – za *Sztuczny miód* (W.A.B.).

■ Andrzej Pilipiuk, pisarz i publicysta specjalizujący się w literaturze fantastycznej, w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego odebrał Nagrodę im. Tomasza Merty „Między literaturą a historią", przyznawaną przez żonę Tomasza Merty – historyka myśli politycznej, podsekretarza stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego w latach 2005–2010, tragicznie zmarłego w katastrofie smoleńskiej.

■ Nagrodę Literacką Jantar – wyróżnienie przyznawane autorom związanym z województwem zachodniopomorskim – otrzymał Patryk Zalaszewski za książkę *Luneta z rybiej głowy* (Czarne). W plebiscycie czytelników nagrodzony został reportaż *Heweliusz* Adama Zadwornego (Czarne).

eprasa.pl d2f9aed44c

■ W 46. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Haliny Poświatowskiej w Częstochowie w kategorii „debiut" laureatką pierwszej nagrody została Joanna Hetman-Krajewska, a w kategorii „po debiucie" – Czesław Markiewicz.

■ Podczas Targów Książki w Katowicach zainaugurowano nową nagrodę literacką – Złotą Magdalenkę – za utwór napisany, lecz jeszcze nieopublikowany. Organizatorem konkursu jest Fundacja Gutenberg, a jego patronem – Marcel Proust. Laureatem pierwszej edycji nagrody został Tymoteusz Skiba – za książkę *Chwasty. Opowiadania ruderalne* (Wydawnictwo Eperons-Ostrogi).

■ Podczas Targów Książki w Katowicach odbyło się ponad 150 wydarzeń, spotkań z autorami reportaży, literatury faktów i literatury pięknej, z kraju i z zagranicy, a także z naukowcami. Silnie akcentowano akcent śląski, charakterystyczny dla tego wydarzenia.

■ W 33. edycji Targów Książki Historycznej w Warszawie uczestniczyło 160 wydawnictw, odbyło się 170 wydarzeń towarzyszących, w tym: 50 spotkań autorskich, paneli i konferencji. Podobnie jak w latach poprzednich zorganizowano Salon Książki Muzealnej oraz Salon Niezależnych Wydawców i Autorów Białoruskich. W wydarzeniu wzięło udział ponad 35 tys. uczestników, co stanowi jeden z najlepszych wyników w historii imprezy.

■ Podczas 2. edycji Łódzkich Targów Książki, organizowanych w nietypowych dla targów przestrzeniach dworca kolejowego Łódź Fabryczna, ofertę prezentowało się ponad 300 wystawców. Odbyło się kilkadziesiąt spotkań autorskich. Ekspozycja obejmowała – oprócz książek – działy sztuki i rzemiosła.

■ Odbyła się pierwsza edycja Lubelskich Targów Książki, zorganizowana przez Targi Lublin oraz ekipę z Międzynarodowych Targów Poznańskich, doświadczoną przy organizacji Poznańskich Targów Książki. W imprezie uczestniczyło 140 wydawców, odbyło się 70 wydarzeń, frekwencja wyniosła ponad 10 tys. czytelników.

■ Zmarł Jan Turnau – publicysta i pisarz katolicki, inicjator działań na rzecz ekumenizmu. Nazywany był naczelnym ekumenistą Rzeczpospolitej.

GRUDZIEŃ 2025

■ Serhij Żadan (ukraiński poeta i tłumacz, walczący obecnie w obronie ojczyzny) oraz profesor Krzysztof Pomian (wieloletni współpracownik paryskiej „Kultury") zostali laureatami XXV edycji nagrody „Rzeczpospolitej" im. Jerzego Giedroycia.

eprasa.pl d2f9aed44c

■ Tytuł Wielkiego Ambasadora Polszczyzny, przyznawany przez kapitułę Rady Języka Polskiego przy prezydium Polskiej Akademii Nauk, przyznano Mariuszowi Szczygłowi – „za oszczędne bogactwo" języka. Tytuł Ambasadora Polszczyzny w Piśmie otrzymał Hubert Dobaczewski „Spięty" – wokalista zespołu Lao Che i autor cenionych tekstów piosenek (wyróżnianych za metaforykę oraz za połączenie historii – z narracją współczesną). Tytuł Ambasadora Polszczyzny w Mowie otrzymała Joanna Dunikowska-Paź – dziennikarka TVP. Młodym Ambasadorem Polszczyzny została Marta Kula – muzyczka i dziennikarka radiowa, znana z Radia 357. Ambasadorem Polszczyzny Regionalnej zostało Muzeum Zamoyskich w Kozłówce – od lat dokumentujące i popularyzujące dziedzictwo kulturowe Lubelszczyzny. Instytucja przygotowuje krótkie filmy prezentujące gwarę biłgorajską. Tytuł Ambasadora Polszczyzny poza Granicami Kraju otrzymał prof. Andrea Ceccherelli – włoski slawista i tłumacz literatury polskiej. Tytułem Ambasadora Polszczyzny Literatury Dziecięcej i Młodzieżowej uhonorowano Justynę Bednarek – autorkę ponad 50 książek dla dzieci, w tym popularnego cyklu o skarpetkach, cenionego za humor, wyobraźnię i dbałość o język.

■ Laureatką Nagrody Translatorskiej im. Ireny Tuwim została Elżbieta Kalinowska – tłumaczka literatury niemieckojęzycznej, redaktorka, menedżerka kultury.

■ Przyznano nagrody redakcji „Literatury na Świecie". W kategorii „poezja" nagrodzono Krzysztofa Bartnickiego – za przekład poematu Harry Josephine Giles *Port hwjezdny Topjo* (Ha!art), a także Jacka Kowalskiego – za przekład *Pieśni o Rolandzie* (Dębogóra). W kategorii „proza" nagrodzono Filipa Łobodzińskiego – za przekład noweli Artura Péreza-Revertego *W cieniu orła* (ArtRage). W kategorii „inicjatywa wydawnicza" nagrodzono zespół filologów klasycznych z Uniwersytetu Adama Mickiewicza pod kierunkiem Elżbiety Wesołowskiej – za edycję *Dzieł wszystkich* Owidiusza (Universitas). W kategorii „leksykografia, translatologia, komparatystyka" nagrodzono Grażynę Bastek – za *Ilustrownik. Przewodnik po sztuce malarskiej* (PWN). Nagrodę im. Andrzeja Siemka otrzymała Weronika Szwebs – za *Translacje teorii. Derrida, Barthes, Said i Butler po polsku* (Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego). Laureatem nagrody specjalnej „Mamut" za całokształt pracy przekładowej został Andrzej S. Jagodziński.

■ Podczas Wrocławskich Targów Dobrych Książek wręczone zostały nagrody edytorskie za najpiękniej wydane publikacje. Nagrodę Pióro Fredry przyznano za książkę *Socmodernizm. Architektura w Europie Środkowej czasu zimnej wojny* Łukasza Galuska i Michała Wiśniewskiego, z projektem graficznym Kuby Sowińskiego (Międzynarodowe Centrum Kultury). Książka *Dół* autorstwa Artura Gębki – z ilustracjami Agaty Dudek, z typografią i z opracowaniem graficznym Małgorzaty Nowak-Żurek – otrzymała główny laur w konkursie Dobre Strony (Widnokrąg).

eprasa.pl d2f9aed44c

■ Laureatem Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego w kategorii „naukowa książka historyczna" został Michał Bilewicz – za *Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości* (Mando). Nagrodę za reportaż historyczny otrzymał Emil Marat – za publikację *Bratny. Hamlet rozstrzelany* (Czarne). Nagrodę Specjalną przyznano Maksymowi Eristaviemu – za *Russian Colonialism 101. How to Occupy a Neighbor and Get Away with It. An Illustrated Guide* (IST Publishing).

■ Nagrody w Konkursie Ministra Spraw Zagranicznych na Najlepszą Książkę Historyczną przyznano w dwóch kategoriach. Za najlepszą publikację w języku polskim z zakresu historii polskiej dyplomacji uznano *Polski dorobek w zakresie międzynarodowego prawa karnego w latach 1918–2018* autorstwa Patrycji Grzebyk, Bartłomieja Krzana i Karoliny Wierczyńskiej (Wydawnictwo Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości). II nagrodę przyznano Jackowi Tebince – za książkę *Polskie dokumenty dyplomatyczne 1943* (Polski Instytut Spraw Międzynarodowych). Wyróżnienie otrzymał Ryszard Stemplowski – za *Dziennik ambasadora. Londyn 1994–1995* (Polski Instytut Spraw Międzynarodowych). W kategorii publikacji obcojęzycznych I nagrodę przyznano Clare Mulley – brytyjskiej autorce biografii wybitnych kobiet – za książkę *Agent Zo: The untold story of fearless resistance fighter Elżbieta Zawacka*. II nagrodę zdobyła historyczka Katarzyna Nowak (Austria) – za książkę *Kingdom of barracks. Polish displaced persons in allied-occupied Germany and Austria*. III nagrodę otrzymał Anthony Sharwood – australijski dziennikarz – za publikację *Kościuszko. The incredible life of the man behind the mountain*.

■ Weronika Kostyrko – autorka biografii Róży Luksemburg – została laureatką Nagrody Literackiej im. Juliana Tuwima. Werdykt jury ogłoszono podczas gali festiwalu Puls Literatury w Łodzi.

■ Tytuł Książki Reporterskiej Roku 2025 otrzymały *ex aequo*: *Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku* Adama Zadwornego (Czarne) oraz *Pinezka. Historie z granicy polsko-białoruskiej* Urszuli Glensk (Czarne). Urszula Glensk otrzymała również Nagrodę Czytelników.

■ Wrocławską Nagrodą Artystyczną za sezon 2024/2025 w kategorii „literatura" został nagrodzony Robert Gawłowski – poeta i dramaturg – za wybitne i unikatowe dzieło *Boskie światło, albo domniemany raptularz Johannesa Schefflera, który przybrał imię Angelus Silesius* (Oficyna Wydawnicza Akwedukt przy Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu).

■ Maja Strzałkowska – pisarka, self-publisherka i twórczyni serii detektywistycznych książek dla dzieci – otrzymała nagrodę Kursor Roku 2025. Wyróżnienie wręczono podczas gali Kursor Roku 2025 organizowanej przez Olę Gościniak.

eprasa.pl d2f9aed44c

■ W Konkursie Książka Roku 2025 Polskiej Sekcji IBBY nagrodę za książkę dla młodszych otrzymali Gosia Herba i Mikołaj Pasiński – za *Podziemną przygodę odważnej żaby Rene* (Kropka). Nagrodę za książkę dla starszych otrzymał Wit Szostak – za *Wylinkę* (Powergraph). Nagrodę graficzną w kategorii „ilustracja i koncepcja graficzna" zdobyła Agata Dudek – za ilustracje do książki Artura Gębki *Dół* (Widnokrąg). A w kategorii „książka autorska/obrazkowa" nagrodzono Mariannę Sztymę – za książkę *Żaba. Mała opowieść o żałobie*, tekst: Anja Franczak (Albus). Nagrody w kategorii „komiks" przyznano Berenice Kołomyckiej – za książkę *Kocina. Zapiski z doliny* (Egmont), a za komiks dla starszych nagrodzono Gretę Samuel – za książkę *EmigracJA. Notatki o człowieku* (Fundacja Bęc Zmiana). Nagrodę za upowszechnianie czytelnictwa otrzymała Anna Giniewska (CzytAnia).

■ Laureatką Nagrody im. Ferdynanda Wspaniałego została Agnieszka Misiak – za książkę *Kosma, Kopacz i leśna szkoła. Trudne początki* (Druganoga). Książka otrzymała też Nagrodę Publiczności.

■ 33. Wrocławskie Targi Dobrych Książek odwiedziło 45 tys. osób. Uczestniczyło w nich 160 wystawców, z czytelnikami spotkało się 250 autorów. Część spotkań była poświęcona literaturze i kulturze Gruzji.

■ Komisja konkursowa Instytutu Książki wybrała Andrzeja Skalimowskiego na stanowisko redaktora naczelnego „Nowych Książek", związanego z miesięcznikiem od 2015 roku.

■ Zmarł Krystian Brodacki – jeden z najwybitniejszych polskich krytyków jazzowych, pianista, pisarz, historyk, menedżer kultury, wydawca, fotograf i podróżnik.

■ Zmarł dr Rafał Kołsut – historyk komiksu, prezes Krakowskiego Stowarzyszenia Komiksowego i współorganizator Krakowskiego Festiwalu Komiksu.

■ Zmarła Bożena Truchanowska – ilustratorka książek dla dzieci, nagrodzona m in. przez Polską Sekcję IBBY medalem za całokształt twórczości w 2013 roku.

STYCZEŃ 2026

■ Podczas 33. gali przyznano Paszporty „Polityki" dla wybitnych młodych twórców i artystów. W kategorii „książka" uhonorowany został Stanisław Łubieński – za *Drugie życie Czarnego Kota* (Agora).

eprasa.pl d2f9aed44c

■ W Pijalni Głównej w Krynicy–Zdroju odbyła się 8. edycja Sądeckich Targów Książki, które otwierają kalendarz targów i festiwali książki w Polsce i są jedyne na terenie Sądecczyzny, Limanowszczyzny i Ziemi Gorlickiej. Podczas targów jest wręczana Nagroda literacka im. ks. prof. Bolesława Kumora, wyróżniająca twórców sądeckich. W kategorii „sądecki autor 2025" nagrodę otrzymał Tadeusz Duda – badacz dziejów Sądecczyzny, historii lokalnej, kronikarz małych ojczyzn, bibliofil – w uznaniu za całokształt twórczości oraz pracy naukowej i historycznej. W kategorii „książka o Sądecczyźnie" uhonorowano dr. Jakuba Marcina Bulzaka – za publikację *Sącz mimo wszystko stoi przy Kościele. Nowosądeckie Parafie w latach 1945–1956. Zarys monograficzny* (Muzeum Ziemi Sądeckiej). W głosowaniu czytelników portalu Sądeczanin.info Nagrodę im. ks. prof. Bolesława Kumora w kategorii „sądecki autor" otrzymała Urszula Szufryn Trzebunia, a Nagrodę im. ks. prof. Bolesława Kumora w kategorii „książka o Sądecczyźnie" przyznano za publikację *Malwy w ogródku* Urszuli Szufryn Trzebuni. Wydawnictwo Biblos zdobyło Grand Prix 8. Sądeckich Targów Książki.

■ Laureatem Nagrody im. Bolesława Michałka dla najlepszej książki filmowej został Tadeusz Sobolewski – za książkę *Cannes. Religia kina* (Agora).

■ Zmarł prof. Andrzej Paczkowski – wybitny historyk czasów najnowszych, a także alpinista.

■ Zmarła Magdalena Hniedziewicz – krytyczka sztuki, kuratorka wystaw, redaktorka pism artystycznych, malarka.

■ Zmarł prof. Andrzej Januszajtis – wybitny znawca, badacz i miłośnik historii oraz architektury Gdańska.

■ Zmarł Janusz Nowicki – wieloletni dyrektor Biura i Wydawnictwa Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich.

■ Zmarł Krzysztof Kulicki – pisarz i malarz.

■ Zmarł Andrzej Nyka – kielecki księgarz, właściciel legendarnej księgarni Pod Zegarem.

LUTY 2026

■ Grażyna Plebanek zrezygnowała z funkcji przewodniczącej Europejskiej Rady Pisarzy (European Writers' Council) – „z powodu różnic zdań dotyczących organizacji naszej pracy i przyszłości Rady".

eprasa.pl d2f9aed44c

■ Marek Sołtysik – pisarz, malarz, krytyk sztuki, znawca malarstwa polskiego i prozaik – został uhonorowany Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis w związku z 50-leciem pracy twórczej.

■ W 80. rocznicę powstania Instytutu Literackiego w Paryżu wręczono Nagrody Forum Dialogu i Współpracy Polska-Litwa i partnerskiego Forum Dialogu i Współpracy im. Jerzego Giedroycia. Laureatami zostali: Vydas Dolinskas – litewski historyk i muzeolog, dyrektor Pałacu Władców Wielkiego Księstwa Litewskiego w Wilnie, Szymon Drej – polski historyk, dyrektor Muzeum Bitwy pod Grunwaldem, Andriy Ljubka – tłumacz, poeta, eseista, członek ukraińskiego PEN Clubu, a także Aliaksandr Fiodarawicz Smalianczuk – białoruski historyk, profesor nauk humanistycznych w Instytucie Slawistyki.

■ Podczas gali finałowej Bestsellerów Empiku 2025 ogłoszono, że najchętniej czytanym autorem ostatniej dekady okazał się Remigiusz Mróz. Odebrał dwie statuetki: Pisarza Roku 2025 oraz za najwyższą sprzedaż książek w latach 2015–2025. W kategorii „kryminał" zwyciężyło *Schronisko, które zostało zapomniane* Sławka Gortycha (W.A.B.), w kategorii „literatura piękna" – *Null* Szczepana Twardocha (Marginesy), w kategorii „literatura polska dla dzieci" – *Lamine Yamal. Złota nadzieja futbolu* Yvette Żółtowskiej-Darskiej i Jacka Sarzały (SQN), w kategorii „literatura popularna" – *Wschód słońca w dniu dożynek* Suzanne Collins w tłumaczeniu Małgorzaty Hesko-Kołodzińskiej i Piotra Budkiewicza (Must Read), w kategorii „superprodukcja" – *Rumor* Roberta Małeckiego (Empik Go, Wydawnictwo Literackie), a w kategorii „audiobook" – *Błękit* Małgorzaty Oliwii Sobczak (W.A.B.). Nagrodę Odkrycia Empiku dla twórców, „którzy wnoszą do kultury świętą energię, odwagę i nowe spojrzenie" w kategorii „literatura" otrzymała Dorota Groyecka – za *Krwinki. Opowieść o stracie i nadziei* (W.A.B.).

■ Rada redakcyjna i redakcja miesięcznika „Odra" przyznała Nagrodę „Odry" za rok 2025 Bohdanowi Zadurze – za książkę *Co chciałem powiedzieć* (Biuro Literackie) i „za całą twórczość, która – łącząc elementy poezji i prozy, snu i jawy, poetyki i polityki – składa się na oryginalny format artystyczny i intelektualny".

■ Zespół miesięcznika „Nowych Książek" zdecydował, że laureatem jubileuszowej, 25. edycji nagrody zostanie Marek Bieńczyk – za *Rondo Wiatraczna* (Karakter).

■ Po raz 24. redakcja „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI" przyznała doroczne nagrody. Tytułem Książki Roku 2025 nagrodzono: *Wyrok* Ishbel Szatrawskiej (Cyranka), *Drugie życie Czarnego Kota* Stanisława Łubieńskiego (Agora), *Witkacy. Biografia* Przemysława Pawlaka (Iskry), *Jak zdobywaliśmy Pomorze. Mroczne historie z „ziem odzyskanych"* (Rebis) oraz *Kraków. Kultura i naród* Adama Bujaka

eprasa.pl d2f9aed44c

(Biały Kruk). Wydawcą Roku 2025 zostało wydawnictwo Officyna. Za Wydarzenie Roku 2025 uznano książkę Andrzeja Dragana *Quo vAIdis* (Otwarte). Nagrodę Specjalną otrzymała publikacja *Święty Leonard z pól* Marka Stokowskiego (PIW).

■ Ogłoszono laureatów 32. Lubuskich Wawrzynów 2025. W kategorii „poezja" nagrodzono Sławomira Gowina – za *Łódź Dantego* (Pro Libris). W kategorii „proza" nagrodzono Katarzynę Jarosz-Rabiej – za *Ulicę pachnąca lipami* (Organon). 21. Lubuski Wawrzyn Naukowy otrzymała Małgorzata Mikołajczak – za *Tropy topografii. W kręgu literatury osadniczej i postosadniczej* (Universitas).

■ Serwis Kostnica przyznał Nagrody Złoty Kościej 2025 – za najlepsze publikacje książkowe z gatunków: horror, thriller i kryminał. Za Horror Roku 2025 uznano *Trzeci gatunek* Grzegorza Kopca (Replika), za Thriller Roku 2025 – *Śnieg przykryje* Michała Śmielaka (Skarpa Warszawska), za Kryminał Roku 2025 – *Rewers* Adama Widerskiego (Novae Res), za Fantastykę Roku 2025 – *Węzeł czasu* Remigiusza Mroza (W.A.B.), za Okładkę Roku 2025 – okładkę książki *Piekielne natchnienie* Roberta Grota (Brda), a za Wydawcę Roku 2025 – wydawnictwo Brda.

■ Irek Grin – dyrektor programowy Festiwalu Góry Literatury – objął funkcję prezesa zarządu Fundacji Olgi Tokarczuk. Dotychczasowy prezes, Grzegorz Zygadło, przyjął stanowisko przewodniczącego Rady Fundacji. Irek Grin wciąż pozostaje dyrektorem programowym Festiwalu Góry Literatury oraz będzie odpowiadał za nową inicjatywę – Festiwal Rzeki Literatury.

■ Irka Grina na stanowisku dyrektora Wrocławskiego Domu Literatury zastąpiła Katarzyna Janusik.

■ „Wprost" przedstawił dwudziestkę najlepiej zarabiających polskich pisarzy i pisarek w 2025 roku. Liderem rankingu jest, podobnie jak w poprzednich latach, Remigiusz Mróz. Według szacunków mógł w zeszłym roku sprzedać nawet ok. 700 tys. książek i zarobić na tym ok. 1,7 mln zł. Na drugim miejscu uplasował się Andrzej Sapkowski. Jego *Rozdroże kruków* było najchętniej kupowaną książką 2023 roku i w zeszłym roku nadal utrzymywało się w czołówce sprzedaży. Na trzecim miejscu zestawienia jest 29-letni Sławek Gortych – ze swoją bestsellerową karkonoską serią kryminalną ze słowem *Schronisko* w kolejnych tytułach. Wśród najlepiej zarabiających polskich autorów od lat czołowe miejsca zajmują również trzy pisarki dla dzieci: Anita Głowińska (od przygód Kici-Koci), Marta Galewska-Kustra (od serii z Puciem) oraz Barbara Supeł (od Jadzi Pętelki). Do pierwszej dziesiątki zestawienia trafiła również książka Ewy Woydyłło, znanej psycholog, i Tadeusza Oleszczuka, znanego ginekologa. Po raz kolejny w czołówce znalazła się Joanna Kuciel-Frydryszak z *Chłopkami*. Na 10. miejsce awansował Andrzej Pilipiuk, znany autor fantasy.

eprasa.pl d2f9aed44c

■ W pierwszej edycji Targów Książki w Gdyni wzięło udział blisko 20 tys. uczestników i 140 wystawców. Odbyło się 100 wydarzeń programowych.

■ Zmarł dr Andrzej Rostocki – socjolog, wykładowca akademicki związany z Uniwersytetem Łódzkim, przed laty autor cenionych list bestsellerów. Przez ponad 20 lat prowadził zajęcia na Podyplomowych Studiach Polityki Wydawniczej i Księgarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, był też wykładowcą obu edycji Polskiej Akademii Księgarstwa na UW.

■ Zmarł Henryk Podolski – wieloletni dyrektor Wydawnictwa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie i również wieloletni prezes zarządu Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych, znacząca postać w środowisku książki.

■ Zmarł Roman Ostrowski – związany z kieleckim Domem Książki, Wydawnictwami Szkolnymi i Pedagogicznymi, współtwórca Targów Edukacja w Kielcach, który przez wiele lat aktywnie działał na rynku książki i podejmował się wielu odpowiedzialnych zadań w obszarze kultury.

REDAGUJE PIOTR DOBROŁĘCKI

eprasa.pl d2f9aed44c

NASI AUTORZY

JÓZEF BARAN
(ur. 17 stycznia 1947 w Borzęcinie), poeta, laureat m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich. Wydał kilkadziesiąt tomików wierszy, a także dzienniki, korespondencję ze Sławomirem Mrożkiem. Ostatnio ukazała się książka *Słoneczna ruleta. Wiersze przebrane z lat 1969–2020* (2021) oraz tom wierszy *Pokój i wojna* (2022). Jego teksty wielokrotnie stały się inspiracją dla piosenkarzy i piosenkarek (m.in. dla SDM, Beaty Rybotyckiej, Marka Burskiego, Mirosława Kalisiewicza) oraz były tłumaczone na około dwadzieścia języków. Wiersze znalazły się w podręcznikach szkół podstawowych i średnich. Były też wykorzystywane na maturach. Poeta jest przewodniczącym jury Konkursu Poetyckiego „Źródło". Mieszka w Krakowie.

MACIEJ CZERWIŃSKI
Slawista, krytyk literacki, tłumacz. Profesor na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dyrektor Instytutu Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor monografii i artykułów naukowych, esejów i tekstów publicystycznych dotyczących zagadnień językowych, literackich i kulturowych na obszarach Chorwacji oraz byłej Jugosławii. Projekty naukowe realizował w Stanach Zjednoczonych (Uniwersytet Yale) oraz w Niemczech (Uniwersytet w Jenie). Był współtwórcą wystawy *Adriatycka Epopeja. Ivan Meštrović* (Międzynarodowe Centrum Kultury, 2017). Jest autorem syntezy historii Chorwacji – *Chorwacja. Dzieje, kultura, idee* – za którą otrzymał nagrody główne im. prof. Jerzego Skowronka oraz im. Henryka Wereszyckiego i Wacława Felczaka. Tłumaczył takich pisarzy jak: Umberto Eco, August Šenoa, Miljenko Jergović, Nina Mitrović, Slavenka Drakulić, Predrag Matvejević.

ADAM GÓRSKI
(ur. 1976), publikuje od 2010 roku Wydał tomiki: *Stygnące Litery* (2014), *Ślady, kroki* (2016), *Pożegnanie. Wyjaśnienie* (2019), *Notatki do odwróconych spojrzeń* (2022), *Dźwięki z podwórek* (2025). W 2020 roku za książkę *Pożegnanie. Wyjaśnienie* nominowany do Nagrody im. K. I. Gałczyńskiego Orfeusz (IX edycja). Zamieszczał wiersze m.in. w: „Czasie Literatury", „Kwartalniku Artystycznym", „Toposie", „Wyspie". Obecnie pracuje nad tomikiem *Widoczne, widome* (tytuł roboczy). Mieszka i pracuje w Krakowie.

BOLESŁAW FARON
(ur. 1937), absolwent filologii polskiej w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Po ukończeniu studiów był wychowawcą w Internacie ZSZ w Nowej Hucie,

eprasa.pl d2f9aed44c

a następnie – bibliotekarzem w WSP, nauczycielem języka polskiego w II Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Sobieskiego w Krakowie. Od 1959 roku był zatrudniony w WSP jako asystent, starszy asystent, adiunkt, docent, profesor, profesor zwyczajny. W WSP (później – Akademia Pedagogiczna, obecnie – Uniwersytet Pedagogiczny) pełnił funkcję prorektora (1971–1975), rektora (1975–1981), dyrektora Instytutu Filologii Polskiej (2000–2006), kierownika Katedry Literatury Polskiej XX wieku (2005–2008). Pracował jako prof. zwyczajny w Małopolskiej Wyższej Szkole Zawodowej im. Józefa Dietla w Krakowie (2008–2012). Był ministrem oświaty i wychowania (1981–1985), a w latach 1986–1990 – radcą ambasady i dyrektorem Instytutu Polskiego w Wiedniu. Wiceprzewodniczący Komisji Historyczno-Literackiej PAN Oddział w Krakowie (1970–1976), członek Komitetu Nauki o Literaturze PAN (1975–1986), redaktor naukowy serii „Biblioteka Polonistyki" WSiP (od 1982), a także redaktor naczelny dwumiesięcznika „Ruch Literacki" (1975–1981). Od 1994 roku – członek Stowarzyszenia Twórczego Polart, od 1975 roku – Stowarzyszenia Twórczego „Kuźnica". Debiutował na łamach „Ruchu Literackiego" szkicem o Władysławie Orkanie. Publikował w „Nowych Książkach", „Ojczyźnie Polszczyźnie", „Nowej Polszczyźnie", „Twórczości", „Wiadomościach Kulturalnych", „Życiu Literackim", „Roczniku Sądeckim", „Wyżynie". W latach 1968–1981 prowadził stały felieton literacki dla radia i telewizji w Krakowie, obecnie stale współpracuje z Radiem Kraków. Opublikował m.in. książki: *Zbigniew Uniłowski* (1969), *Stanisław Piętak* (1971), *Stefan Kołaczkowski jako krytyk i historyk literatury* (1976), *Spotkania i powroty. Sylwetki i szkice o literaturze* (1995), *Jama Michalika. Przewodnik literacki* (1995, 1997, 2002, 2013), *Korzenie* (1997), *Powrót do korzeni (szkice i wspomnienia)* (2000), *Władysław Orkan* (2004), *Okruchy. Szkice o literaturze i kulturze XX wieku* (2005), *… z podróży* (2007), *Powrót do korzeni. Nowy* (2010). Od 1982 roku członek Związku Literatów Polskich. W 1993 roku wraz z trzema wspólnikami założył Wydawnictwo Edukacyjne. Do 1995 roku był jego prezesem, od 1995 roku – dyrektorem naukowym. Wraz z Zofią Agnieszką Kłakówną stworzył serię do nauki języka polskiego *To Lubię!* od klasy IV szkoły podstawowej przez gimnazjum do liceum. Jest dyrektorem Niepublicznego Instytutu Kształcenia Nauczycieli Wydawnictwa Edukacyjnego.

WITOLD KALIŃSKI

Filolog, były nauczyciel i dyrektor warszawskich szkół, m.in. „Reja" i „Reytana". Współautor programu nauczania języka polskiego dla liceum (opracowanego w latach 1980–81) i *Mówimy po polsku* (*Volk und Wissen Verlag)* – podręcznika nauki języka polskiego dla Niemców. Wydał m.in.: *Poezja naszego wieku* – antologię dla ostatniej klasy liceum (WSiP, wyd. III, 1992) i *tylko błysk* (2004) – tomik poezji. Na emeryturze – animator życia kulturalnego w powiecie sądeckim. Zajmuje się historią lokalną. Wydał tu m.in.: opracowanie *Miejskie koedukacyjne gimnazjum i liceum w Muszynie 1945–1950*, a także obszerny esej *Opowieść o ludziach w dolinie*

eprasa.pl d2f9aed44c

Popradu (2021). Artykuły, recenzje, materiały publikował w „Pamiętniku Literackim", w „Wyspie", w „Almanachu Muszyny", a także w kwartalniku „Sądeczanin. Historia". Redaktor „Południcy" – wkładki literackiej do „Sądeczanina", w którym publikuje też felietony. Prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego im. Cypriana Norwida i Stowarzyszenia Amici Hungariae. Członek jury konkursów o Nagrodę im. prof. Jerzego Skowronka oraz o Nagrodę im. ks. prof. Bolesława Kumora.

PIOTR KITRASIEWICZ

Pisarz, poeta, dziennikarz. Ukończył kulturoznawstwo ze specjalnością historia filmu. Wydał dwa tomiki wierszy (C*ień inkwizytora* i *Kochankowie*), zbiór krótkich form dramaturgicznych (*Morderstwo w Senacie*) zrealizowanych wcześniej na radiowej antenie, szkice literackie (*Sekrety pisarzy* i *Pisarze zapomniani*) oraz zbiór recenzji ze spektakli w teatrach warszawskich (*Apetyt na Melpomenę*). Jest autorem książki popularnonaukowej *Rok 2012. Apokalipsa nadchodzi?,* a także powieści *Jego Ekscelencja na herbatce z Goeringiem, Athenia. Miłość i torpeda* oraz *Artyści w cieniu Stalina. Opowieści biograficzne. Eisenstein – Cwietajewa – Mandelsztam – Bułhakow.* Jest też autorem książki *Filmowcy przedwojennej Warszawy.* W młodości zdobył dwie nagrody w poważnych konkursach: miesięcznika „Scena" – za krótki utwór sceniczny (1979) i „Trójki" – za mikrosłuchowisko rozrywkowe (1980). Obecnie jest m.in. recenzentem i publicystą miesięcznika „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI" oraz dwutygodnika „Biblioteka Analiz". Pracuje w Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy Biblioteka Główna Województwa Mazowieckiego na stanowisku st. kustosz w Zespole Współpracy Programowej. Inicjuje i prowadzi rozmowy z pisarkami i z pisarzami.

MAREK ŁAWRYNOWICZ

Pisarz, autor słuchowisk radiowych, scenarzysta filmowy. Wydał powieści: *Kapitan Car, Diabeł na dzwonnicy, Kino „Szpak", Pogoda dla wszystkich, Mumia świętego Piotra, Patriotów 41, Mundur, Malinówek, Jakby go nie było*, zbiór opowiadań *Korytarz* oraz wybór słuchowisk radiowych *Niepotrzebny wiersz*. Autor kilkudziesięciu słuchowisk i współautor scenariuszy kilku seriali, z których najbardziej znanym jest *Blondynka*. Członek Polskiego PEN Clubu i Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

KAROL MALISZEWSKI

Urodził się w 1960 roku w Nowej Rudzie, gdzie mieszka do dzisiaj. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Doktor habilitowany w dziedzinie nauk humanistycznych. Opublikował dziesięć zbiorów wierszy – ostatnie to: *Ody odbite* (2012), *Jeszcze inna historia. Wiersze wybrane* (2015), *[małe zawsze]* (2017), *Piosenka o przymierzaniu* (2019). Wydał siedem książek prozatorskich, m.in.: *Faramucha* (2001) nominowaną do Paszportu „Polityki", *Sajgon* (2009), *Manekiny* (2012), *Przemyśl – Szczecin* (2013) nominowaną do Śląskiego Wawrzynu Literackiego, *Ludzie stąd* (2017). W roku 1999 ukazała

eprasa.pl d2f9aed44c

się jego książka krytycznoliteracka *Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy*, a w 2001 – druga książka tego typu, *Zwierzę na J. Szkice o wierszach i ludziach*. Następnie wydał: *Rozproszone głosy. Notatki krytyka* (2006) nominowaną do Nagrody Nike, *Po debiucie* (2008), *Pociąg do literatury* (2010), *Wolność czytania* (2015), *Poezja i okolice. Między krytyką literacką a historią literatury* (2018). Jest współautorem podręcznika *Jak zostać pisarzem* (2011). Ostatnio wydał książkę krytycznoliteracką *Bez zaszeregowania. O nowej poezji kobiet* (2020). W 2017 zadebiutował jako twórca dla dzieci książką *Przypadki Pantareja*.

MIKOŁAJ MŁYŃSKI
(ur. 1995), absolwent Uniwersytetu Warszawskiego oraz Szkoły Literacko-Artystycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim, debiutował w krakowskim „Czasie Literatury". Mieszka na warszawskim Żoliborzu, dochody czerpie z mówienia po czesku. Miłośnik boksu, pokera i prozy Maxa Frischa.

KRYSTIAN RDZANEK
(ur. 1997), z zawodu muzealnik i archeolog. Publikował swoje utwory m.in. na łamach czasopism literackich „Akant" oraz „Migotania". Jest laureatem wyróżnienia w XXVIII Konkursie o Złote Pióro Sopotu. W swojej twórczości podejmuje dialog z tradycją poezji klasycznej. Inspiruje się dawnymi formami i wartościami literackimi – dąży do ich twórczego przekształcania oraz do syntezy z wrażliwością współczesną.

MARIUSZ ROPCZYŃSKI
(ur. 1976), publikował m.in. w: „Odrze", „Akcencie", „Frazie", „Kwartalniku Literackim Wyspa", „Helikopterze", Wydawnictwie J. Autor czterech zbiorów wierszy: *Bez rezerwacji* (2015), *Kwestia wyboru* (2017), *Obfitość traw* (2023), *Lato w hamakach* (2023). Laureat konkursów im. Georga Trakla i Kazimierza Ratonia. Mieszka w Nowym Sączu.

KLAUDIA ROGOWICZ
(ur. 1987), poetka, dramatopisarka, eseistka, scenarzystka, prozaiczka. Publikowała min w: „Wakacie", „Zupełnie Innym Świecie", „Czasie Literatury", „Migotaniach", „Czasie Kultury", „Helikopterze", „Ypsilonie", „Nihil Novi", „e-eleWatorze", „Twórczości", a także za granicą (Słowenia, Grecja, Albania, Macedonia, Łotwa, USA, Kanada, Bośnia). Jest autorką trzech książek papierowych i wielu e-booków. Jej utwór ukazał się w antologii pokonkursowej *Świtezianka w dżinsach* na współczesną interpretację *Świtezianki*. Jej opowiadanie znalazło się w polsko-niemieckiej antologii *Dzieciństwo w Polsce, dzieciństwo w Niemczech*. Ponadto jej wiersze ukazały się w ramach projektu kulturalnego fan page'u *GAY Friendly in Poland*. Jej wiersz *Szmira* opublikowano w zinie Manify Śląskiej 2024 *Manifówka*. Anglojęzyczne wiersze

eprasa.pl d2f9aed44c

autorki o tematykach queerowej i feministycznej zostały opublikowane na stronie słoweńskiego stowarzyszenia DIH. Jej zainteresowania to: wolontariat, dobra muzyka, ezoteryka i wszystko, co tajemnicze, gender, feminizm, queer i wszystko, co związane ze sztuką i z New Age.

MONIKA SKARZYŃSKA

Artystka wszechstronna; malarka, projektantka, autorka książki *Podróże zewnętrzne, podróże wewnętrzne*. Urodziła się w Łomży, tam także ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Łomży, studiowała malarstwo w Toruniu, a po studiach zamieszkała w Warszawie. Z każdym z tych miejsc wiąże ją inna cząstka przeszłości i wspomnień. Sztuka – zarówno malarstwo, jak i przez kilka ostatnich lat pisanie, jest elementem spajającym te wspomnienia, także obecną rzeczywistość. Aktualnie miesza w Szkocji, gdzie wciąż tworzy, by poprzez wachlarz kreacji dzielić się pięknem i wiedzą z innymi. Prowadzi stronę pinkhat.live.

MIROSŁAWA SZOTT

Literaturoznawczyni, krytyczka literacka, redaktorka tomików poetyckich. Autorka kilkudziesięciu publikacji naukowych i popularnonaukowych w ogólnopolskich i lokalnych czasopismach. Publikowała m.in. w „Twórczości", „Odrze", „Toposie", „Frazie", „Śląsku", „Pro Libris". Prowadzi warsztaty kreatywnego pisania oraz spotkania autorskie.

ADAM TOMCZYK

(ur. 1956 roku w Miechowicach Wielkich), pasjonat historii lokalnej, kolekcjoner sprzętu gospodarstwa domowego i rzemiosła dawnej wsi. Od dziecka pociąga go literatura. Z tej fascynacji historią oraz literaturą sięgnął po twórczość Tadeusza Nowaka, który pochodzi z pobliskich Sikorzyc. Z oczarowania poezją Nowaka napisał esej C*zytając Tadeusza Nowaka* (2006). Ten późny debiut stał się zaczynem dalszej twórczości. Jest autorem słuchowiska *Do Betlejem* w radiu RDN Tarnów. Wydał: *Żółte znicze nawłoci – szkic historyczny o cmentarzach z I wojny światowej w okolicy Żabna* (2008), *Z pamięci* (2011) – opowieści na podstawie relacji świadków i uczestników II wojny światowej, C*mentarzysko koni* (2012) – powieść, *Przed świtem* (2013) – zbiór opowiadań, *Pro Patria et memoria – Żabno i okolice w czasie powstania styczniowego* (2013) – szkic historyczny na 150. rocznicę wybuchu powstania styczniowego, *Miejsce* (2014) – zbiór esejów, *Pamięć nie dała się zabić* (2015) – opowiadanie w zbiorze *Dzień rozpoczął się szczególnie*, *Zarazę* (2016) – powieść, *Legendy szepce srebrzysty Dunajec* (2017) i *W cieniu radłowskiego lasu* (2020) – zbiory legend, *Zapach dolarów* (2023) – powieść. Publikował w: „Twórczości", „Akancie", „Kwartalniku Literackim Wyspa", „Nowym Napisie", a także na portalu Pisarze.pl. Jest autorem kilkudziesięciu artykułów o historii regionu, o ludziach i o wydarzeniach.

eprasa.pl d2f9aed44c

MIŁOSZ WALIGÓRSKI
(ur. w 1981, Bydgoszcz), poeta, prozaik, tłumacz. Laureat Nagrody im. Adama Włodka (2015), Bydgoskiej Nagrody Literackiej „Strzała Łuczniczki" (2018), Nagrody „Literatury na Świecie" (2023) i wyróżnienia „Zechenter 200" (2024), przyznanego za propagowanie literatury słowackiej za granicą. Przełożył ponad dwadzieścia książek: z serbsko-chorwackiego, z węgierskiego, ze słowackiego i z łotewskiego. Wydał kilka tomów poetyckich i książek prozatorskich – ostatnio: *Psy na biegunach* (2025).

RAFAŁ WOJASIŃSKI
(ur. 1974), prozaik, dramatopisarz, autor książek: *Złodziej ryb*, *Przyjemność Życia*, *Humus*, *Piękno świata*, *Stara*. Ze spotkań pisarza z wybitnym polskim aktorem Janem Nowickim powstała książka *Jan Nowicki. Droga do domu*. Wystawiono dwa dramaty Wojasińskiego: *Ciocia i Pokojówka*. Siedem utworów dramatycznych zrealizowano w Teatrze Polskiego Radia, między innymi: *Stara*, *Obcy człowiek*, *Pif paf*, *Ludzie przy rzece*. Jest laureatem Nagrody Zeptera za Debiut Roku, Nagrody Literackiej im. W. Orkana, Nagrody Fundacji Grazella, Nagrody im. Edwarda Stachury oraz Nagrody Feniks. *Złodzieja ryb* nominowano do Nagrody im. Józefa Mackiewicza, a *Starą* – do Nagrody Literackiej m. st. Warszawy i Nagrody im. Józefa Mackiewicza. Jego twórczość tłumaczono na języki: francuski, chorwacki, bułgarski, angielski, ukraiński, hiszpański.

PIOTR WOJCIECHOWSKI
(ur. 1938), prozaik, reżyser i krytyk filmowy oraz publicysta (stały felietonista miesięczników „Więź" i „Workshop"). Jako pisarz zadebiutował w roku 1967 książką *Kamienne pszczoły*. W latach 2002–2005 był prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wykładowca PWSTiF w Łodzi, członek Rady Etyki Mediów i Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Od 2006 roku – członek Rady Programowej Fundacji Centrum Twórczości Narodowej. Jest laureatem kilku nagród literackich, m.in. Kościelskich (1978), Nagrody PEN Clubu (1992), Nagrody im. Kornela Makuszyńskiego (1994). W 2019 roku otrzymał Nagrodę Literacką im. Władysława Reymonta za całokształt twórczości oraz Nagrodę Literacką im. ks. Jana Twardowskiego. W 2020 roku został uhonorowany Nagrodą Literacką m.st. Warszawy w kategorii „warszawski twórca". Od 1963 roku mieszka w Warszawie.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
(ur. 1969), publicysta i krytyk literacki. Publikował na łamach dzienników („Express Wieczorny", „Nowy Świat", „Życie", „Życie Warszawy", „Dziennik Związkowy"), a także tygodników („Spotkania", „Tygodnik Solidarność", „Ozon", „Wprost", „Gazeta Polska", „Gentleman", „Sukces"). Był redaktorem naczelnym tygodnika „Nasza Polska" (od 2006). Miał też do czynienia z eterem (Radio dla Ciebie, Radio „S", Radio WaWa,

eprasa.pl d2f9aed44c

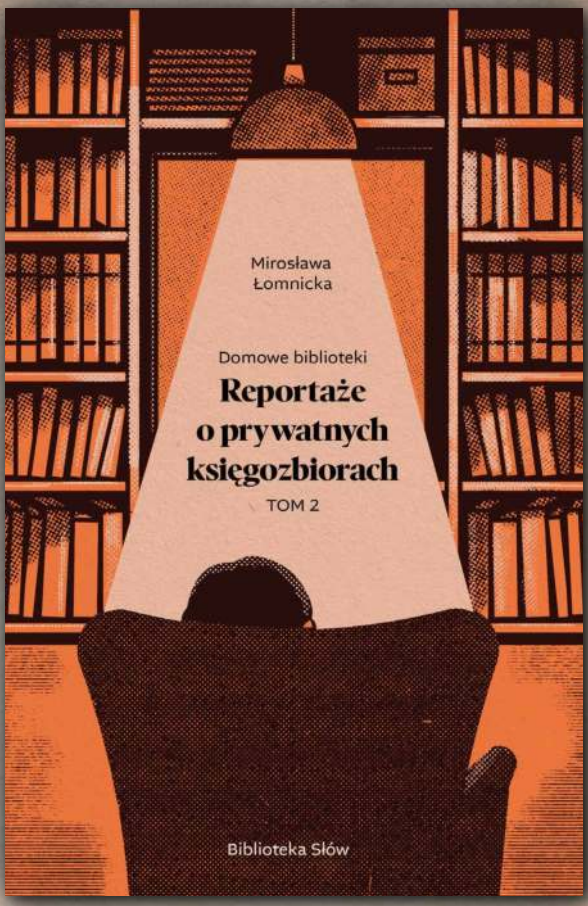
Radio Plus) oraz ze szklanym ekranem (TVP – cykl C*zytajmy* oraz udział w serii *Errata do biografii*). Wspólnie z Krzysztofem Masłoniem prowadził audycję *Poczytnik* w Polskim Radiu 24. Od wielu lat jest współpracownikiem „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI".

JAN ZIELIŃSKI

Historyk literatury i krytyk sztuki, b. wieloletni wykładowca literatury i kultury polskiej na Uniwersytecie we Fryburgu (Szwajcaria), b. profesor literatury powszechnej na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Autor wielu książek (najnowsza: *Magiczne Oświecenie*, 2022). Tłumacz, edytor, organizator wystaw. W roczniku „Załącznik Kulturoznawczy" ma autorską rubrykę C*hronometr*, w „Kwartalniku Literackim Wyspa" – felieton *Senne spojrzenia*, a w londyńskim „Pamiętniku Literackim" – cykl *Lektury spiralne*. Członek jury Nagrody im. Kościelskich. Od marca 2023 roku prowadzi dziennik *Spod powieki*, który początkowo ukazywał się na łamach kwartalnika „Konteksty", a od września 2024 jest dostępny online na stronie Księga Przyjaciół wydawnictwa Próby (https://wydawnictwoproby.pl/category/ksiega-przyjaciol/).

eprasa.pl d2f9aed44c

nowość
Biblioteki Słów



Po znakomitym przyjęciu pierwszej części „Domowych bibliotek", zarówno ze strony czytelników, jak i krytyków, postanowiliśmy przygotować kontynuację. Okazało się, że temat prywatnych księgozbiorów i ich właścicieli poruszył wrażliwą strunę – czytelnicy chcieli zajrzeć do kolejnych domów, poznać nowe historie, zobaczyć, jak książki kształtują ludzkie losy. Zapraszamy zatem ponownie do tej niezwykłej podróży po światach zamkniętych między okładkami – pełnych pasji, refleksji i piękna codziennego obcowania z literaturą.

Nie ma dwóch takich samych domowych bibliotek, bo nie ma dwóch takich samych dróg życia. Książki, które gromadzimy, wybieramy i zachowujemy, są jak odciski palców – zdradzają nasze pasje i przemiany. Każda biblioteka odsłania inną osobowość, inne wrażliwości.

To książka o miłości do literatury, o potrzebie myślenia i o tym, że dobra biblioteka – nawet ta najmniejsza – potrafi ocalić w nas człowieka.

Książka dostępna też jako e-book.

Biblioteka SŁÓW

Biblioteka-slow.pl
Facebook.com/wydawnictwobibliotekaslow

eprasa.pl d2f9aed44c